ARKADY FIEDLER

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

»CZYTELNIK«

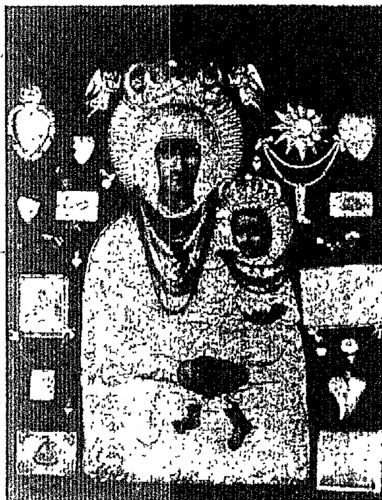
w niedzielę po dniu 28 sierpnia. Przed uroczystością odprawia się powyższą nowennę. Przystanek kolejowy na miejscu ułatwia uczestnictwo w uroczystościach odpustowych.

W wypadku doznania wyjątkowej łaski lub cudu należy wobec świadków i miejscowego proboszcza spisać protokół zdarzenia, umieścić podziękowanie w prasie i protokół przesłać do Kawnic — poczta Golina n. Wartą, powiat Konin.

Tam w Urzędzie Parafialnym można nabyć obrazy i obrazki Matki Boskiej Pocieszenia, broszury zawierające historię parafii i obrazu oraz powyższy tekst nowenny.

K 57993

Za zezwoleniem Władzy Duchownej — Włocławek Nr 3281/48.



Matka Boska Pocieszenia

łaskami słynący obraz

Kawnice

poczta Golina n. Wartą

Nowenna do Matki Boskiej Pocieszenia

7 razy „Zdrowaś" do Siedmiu Boleści Matki Bożej

O Matko Pocieszenia! Ty poznałaś najlepiej ludzką niedolę, stając się Matką siedmiu boleści. Wejrzyj na moją potrzebę i wyjednaj mi u Twego Najmilszego Syna łaskę, o którą proszę, aby...

Ciebie, o Panno Przeczysta, Kościół święty czci pod tym pokrzepiającym wezwaniem Matki Pocieszenia. Ufam, że nie wzgardzisz moją prośbą i wyjednasz mi pociechę w tym moim strapieniu.

Ty, o Niepokolana Bogarodzico, która obrałaś sobie tyle łaskami wsławionych tronów — a między nimi i w Kawnicach zasłynęłaś cudami — nie zapominaj i o mnie, niegodnym Twym dziecięciu. Chcę Cię miłować i służyć Ci wiernie. Jeżeli taka jest wola Boża, ześlij mi pocieszenie, o Kawnicka Panienko, Matko Pocieszenia i Pośredniczko wszelkich łask. Amen.

Panie Jezu Chryste, Ojcze miłosierdzia i Boże wszelkiej pociechy, spraw łaskawie, abyśmy — jako na ziemi czcimy z radością Najczystszą Twą Rodzicielkę Marię pod wezwaniem Pocieszenia — tak w niebie zasłużyli zażywać wiecznie jej pociechy. Który żyjesz i królujesz z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym Bóg po wszystkie wieki wieków. Amen.

Źródło życia, Panie Jezu, napełnij umysł nasz potokiem Twej radości, abyśmy pod opieką błogosławionej zawsze Dziewicy Marii, Matki Pocieszenia, gardząc ziemskimi sprawami zasłużyli cieszyć się ustawicznie niebieskimi. Który żyjesz i królujesz z Bogiem Ojcem i z Duchem Świętym Bóg po wszystkie wieki wieków. Amen.

O Matko Pocieszenia, nie opuszczaj mię w tym strapieniu. Amen.

●

Nowennę należy odmawiać przez dziewięć dni z rzędu. W czasie niej, zwłaszcza na początku, przystąpić do spowiedzi i Komunii świętej, oraz przesłać ofiarę na budowę świątyni Matki Boskiej w Kawnicach.

Po otrzymaniu łaski za wstawiennictwem Kawnickiej Matki Pocieszenia trzeba ponownie odprawić powyższą nowennę w intencji podziękowania i przesłać ofiarę na budowę kościoła lub wotum do Matki Boskiej.

Uroczystość Matki Boskiej Pocieszenia przypada w sobotę po 28 sierpnia czyli po św. Augustynie, a odpust w Kawnicach

wzniesiony przed rokiem. Ludzie z narażeniem życia wynieśli z płomieni cudowny obraz, który nie doznał żadnej skazy.

Wierne dziecię Kościoła! Oto nieszczęśliwa parafia, która Królowej Nieba stawia już szósty przybytek, prosi: „Złóż ofiarę na budowę!"

Mała i uboga parafia nie jest w stanie wybudować kościoła o własnych siłach. Najświętsza Panienka z Kawnic zwykła swym ofiarnym dzieciom odwzajemnić się błogosławieństwem i szczególniejszą opieką.

Czcicielu Marii! Z pogorzeliska woła do ciebie Najśw. Panienka: „Ofiaruj hojny datek na świątynię Matki Pocieszenia! Tylko tysiące ofiar złożą się na potrzebne w tym celu miliony. Zachęć drugiego do ofiary! Trzeba pomóc w nieszczęściu kościołowi. Niechaj strzeli wieżyca wspaniałej świątyni jako dowód, że Polska chce być z Bogiem! Przyczyń się do Bożego dzieła!"

Obrazek Kawnickiej Matki Boskiej Pocieszenia wraz z nowenną należy odciąć, złożyć we dwoje i włożyć do modlitewnika, jako pamiątkę złożonej na kościół ofiary.

Załączony czek należy wypełnić i kwotę przeznaczoną na ofiarę wpłacić w najbliższym Urzędzie Pocztowym. Uczyń to zaraz, bez zwłoki!

Należy zachęcić ludzi dobrej woli, przyjaciół, znajomych lub krewnych, by podobnie złożyli ofiarę na rzecz nieszczęśliwej świątyni.

Jeżeli ktoś nie otrzymał czeku i ulotki, niech ofiarę prześle zwykłym przekazem pocztowym na adres: Parafia Rzymskokatolicka w Kawnicach, poczta Golina nad Wartą, powiat Konin, woj. poznańskie.

Kto chce stać się fundatorem kościoła, niech co miesiąc prześle ofiarę na budowę.

Kościoły powstały i utrzymują się jedynie z dobroczynności ludzkiej. Miej i ty tę cichą, a piękną zasługę w oczach Boga! Bądź fundatorem dzieła ku czci Boskiej.

Jeżeli złożenie ofiary jest niemożliwe, uprasza się o zwrot czeku i niniejszej ulotki. Podaj drugiemu i zachęć go do przesłania ofiary.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej — Włocławek, nr 3281/48.

P. P. Z. G. Okr. Półn., Zakł. Gł. — 120000. 368. 1. 49. — K-57993



Smutne ruiny. Niemcy rozbierają wspaniałą kawnicką świątynię. Polak z narażeniem życia pochwycił na filmie dowód zbrodni

Od XII wieku posiadały Kawnice trzy drewniane kościoły. Jeden z nich zniszczyła wojna — dwa uległy starości. Obraz Matki Boskiej Pocieszenia zasłynął wówczas cudami i Kawnice stały się miejscem pielgrzymkowym.

W czasach pokoju doczekała się Kawnicka Matka Pocieszenia wspaniałej świątyni. Wymurowano ją z wielkim nakładem sił tuż przed drugą wojną światową. Było to chlubne dzieło polskiej kultury religijnej. Przez wieś przebiegała autostrada i magistrala kolejowa Warszawa — Poznań.

Na wysiedleniu znalazła się Najśw. Panienka Pocieszenia podczas okupacji niemieckiej. Zaborca zburzył nową świątynię bez żadnego celu, fundamenty zrównał z ziemią i zasiał łubinem. Dwaj bluźniercy ponieśli przy tym śmierć na miejscu, a łubin nie przyjął się tam, gdzie biegły mury kościoła. Z klęski ocalał cudowny obraz, ponieważ ludzie wydarli go zaborcom i przechowali w sąsiednim miasteczku, Golinie.

Na pogorzelisku znajduje się Matka Pocieszenia obecnie. Dnia 13 lipca 1948 r. spłonął doszczętnie od pioruna drewniany kościół,



ARKADY FIEDLER

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

TEGOŻ AUTORA:

PRZEZ WIRY I POROHY DNIESTRU
Poznań 1925

BICHOS, MOI BRAZYLIJSCY PRZYJACIELE
Poznań 1931

WŚRÓD INDIAN KOROADÓW
Poznań 1932

RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI
wydania:
1. — Warszawa 1936; 2. — Warszawa 1937; 3. — Warszawa 1938; 4. — Warszawa 1939; 5. — Londyn 1940; 6. — Londyn 1946

ZWIERZĘTA Z LASU DZIEWICZEGO
wydania:
1. — Warszawa 1936; 2. — Warszawa 1937; 3. — Warszawa 1938; 4. — Warszawa 1939; 5. — Glasgow 1944; 6. — Glasgow 1946

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ
wydania:
1. — Warszawa 1937; 2. — Warszawa 1938; 3. — Warszawa 1938; 4. — Warszawa 1939; 5. — Londyn 1942; 6. — Londyn 1946

ZDOBYWAMY AMAZONKĘ
Warszawa 1937

JUTRO NA MADAGASKAR!
Warszawa 1939

DYWIZJON 303 (po polsku)
1. wydanie Londyn 1942; 2. wydanie Montreal 1945
Trzy oddzielne wydania podziemne Polska 1943

DYWIZJON 303 (po angielsku)
1. i 2. wyd. Londyn 1942; 3. wyd. Londyn 1944; 4. wyd. Londyn 1945

DYWIZJON 303 (po angielsku)
1. i 2. wyd. Nowy York 1943

DYWIZJON 303 (po portugalsku)
Rio de Janeiro 1943

DYWIZJON 303 (po francusku)
1. wyd. Montreal 1944; 2. wyd. Montreal 1945

DYWIZJON 303 (po holendersku)
Holandia 1945

ŻARLIWA WYSPA BENIOWSKIEGO (po polsku)
1. i 2. wyd. Londyn 1944

ŻARLIWA WYSPA BIENIOWSKIEGO (po angielsku)
Londyn 1946

DZIĘKUJĘ CI KAPITANIE! (po polsku)
1. wyd. Londyn 1944; 2. wyd. Montreal 1946

DZIĘKUJĘ CI, KAPITANIE (po angielsku)
Londyn 1946

RADOSNY PTAK DRONGO
Londyn 1946

A R K A D Y   F I E D L E R

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ



1 9 4 6

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

Dar nie do sprzedaży
Cadeau-vente reservée
Gift-not for sale

Kongres Polonii Kanadyjskiej
INSTYTUT POLSKI W KANADZIE
TORONTO - ONTARIO

WYDANIE SIÓDME

Canadian Polish Congress
POLISH RESEARCH INSTITUTE IN CANADA
TORONTO - ONTARIO

PRINTED IN POLAND

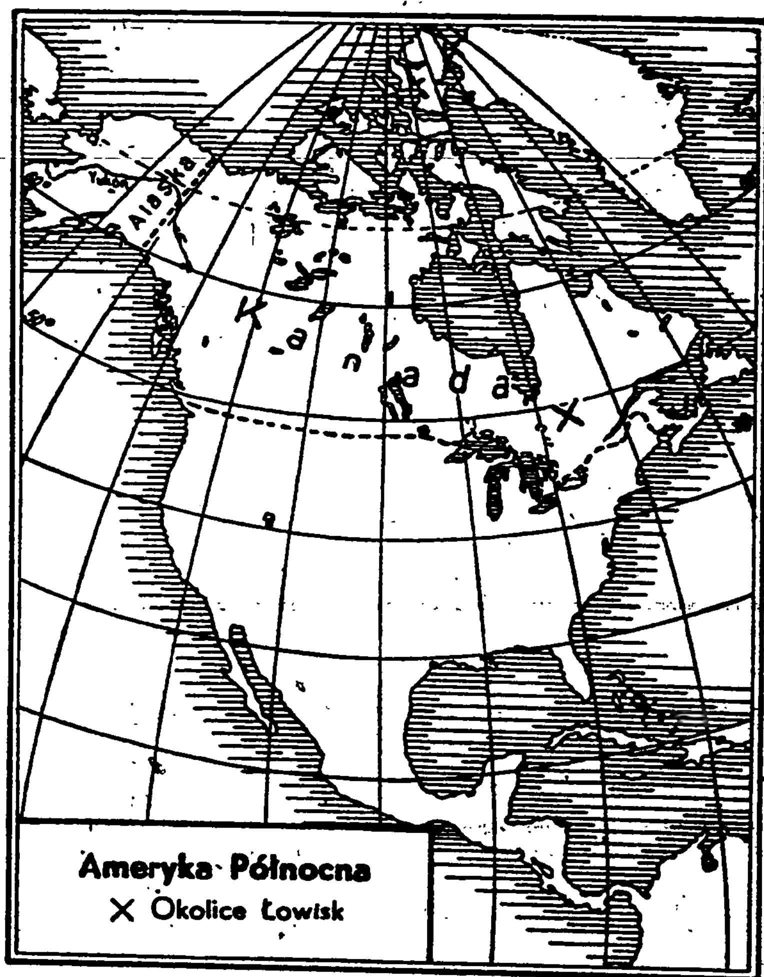
NR 141
SIERPIEŃ 1946
DRUKARNIA NARODOWA
W KRAKOWIE
M-14215

SPIS ROZDZIAŁÓW

CZĘŚĆ PIERWSZA

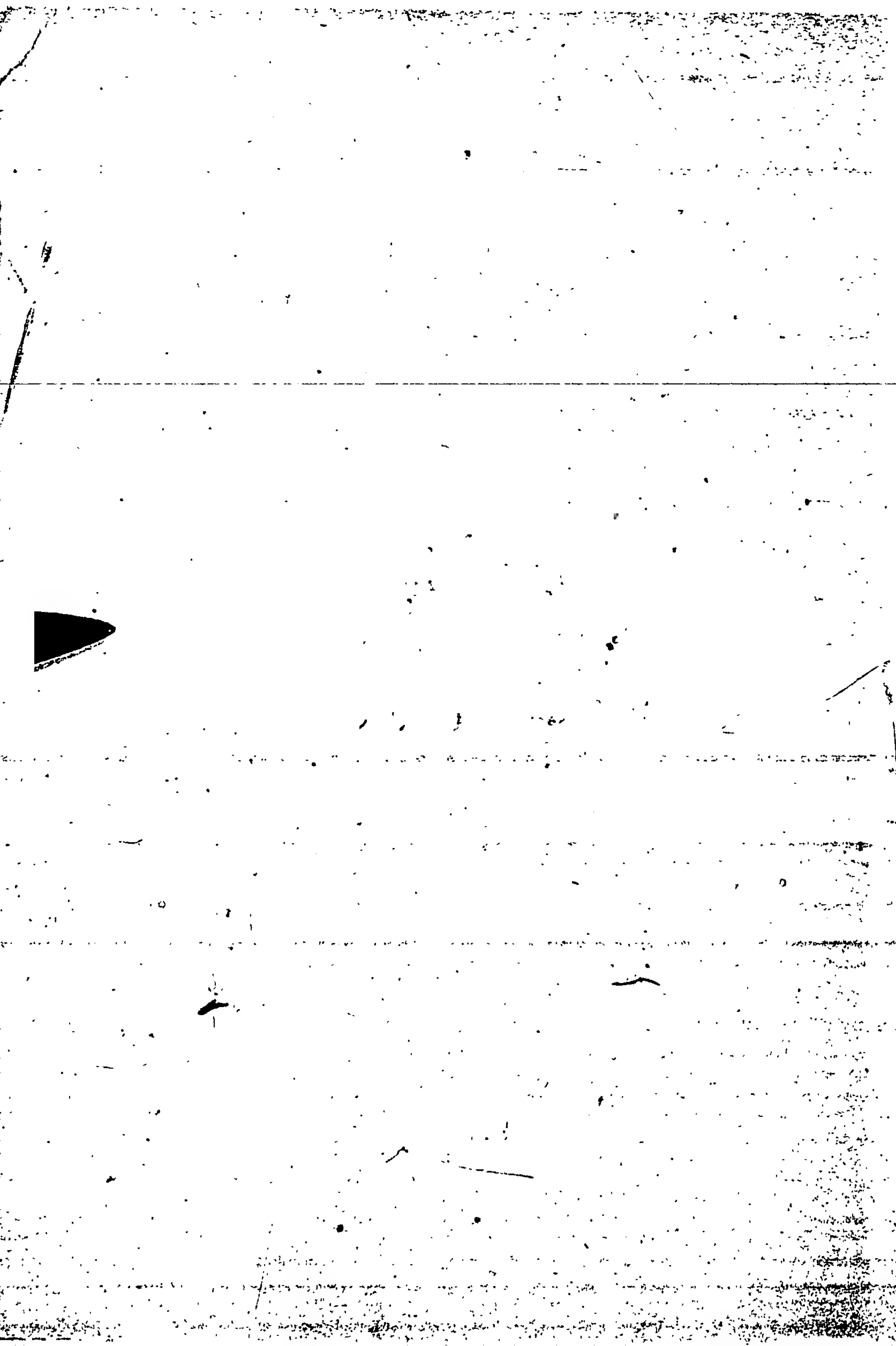
CZĘŚĆ DRUGA

CZĘŚĆ TRZECIA


Yukon
Alaska
Kanada
Ameryka Północna
X Okolice Łowisk


OBÓZ
NAD JEZIOREM
MARMETTE
JEZIO-RO
MAR-METTE
JEZIORO SMIAŁEGO
SZCZUPAKA
GÓRY NIEDŹWIEDZIA
PORTAŻ
JEZIORO BEZ NAZWY
PORTAŻ
JEZIO-RO
CHAPMANA
0 1 2 3 4 5Km

CZĘŚĆ PIERWSZA



I

WICHER OD LABRADORU

Gdy wyruszyłem z Gdyni do Kanady, w Polsce świeciło gorące, lipcowe słońce i rozśpiewani ludzie zbierali na żółtych polach żniwa. Bałtyk był stosunkowo łagodny, Morze Północne zamroczone, ale prawdziwe piekło zaczęło się poza Szkocją, po wypłynięciu na pełny Atlantyk. Silny wicher zachodni, do burzy podobny, bierze nas porządnie w obroty i dmie w twarz z taką zajadłością, że ścina nam skórę i trudno ustać na pokładzie. Poczciwy „Pułaski" tańczy na olbrzymich falach jak narwana baletnica. Chłód przejmuje do szpiku, ludzie chorują i nie wstają z łóżek.

Po trzech dniach bezustannej męki na wzburzonym morzu, pytam któregoś z oficerów statku, czy tu, na północnym Atlantyku, zawsze panują takie wichry?

— Jesienią, zimą i wiosną — zawsze, latem — prawie zawsze.

— I zawsze są tak silne jak teraz?

— Przeważnie silniejsze.

Wicher dmący od Labradoru i Grenlandii jest przenikliwy, mroźny i przykry. — — —

Żeglarze norwescy, rzuceni przez burzę, odkryli w r. 863 Islandię i zaludnili jej wybrzeża. W sto lat później jeden z ich potomków ruszył na wschód i odwiedził Norwegię, lecz w drodze powrotnej do Islandii chybił swego portu, popłynął zbyt daleko na zachód i odkrył brzegi Ameryki Północnej. Gdy później przybył do Norwegii, opowiedział o odkryciu przyjacielowi swemu, Laifowi Eriksonowi. Erikson był zuchwałym wodzem i na wiadomość o bogatym wybrzeżu powstała w jego ambitnej duszy myśl założenia tam nowego państwa. Wybudował okręty, znalazł ludzi, wypłynął i na nowej ziemi założył kolonię. Jeżeli już wtedy, tysiąc lat temu, nie zrodziła się Ameryka, to winę przypisać należy nie norweskiemu śmiałkowi i nie jego następcom: i oni, i Norwegia podjęli wielką ideę kolonizacyjną Eriksona i przez kilka wieków starali się ją urzeczywistniać. Wysiłki ich udaremniała tylko burzliwa fala północnego Atlantyku, odstraszająca przybyszów. Tak to ówczesny śmiały plan stworzenia Nowego Świata stłumił wicher wiejący od Labradoru i Grenlandii.

I później, w zaraniu nowszych czasów, ten sam wicher decydująco wpłynie na losy ludzi i kraju. W okresie Kolumba genueńczyk Jan Caboto odkrył w imieniu króla angielskiego Nową Fundlandię. W dwadzieścia lat później inny Włoch, żeglarz Verrazani, zaanektował wybrzeże lądu północno-

amerykańskiego dla króla Francji. Ale na razie ani Francuzi, ani Anglicy nie mogli się usadowić na dobre. Panicznie bali się Hiszpanów — był to bowiem jeszcze czas, kiedy Anglicy kogoś się bali; złożyły się również na to inne przyczyny, wewnętrzno-polityczne i gospodarcze, ale najsilniej napływ ludzi powstrzymywało wzburzone morze. Wiatr mroził zapał osadników i dopuszczał na rybne ławy nowofundlandzkie tylko zatraconych rybaków, otrzaskanych w burzach. A ci nie tworzyli kolonij i co jesień wracali do starej Europy.

W jakie sto lat później warunki się zmieniły; zaczęto budować większe żaglowce, wyrośli właściwi zdobywcy-pionierzy i na początku XVII wieku powstają na nowej ziemi pierwsze, skromne osiedla: Francuzów nad Rzeką Św. Wawrzyńca, Anglików bardziej na południu, nad James River. Przez sto lat głównie wiatr powstrzymywał rozwój całego kontynentu.

W czasie moich podróży do Ameryki Południowej kilka razy przecinałem szlak, jakim płynął na zachód Kolumb i jego Hiszpanie. Kolumb płynął do kraju o wiecznej wiośnie morzem słonecznym i spokojnym, o ustalonych, łagodnych wiatrach. Nie było na jego drodze żadnego zatoru i żadnego odstraszającego wichru. Dlatego dzieje jego odkrycia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Odkrył, zdobył i tysiącami Hiszpanów zaludnił całą tę część świata, gdy na północy, równocześnie odkrytej, nic się jeszcze nie działo.

Na północy wicher szczególnie dotkliwie dał się we znaki Francuzom i stał się w końcu ich dziejową tragedią. Z dwóch narodów kolonizujących Amerykę Północną Francuzi okazali bezsprzecznie o niebo więcej rozpędu, ducha zdobywczego i fantazji. Zajęli najdogodniejszą część kraju, ujście Rzeki Św. Wawrzyńca, stąd wdarli się na zachód w głąb lasów, dotarli do wielkich jezior i zajęli cały brzeg rzeki Missisipi aż do Zatoki Meksykańskiej. W tym czasie Anglicy wciąż jeszcze siedzieli nad brzegiem morza, tłukli się zapamiętale z Indianami i jakoś nie mogli przebrnąć przez łańcuch gór Appalachów.

Lecz gdy przyszło później, w połowie XVIII wieku, do ostatecznej rozgrywki o to, jaki język i jaka kultura miały zapanować nad Ameryką Północną, Francuzi ponieśli zupełną klęskę. Okazało się bowiem, że już wtedy Anglików było w Ameryce Północnej dwa i pół miliona, Francuzów zaledwie sześćdziesiąt tysięcy. Dzielność i odwaga nie wystarczyły; przytłoczyła je i zdusiła liczba przeciwnika.

Francuzów było tak mało, ponieważ idea Kanady nigdy nie stała się popularna we Francji. Francuza, rozpieszczonego łagodnym niebem Szampanii lub Żyrondy, odstraszał twardy klimat kolonii, a przede wszystkim uciążliwy przejazd przez wzburzone morze. Francuscy osadnicy rekrutowali się właściwie tylko z dwóch prowincji, Bretanii i Normandii, zamieszkałych przez dzielnych wilków morskich, potomków Wikingów tej samej krwi co Laif Erikson,

pierwszy odkrywca Ameryki. Oni to zdobyli dla Francji Kanadę i większą część Ameryki Północnej, ale Francja nie poszła za nimi. Odstraszał ją mroźny wiatr.

Ten wiatr sprzyjał wyraźnie Anglikom. Jemu należy przypisać, że dziś w Ottawie rezyduje angielski gubernator Jego Królewskiej Mości, a nie gubernator Republiki Francuskiej, i że dziś wielkie miasta nad Missisipi: Saint Louis i Nowy Orlean, o nazwach brzmiących z francuska, nie mają poza tym nic wspólnego z Francuzami. Wicher od Labradoru nie służył Francuzom.

Nie służy ten wicher również Łotyszowi jadącemu ze mną we wspólnej kabinie. Biedaczysko od tygodnia leży, jęczy, womituje i powiada, że umrze przed końcem podróży.

Nie umrze. Dzisiejsze maszyny odjęły ostrze jadu wichrowi od Labradoru.

2

KANADA PACHNĄCA BENZYNĄ

Na James Street w Montrealu wznosi się, w otoczeniu innych olbrzymich budynków, imponujący gmach Royal Bank of Canada, drapacz chmur, marmurowa świątynia dolara i potęgi. Przez wspaniały portal z ciężkiego brązu wchodzą i wychodzą sznury ludzi, którzy handlują milionami i dzierżą losy kraju w swych wpływowych rękach i portfelach.

Tuż przed wejściem do banku, wtłoczony w szeregi czekających aut, stoi żebrak, kataryniarz. Kręci katarynkę. Jest to jakiś przemyślny instrument, z którego tryskają donośnym, czystym głosem skoczne melodie, pełne radości życia. Melodie podbijają wesołością całą ulicę i odbijają się o gmach Royal Bank of Canada. Nie podbijają tylko ludzi wchodzących do banku i nie docierają do ich świadomości i kieszeni. Po pewnym czasie kataryniarz stwierdza z pogodnym uśmiechem na twarzy, że wybrał złe miejsce, przestaje kręcić, wspina się na swój instrument, zapuszcza motor i na trójkołowym motocyklu-katarynce pędzi po szczęście do innej dzielnicy miasta. — — —

Na Dorchester Street leży biała, jedwabna chusteczka do nosa. Zgubiła ją widocznie jakaś pani z auta. Chusteczka jest czysta. Stała się niczyją własnością. Przechodzą obok niej i widzą ją różni ludzie, bogaci i biedni. Nikt się po nią nie schyla i nie zabiera.

Widziałem chustkę rano i potem widzę ją, wracając z miasta, na tym samym miejscu w południe. Przyglądam się jej dokładniej: rzeczywiście, chustka jest z najlepszego jedwabiu! — — — —

Na skrzyżowaniu dwóch ulic Montrealu powstaje zamieszanie. Jakiś safanduła szofer źle prowadzi, zatrzymuje swoją ciężarówkę znienacka na samym skręcie i hamuje tym samym normalny bieg długiego łańcucha aut sunących za nim. Pierwszy samochód za nim — Chrysler o wyrafinowanej linii — ledwo w niego nie uderza. W ostatniej chwili skręca gwałtownie w bok, o cal wymija tylne koło safanduły, zbliża się niebezpiecznie do sąsiedniego szeregu wozów, zuchwałym wirażem wsuwa się w wąską lukę, jedyne wyjście, i, mistrzowską ręką prowadzony, uchodzi nieuniknionemu, jak się zdawało, wypadkowi.

Wszyscy śledzący z zapartym oddechem to zajście patrzą z uznaniem na Chryslera. Kieruje nim niewiasta. Liczy najmniej siedemdziesiąt lat i ma siwiuteńkie, pięknie ondulowane włosy. Ani na chwilę nie traci zimnej krwi. Przejeżdżając obok niefortunnego szofera mruga do niego filuternie i z dobroduszną miną posyła mu jakieś słowo. Co za

treść zawierało to słowo, nie wiem. Wiem, że szofer się mocno zaczerwienił.

Od tego czasu spoglądałem uważniej na auta w Montrealu. Często widzę starsze panie, które nimi kierują. Babcie, w Europie przeżuwające resztki swoich dni, w Montrealu siadają do samochodów i są zmotoryzowanymi amazonkami. — — — — —

Eaton. Na St. Catherine Street, głównej arterii handlowej Montrealu, osiadł Eaton. Zajmuje potężny blok gmachu o kilkunastu piętrach. Uniwersalny dom towarowy, największy w Kanadzie, o nadzwyczaj sprężystej organizacji. Transakcje, które gdzie indziej wymagają minut, tu trwają sekundy. Wszyscy klienci wiedzą, że Eaton jest bezwzględnie uczciwy i że daje najlepszy towar po najściślej skalkulowanej cenie. Jest to rekord: z równą uczciwością skalkulować łódkę i szpilkę, komplet jadalni i wstążkę. To Eaton, inkarnacja umysłowości angielskiej, wprowadził ten system i na sławie swej uczciwości rozbudował się w potęgę. Uczciwości tak wielkiej, że w końcu może stać się niemoralna.

Obok gmachu jest plac, parking-place. Klienci Eatona podczas zakupów zostawiają tu swe auta.

Czeka teraz aut tylko pięćset, bo jest kryzys. Dawniej stało tysiąc.

Znajomi ostrzegli mnie przed zawrotnym bogactwem towarów u Eatona. Ażebym nie zwariował od nadmiaru wrażeń, zawieziono mnie na któreś piętro i pokazano mi tylko jeden dział: przybory do obozowania. Oszalałem. — — — —

Na tej samej St. Catherine Street, o milę dalej (ulica ma podobno 20 mil angielskich), jest dziwny, olbrzymi sklep. Odbywa się w nim stała licytacja używanych samochodów, ale licytacja w odwrotnym niż zwykle kierunku: ceny aut coraz to spadają. Spadają dziennie o pięć do dziesięciu dolarów. Auto, za które dziś zaceniono sto czterdzieści dolarów, za trzy dni będzie kosztowało sto dziesięć. Gdy zatem trzy dni poczekam, mogę kupić je za tę cenę, chyba że dziś lub jutro mi je ktoś inny sprzed nosa sprzątnie.

W pierwszym szeregu stoi osiem aut: szeregów jest kilkanaście. Hudson za 150 dolarów, Pontiac za 128 dolarów, Buick za 118, De Soto 108, Packard 102.

Sto pięćdziesiąt dolarów odpowiada mniej więcej naszym czterystu pięćdziesięciu złotym, taką bowiem dolar ma siłę nabywczą.

Dla ciekawości wchodzę do sklepu i pytam o najtańszy samochód. Pokazują mi Chevroleta. Kosztuje piętnaście dolarów, czyli naszych 45 złotych.

— Czy chodzi? — pytam sceptycznie.

Nie tylko chodzi, ale gwarantują mi, że przejadę nim jeszcze całą Kanadę do wybrzeża Pacyfiku i z powrotem.

Ludzie tutaj tak robią. Kupują sobie na lato używany samochód, zwiedzają nim część kraju, w końcu porzucają go na łasce losu, gdzieś na bocznej drodze, i wracają koleją do domu. Powstaje przy tym groteskowa sytuacja: porzucając samochód muszą czynić to ostrożnie, ażeby tego nikt nie widział, zwłaszcza

żaden policjant. Gdy zauważy, zapisze karę i na domiar każe zabrać samochód ze sobą.

Kanada to kraj, w którym samochodów nie wolno porzucać na ulicy.

Wieczorem pewnego dnia wyjeżdżam z sympatycznym sekretarzem polskiego konsulatu, Krzeczkowskim, samochodem poza miasto w kierunku Lachine. Przy asfaltowej autostradzie, zasianej na przestrzeni kilku mil setkami sunących aut, ludzie hołdują o tej porze dwom namiętnościom.

Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, trenują golfa. Oblani jaskrawym światłem łukowych reflektorów, sprawiają wrażenie duchów. Uderzają z całej siły kijami w kauczukowe piłeczki i starają się je wyrzucić na mroczną łąkę. Gra na pozór bezmyślna i banalna, a jednak podniecająca do ostateczności wszystkich Anglosasów. Gra mądra: potrzebna i konieczna tam, gdzie wszechwładne auto może oduczyć chodzenia.

A druga namiętność? Stara jak świat: kanadyjski dżentelmen tuli i całuje swoją „sweetheart". Czyni to w aucie. Ażeby nie było wypadków podczas jazdy, pobudowano przy autostradzie liczne bary automobilowe, do których się podjeżdża, zatrzymuje samochód i bez wysiadania z niego zamawia, czego dusza zapragnie: albo coś na ochłodzenie żołądka, albo coś na rozgrzanie zmysłów. Dziwnie wygląda taki bar; nie ma w nim stołów ani krzeseł, a goście — to szereg samochodów stojących półkolem. Usługują chyże i dyskretne kelnerki. Kelnerów prawie nie ma w Kanadzie.

Z głębi baru dochodzi mniej lub bardziej dyskretna muzyka.

I my również zajeżdżamy do takiego baru i zamawiamy sobie, oczywiście, coś chłodzącego. Jest gorąca, lipcowa noc. Dokoła stoją auta, z których dolatują szepty. Gdzieś rozlega się stłumiony śmiech. Ponad wszystkim słychać wesołą, skoczną melodię.

Nagle wytężam słuch. Ależ oczywiście, poznaję muzykę. Jest to ów kataryniarz na motocyklu, którego rano słyszałem pod Royal Bank of Canada. Przyjechał tu, by przygrywać radosnymi melodiami zakochanym ludziom. Zdaje się, że tym razem nie dozna zawodu. Tutaj będą go chętniej słuchali niż rano przed bankiem.

3

LUDZIE W DOLINIE ŚW. WAWRZYŃCA

Wyjazd do kanadyjskiej puszczy wydaje się na pozór rzeczą bardzo prostą: przewiesić przez ramię strzelbę, nabrać prowiantu, nie zapomnieć o łódce, zapomnieć o kłopotach, pojechać do ostatniej stacji kolejowej, łódkę zsunąć na byle jaką rzekę, krzyknąć z całej piersi: witam cię, puszczo, i dać do niej nura.

Tymczasem nie tak łatwa to sprawa. Puszcza kanadyjska leży na północy i chcąc się do niej dostać, trzeba brnąć przez dolinę Rzeki Św. Wawrzyńca. Żyzna to dolina, mlekiem i miodem płynąca.

W czasach, gdy król Jan wiódł swe hufce na Wiedeń, ciemnym borem skradał się tutaj mściwy Indianin i okrzykiem wojennym zwiastował śmierć białym ludziom. A także znacznie później Irokezi nie dawali spokoju i budzili ze snu wystraszonych kolonistów. Dziś Irokezi żyją w obozach koncentracyjnych na łaskawym chlebie, a w Dolinie Św. Wawrzyńca wyrosły wielkie, wspaniałe miasta, w miastach zaś osiedli ludzie dziwnie gościnni, zamożni i wspania-

łomyślni. Oni wezmą ciebie, przybyszu, w obroty, i zanim dostaniesz się do puszczy, przejść musisz przez Scyllę ich serdeczności i Charybdę dobroci.

Mr A. A. Gardiner, jeden z dyrektorów potężnej Canadian National Railway — gdy się przekona, żeś porządna dusza — wsadzi ci gwałtem do garści bezpłatny bilet kolejowy, za który możesz jechać na koniec Kanady, tj. prawie na koniec świata. Potem wyda mu się, żeś niezbyt wyekwipowany na surowy klimat tutejszej jesieni. Więc sam będąc myśliwym, zechce ci pożyczyć jakieś przemyślne kanadyjskie jupy, nieprzemakalne portki, gumowe buty i bobrową czapkę. Nie potrzebujesz tego, dziękujesz, tłumaczysz się, ale on się tym nie zadowala i daje ci na koniec przynajmniej plecak, ażebyś miał w czym koce nosić za dnia i na czym głowę kłaść w nocy.

Mr Campbell — Department of Interior w Ottawie — pogodny, uśmiechnięty starszy pan, jest specjalistą od słynnych kanadyjskich parków narodowych. Uczynność patrzy mu z oczu. Prosisz go o materiał fotograficzny Kanady. Szalony człowiek przysyła ci natychmiast sto najpiękniejszych fotografii, skrzynię bajecznych filmów z życia przyrody i całe pudło kolorowych przeźroczy. I pyta się jeszcze: czy wystarczy? Przybysz, przywykły do ciężkiej biurokracji i oszczędności urzędów europejskich, stoi oszołomiony wobec Mr Campbella, który w zamian za to wszystko prosi tylko o przyrzeczenie, że dostanie kiedyś, później, krótki opis polskich parków narodowych.

W Ottawie rezydował polski konsul generalny, dr Adamkiewicz. Właśnie kończył poważne dzieło, traktat handlowy polsko-kanadyjski. Mimo to zajmie się skwapliwie twoją sprawą i wydobędzie od kanadyjskich urzędów prawo polowania na wszelką zwierzynę, i to w nieograniczonej ilości: możesz cały zwierzostan wywieźć do Polski. W domu jego doznasz ciepła rodzinnego ogniska. Sprawi to jego żona, wielka czarodziejka, łącząca w sobie urok amazonki z wdziękiem niewiasty z polskiego dworu. Gdy zajdzie potrzeba, wsadzi cię ta niezwykła pani na swe auto, zawiezie do właściwego urzędu, a w urzędzie — jak najlepszy ambasador — załatwi dla ciebie w mig najzawilszą sprawę. Pani Adamkiewiczowa, świetna towarzyszka męża, urokiem swym podbiła angielskie serce kanadyjskiej stolicy: „a very attractive and charming lady".

Tyle w Ottawie. W Montrealu natomiast wpadniesz w sidła polskiego konsula Kickiego i sekretarza konsulatu Krzeczkowskiego. Nie dasz rady: musisz w konsulacie zamieszkać, musisz tam jadać. Poświęcą ci cały wolny czas pozasłużbowy, a w porze służbowej utorują ci drogę do wszystkich urzędów Montrealu. Na domiar konsul Kicki, typ współczesnego Petroniusza, dbały o twe potrzeby, przedstawi ciebie, jeśliś łasy, jakiejś miłej Kanadyjce, ażeby nie zabrakło pokarmu dla godziwej rozrywki. Żyć, nie umierać.

Na straży obszarów północnych stoi wciąż jeszcze słynna Hudson's Bay Company, ongiś wszechpotężna

kompania, ale i dziś nie byle jaka. Mr Whilmat, jej manager w Montrealu, wskaże ci na mapie dwieście pięćdziesiąt rozsianych wszędzie placówek i uczyni zapraszający ruch ręką: proszę wybierać. Więc wybierasz z tego bogactwa pierwszy lepszy zakątek, ot tu, niedaleko: Oskelanoe River Post w prowincji Quebec, nad północną koleją. — „All right! — powie Mr Whilmat. — Proszę przyjść jutro".

Następnego dnia dowiadujesz się, że wszystko w porządku. Telegrafowali. Jest dla ciebie łódź w Oskelanoe River, są tam w pobliżu łosie, niedźwiedzie i Indianie Cree. Wszystkie placówki na północ od Oskelanoe River aż pod biegun północny powiadomiono o twym przybyciu: będą ci pomagali. Potem Mr Whilmat wręcza ci mapy oraz księgę dziejów Hudson's Bay Company i życzy powodzenia. Wszystko zupełnie bezinteresownie.

W salonach państwa Adamkiewiczów poznasz Mr William Lion Mackenzie Kinga; the leader of His Majesty's most loyal opposition, „przywódcę Jego Królewskiej Mości najbardziej lojalnej opozycji", to jest po prostu liberałów. Mackenzie King doszedł w październiku 1935 roku do władzy i został prezesem kanadyjskiej rady ministrów. Więc ściskając dłoń tego człowieka pamiętaj, że ściskasz dłoń przyszłego wodza kraju, który, jak dawniej Stany Zjednoczone, ma teraz przed sobą nieograniczone możliwości i potencjalnie najbogatsze zasoby naturalne pod słońcem. Uścisk dłoni Mackenzie Kinga może być dobrym żyrem.

Mając pół godziny czasu wstępujesz do schludnej księgarenki przy Sherbroke Street w Montrealu. Siedzi w niej staruszek o niezwykle uduchowionym wyrazie twarzy. Pytasz o książki z dziedziny historii i przyrody Kanady. Staruszek pokazuje ci, co ma, a potem wdaje się w gawędę. Od słowa do słowa, wątek po wątku, coraz więcej między wami ciepła i zanim się spostrzeżesz, spotka cię tu, przy obcej ulicy obcego miasta, niezwykła przygoda z księgarzem, odległym ci wiekiem: on ci swe serce otworzy, a ty jemu. Księgarze to na ogół dobry naród, ale ów z Sherbroke Street to chyba najlepszy z tego narodu. Przyszedłeś na pół godziny; strzeż się, ażeby nie zostać pół dnia albo przez cały tydzień.

Pamiętaj, że czeka na ciebie północ. Tam twój cel. Tu zarzucą na ciebie sieci, ochuchają, omotają, rozpieszczą. Nie daj się, bracie! Wyrwij się ludziom z Doliny Św. Wawrzyńca!

VOLTAIRE ZAPOMNIAŁ...

Czcigodny Voltaire wyraził się kiedyś dość pogardliwie o Kanadzie i powiedział, że to tylko „kilka morgów śniegu", *„quelques arpents de neige"*. Ujemny sąd filozofa nabrał rozgłosu, stał się powszechną wiarą, niewzruszoną wyrocznią i nieodłącznie przylgnął do francuskiego pojęcia o Kanadzie.

A oto siedzę teraz na tych kanadyjskich morgach. Śniegu nie ma. Jest sierpień. I gorąco, strasznie gorąco. Przed chwilą kroczyłem przez polanę wśród gęstej, wysokiej trawy, ciesząc się, że niebo nade mną było koloru głęboko lazurowego, a w trawie roiło się od tylu owadów i tak bujnego życia. Wielki, podwójny żar bił od słońca z góry i od zielska z dołu. Potem nagle przestałem się cieszyć, czarne kręgi stanęły przed oczyma i przytrafił mi się niespodziany wypadek. To, czego nie doznałem ani w Brazylii nad Amazonką, ani u stóp Andów, spotkało mnie tu, o sto mil na północ od Ottawy: dostałem porażenia słonecznego. Na szczęście był w pobliżu cienisty klon. Dowlokłem się tam i ległem pod drzewem.

Las otaczający gorącą polanę posiada wszystkie odcienie zieleni. Jest to las bujny i bardzo żywotny. Chociaż rośnie na podłożu skalistym i chociaż dwadzieścia kilka lat temu zniszczył go pożar, nagminna plaga puszczy kanadyjskiej, choć drzewa nie są zbyt wysokie — to jednak wyczuwa się w tym lesie jakąś niezmierną chęć do życia, rozrostu i rozmnażania. Soki płynące w żyłach tutejszych drzew pulsują widocznie raźniej niż w naszych europejskich pniach i namiętniej wyłaniają się spod kory pachnące żywice. A na wiosnę ludzie wytaczają z klonów słodki syrop garncami, bez uszczerbku dla zdrowia drzew.

Uderza wielka różnorodność zalesienia. Spod klonu, pod którym teraz wypoczywam, widzę dokoła siebie kilkanaście gatunków drzew liściastych i kilka iglicowych. Zeszła się ich cała piękna kompania. Dęby, leszczyny, buki, osiki, jesiony, lipy, brzozy, cedry, świerki, jodły, sosny i jeszcze jakieś nieznane mi gatunki. Wszystko to pokrewne naszym europejskim drzewom, a jednak trochę inne: w szczegółach, a przede wszystkim w tętnie życia jakieś silniejsze, radośniejsze, bogatsze. Wiadomo, że bogatsze: toż to nasi amerykańscy krewni.

Nigdzie w Europie nie widziałem takiej ilości skoczków, jak na owej polanie kanadyjskiej. Zatrzęsienie skoczków. Każdy krok człowieka wypłasza z trawy setki; rozskakują się na wszystkie strony jak żywy, szeleszczący obłok. Niektóre z nich, większe okazy, wyróżniają się wyjątkowym pięknem. Rozwie-

rając pokrywy ukazują nagle bajecznie niebieskie skrzydła i tak ulatują kilkanaście kroków. Gdy zapadną, kończy się ich krasa i skoczki stają się znów szarą, niewidoczną grudką, podobną do ziemi.

Skoczki żrą trawę. Dobrze to świadczy o płenności trawy kanadyjskiej, że nie widać na polanie żadnego uszczerbku pomimo tysiąca żarłoków. Mnogość owadów przypomina niektóre okolice nad Amazonką. Ale to chyba jakiś paradoks przyrody! Gdzie Amazonka, a gdzie kraj mający nienajlepszą opinię zimnego odludzia? *„Quelques arpents de neige"*. A jednak skoczków jest tu dziwnie wielka ilość.

Są tu także inne owady, prawdziwe dzieci słońca, piewiki. Rozpalone w południe powietrze rozbrzmiewa ich donośnym głosem: metaliczny, ogromnie przeciągły syk, podniesiony prawie do krzyku. Ów charakterystyczny syk szarpie nerwy ludziom i w Rio de Janeiro, i w Kanadzie. Słońce kanadyjskie musi mieć magiczną siłę.

Na polanie wybudował sobie chatę Stanisław, polski traper. Żywi się mięsem jeleni, na które poluje w sąsiednim lesie, a wszelkie odpadki wyrzuca i wylewa w pobliżu chaty. Do tych odpadków przylatują motyle setkami. W dni pogodne chata Stanisława otoczona jest, jakby lotnym nimbem, barwną czeredą wesołych rusałek, ceików, pokrzywników i dostojek. Przywędrowały one tu od nas, z kontynentu eurazjatyckiego. Lecz wśród tej pospolitej gawiedzi zjawia się od czasu do czasu inny gość, dostojny, dumny i niepokojący. Jest to piękny motyl z dalekiego po-

łudnia; nazywają go tu monarchą (Anosia plexippus). Zamożniejszą jego rodzinę widziałem w Para, nad ujściem Amazonki. On zapuścił się na północ z wiarą w słońce kanadyjskie i pozostał tutaj. Teraz karmi się sokami z odpadków jelenia, ubitego przez Stanisława, polskiego trapera. I żyje.

Jakiś ptak przyleciał na wierzchołek mego klonu i czegoś się denerwuje. Krzycząca barwa jego upierzenia, najintensywniejszy szkarłat, przykuwa wzrok. Patrzę i oczom nie wierzę. Toż to, do licha, tangar, najprawdziwszy, czerwony tangar. Dość mam już brazylijskich wspomnień. Zrywam się i idę do pobliskiej rzeczki, St. Denis Creek.

Wskakując do wody wypłaszam dwa pstrągi. Woda jest wspaniale chłodna. Po kilku minutach, nowonarodzony, wychodzę na ląd. Podczas ubierania się odpędzam od siebie osy i muchy, wielkie i złe. Zaledwie się obroniłem, gdy słyszę nowy turkot. Tym razem oddech mi zapiera. Czyżby kolibr?

Tak, to kolibr. Przyleciał, zawisł nade mną w powietrzu i przygląda mi się z zuchwałą ciekawością. Taki sam maleńki, zwinny, długodzioby i barwny jak jego bracia nad rzeką Ukajali. Taki sam miłośnik kwiatów, czciciel słońca, niezwyciężony lotnik, kochany brzdąc, kolibr.

Kolibr mnie przekonuje. Voltaire nie miał racji. Oprócz surowej zimy, śnieżnej i długotrwałej, Kanada posiada gorące lato z porażeniem słońca, skoczkami, piewikami i kolibrem. O tym Voltaire nie pamiętał.

Czy zapomniał? Ujemne słowa Voltaire'a o Kanadzie zyskały wielki rozgłos. Lecz równą sławę zdobył inny Francuz, La Fontaine, bajką o mądrym lisku i kwaśnych, zielonych winogronach. Voltaire wypowiedział swój ujemny sąd wtedy, gdy Francja po przegranej wojnie z Anglią utraciła Kanadę. Mądry lisek nazwał winogrona kwaśnymi wtedy, gdy nie mógł ich dosięgnąć.

A winogrona rosną w Kanadzie w pobliżu miasta Toronto i wcale nie są kwaśne.

5

MIĘDZY PUSZCZĄ A BOGIEM

Stanisław znalazł w końcu swe szczęście na słonecznej polanie kanadyjskiej, nad rzeką St. Denis, która wpływa do rzeki Lièvre. Na wschód od polany rozciąga się wielki, nie kończący się las. Są tam góry, jeziora, bobry, niedźwiedzie i jelenie. Nie ma ludzi i ścieżek. Ludzie zostali poza Stanisławem, w miastach i osadach. Wśród ludzi szedł Stanisław drogą pełną cierni, aż doszedł do polany. Dziś, skradając się do jeleni, Stanisław przedziera się również przez ciernie: lecz tym razem to ciernie malin, jężyn i gąszczu leśnego. Stanisław jest szczęśliwy.

Doznał zwykłego losu polskiego emigranta. Pochodzi spod Środy. Ojciec jego był owczarzem, miał złote serce i był poważanym ogólnie obywatelem. Stanisław pomagał ojcu, ale gdy chcieli go wziąć do wojska pruskiego, umknął do Ameryki. Nie wiadomo, czy stchórzył, czy się zbuntował. W Ameryce, jak to zwykle bywa, próbował wszystkiego. Był dosłownie pod wozem i na wozie, konduktorem tramwajowym i robotnikiem w różnych fabrykach. Póź-

niej dostał się do lasu kanadyjskiego, między Kaszubów w Otterlake. Tam dorwał się strzelby. Las mu zapachniał.

Piętnaście lat przebywał w Otterlake, a potem stwierdził, że okoliczne gąszcze nie mają już godnej zwierzyny, i zaczął szukać nowych terenów. Tak przybył nad rzekę St. Denis, znalazł słoneczną polanę i wybudował sobie chatę. Mieszka tu od kilku lat. Uprawia na sąsiednim pagórku ziemniaki, na stokach Góry Jastrzębiej zbiera czarne jagody, w St. Denis Creek łowi pstrągi, w rzece Lièvre szczupaki, a w okolicznych lasach zdobywa swój główny pokarm, jelenie. Strzela po mistrzowsku.

Żyje samotnie zimą i latem, i tylko psa ma za towarzysza. Jest to czarny, mały kundel wabiący się Nigger, nieudana mieszanka ras, psi kretyn, wierny i bez pożytku. Może dlatego, że kretyn, Stanisław otacza go troskliwą opieką i kocha. Kochać trzeba coś żywego.

W dalekim Montrealu Stanisław ma kilku przypadkowych przyjaciół, Kanadyjczyków. Jesienią przyjeżdżają na kilka tygodni na polowanie i zostawiają Stanisławowi trochę pieniędzy, za które kupuje sobie naboje i skromną odzież na zimę.

Stanisław jest bardzo biedny, jeżeli chodzi o pieniądze, i nie ma żadnych ambicji ludzi miasta. Nie chce zarabiać pieniędzy. Sam wszystko robi i jest sobie krawcem, szewcem, lekarzem, stolarzem. Sąsiedzi ze wsi często przychodzą do niego i proszą go o pomoc. Udziela jej chętnie.

Samotność i częste przebywanie w lesie, wśród drzew, odbiły się na jego usposobieniu. Wyrobiły w nim nie tylko hart fizyczny, lecz również jakieś dziwne, nadzwyczajne zrównoważenie; ruchom jego nadały powolność, a myśli wtłoczyły w jakieś uproszczone tory o twardej, archaicznej logice. Stanisław nie jest przy tym bynajmniej odludkiem. Wesołej gawędy nigdy nie zepsuł.

Długo się dziwiłem, że nie założył rodziny. Ma już 47 lat. Żona i dzieci są w puszczy bardzo potrzebne. Razu pewnego poruszam ten temat i pytam Stanisława, dlaczego się nie ożenił. Nie daje mi zadowalającej odpowiedzi. Nie chciał żony, jakoś się bez kobiety obyło, odpowiada. Czy może go spotkał zawód miłosny? Nie, nie spotkał go. A dzieci nie chciałby mieć?

— Nigdy o własnych dzieciach nie myślałem...

Spoglądam na niego z litością. Stanisław, którego przeznaczenie zapędziło do lasu, aby żył w najbliższej styczności z przyrodą, sam na sobie nie doznał największej władzy tej przyrody: miłości. Nie daję za wygraną:

— Niebawem nadejdzie i zawieje północny wiatr. Potem przyjdą śniegi i zima będzie trwała blisko pół roku. Przebywanie samotne w ciemnej chacie przez tak długi czas musi być chyba udręką. Czy nie tęsknicie wówczas do człowieka bliskiego sercu?

Stanisław się zamyśla, zanim odpowiada, że nie wie, czy tęskni. A raczej wie, że nie tęskni zimą do ludzi, bo przebywa wtedy z nim ktoś inny.

— Kto to?

— Pan Bóg! — mówi cicho.

Prawda, Stanisław jest żarliwie religijny. Przenika go wiara tak gorąca i głęboka, że niekiedy wydaje się czymś chorobliwym. Bóg zeszedł z nieba, bierze udział w jego czynnościach, stoi tuż przy nim. Z Bogiem rozmawia jak z kimś obecnym, pyta go o radę. Bóg towarzyszy Stanisławowi w długie dni zimowe w chacie, a obecność jego chroni człowieka od wstrząsów nerwowych.

W życiu Stanisława zaszły dwa zdarzenia, które uważa za cudy. W kanadyjskiej prowincji Quebec, zaludnionej przeważnie przez Francuzów-katolików, panuje po dziś dzień żywy duch głębokiej wiary i istnieje wiele miejsc słynnych z cudów. Najsławniejsze wśród nich — to kościół św. Józefa na górze nad miastem Montrealem i kościół św. Anny w Beaupré pod Quebekiem.

Kilka lat temu Stanisław ciężko chorował przez pół roku na żołądek. Było już bardzo źle; lekarze stracili nadzieję utrzymania go przy życiu. W ostatniej rozpaczy pojechał do ojca Andrzeja, twórcy kościoła św. Józefa. Ojciec Andrzej oświadczył, że Stanisław wyzdrowieje. Rzeczywiście wyzdrowiał w przeciągu dwóch tygodni.

Innym razem Stanisław brał udział w pielgrzymce do kościoła św. Anny w Beaupré, a ponieważ jest w zwyczaju prosić przy tym o łaski, poprosił o wyleczenie egzemy, jaką miał od lat na palcu. Po dwóch dniach, ku jego osłupieniu, egzema znikła. Obydwa

wypadki świadczą o niesłychanie gorącej wierze Stanisława.

Przy tym wszystkim Stanisław nie posiada wcale znamion bohatera. Pomimo pobożności nie miota nim ogień trawiący zuchwałych rycerzy krzyżowych. Pomimo że przebywa w lesie, nie posiada ciała Tarzana, a twarz jego o wynędzniałych, zapadłych policzkach nie jest fotogeniczna. Nie płonie w nim żądza wielkich czynów, jak u bohaterów Londona: Stanisław pozostał cichym, skromnym człowieczkiem o zrównoważonym oddechu, chociaż życie rzuciło go między dwie najwspanialsze, podniecające, twórcze potęgi: pomiędzy puszczę a Boga.

W dwie, trzy godziny po zachodzie słońca kładziemy się na spoczynek. Stanisław ostatni. Zanim zgasi lampę naftową, czyści jeszcze strzelby, potem klęka przed obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i odmawia pacierze. Modli się długo, przez kilkanaście minut. Wzniesione oczy jego zapalają się blaskiem, jak gdyby zapatrzone w inny świat. Wyraz błogiego szczęścia bije wówczas z twarzy Stanisława.

O tej samej porze wilki zaczynają zazwyczaj wyć po sąsiednich stokach. Ruszają na swe nocne, drapieżne łowy. Całkiem otwarcie i brutalnie głoszą wojnę wszystkim słabszym stworzeniom puszczy. Potem słychać inne odgłosy. Dwa krótkie, tubalne, basowe okrzyki, zakończone trzecim, dłuższym i jeszcze bardziej ponurym: hu, hu, huuuuu. To także drapieżnik nocny, sowa. I też obwieszcza, że jest głodny i groźny dla sąsiadów.

Dziwnie schodzą się te wszystkie głosy: tu w chacie — wołanie do Boga, tam w puszczy — wołanie o żer. Pomiędzy tymi dwiema żądzami mieszczą się, właściwie, wszystkie interesy życia.

I tak między puszczą a Bogiem zasypiamy na koniec w chacie kanadyjskiej polskiego trapera.

6

SĄSIEDZI

Co dzień rano wychodzimy na polowanie. Stanisław, mistrz w czytaniu śladów, szeptem tłumaczy mi po drodze, co się działo w nocy. Tędy szły dwa jelenie, tam zatrzymał się igłozwierz i gryzł korę, a tu inny jeleń, spłoszony, dał susa. Niedźwiedzich śladów napotykamy wiele, ale starych: łamane drzewka dzikich czereśni z objedzonymi owocami i leżące, zmurszałe pnie, porozrywane w poszukiwaniu gąsienic. Świeżych tropów niedźwiedzich nie widać niestety. Nie widać również świeżych śladów sąsiada Desautelles'a, na szczęście.

Desautelles poluje na nas. Całkiem nie na żarty oświadczył, że będzie do nas strzelał, gdy ujrzy nas w lesie, w swoim lesie. Ponieważ jest to złośliwy wariat, gotów rzeczywiście strzelać. Mamy się na baczności.

Desautelles mieszkał dawniej we wsi, wśród ludzi. Dokuczał i zatruwał życie sąsiadom do tego stopnia, że ich w końcu krew zalała i zbili go na kwaśne

jabłko. Po wyleczeniu się z ran wyprowadził się do lasu, nad rzekę St. Denis, i tu zagospodarował się wraz z żoną, biedną kobieciną. Miał psa. Przywiązał go kiedyś do drzewa i zamorzył głodem. Miał również konia; zamęczył go na śmierć.

Do Stanisława żywi nienawiść, ponieważ traper osiadł w pobliżu i poluje w lesie. Desautelles sam wcale nie jest myśliwym, a las nie należy przecież do nikogo. Mimo to niegodziwiec nie chce, ażeby Stanisław polował, i grozi mu zastrzeleniem. Groźbę przeniósł teraz także i na mnie.

Chcąc zakończyć taką koszmarną, bądź co bądź, romantykę, idę do dzikusa, by z nim się jakoś rozmówić. Przyjmuje mnie w swej zapadłej chacie, lecz rozmawiamy jak ślepy z głuchym. Po przedstawieniu się powiadam mu, że przyjechałem w te strony w gościnę, ażeby podziwiać piękno tutejszych lasów. On na to odpowiada, że ma piękną muszkę na flincie i że dobrze strzela. Ja proszę go o pozwolenie chodzenia po jego lesie. On: że dostał świeże naboje. I taka już jest cała nasza rozmowa.

Potem nagle zrywa się i w przystępie gniewu zaczyna się ni stąd, ni zowąd pienić, że to wszystko jego lasy, że on tu panem, że nikogo nie ścierpi. To nie obłęd, raczej pieni się na jego ustach bezgraniczna złośliwość. Ale skąd się bierze? — Rozległy, bogaty kraj i świeże powietrze stwarzają tu ludzi zdrowych i zadowolonych. Desautelles o kwadratowej twarzy francuskiego chłopa, ruchach niedźwiedzia, a oczach wilka, jest jak złośliwy wrzód, obcy

i wrogi, nie wiadomo dlaczego tu wyrosły. Stanowi w tej puszczy zgrzyt.

Zupełnie inni ludzie mieszkają z drugiej strony, w kierunku zachodnim, nad rzeką Lièvre. Tam rozciąga się wzdłuż rzeki na przestrzeni blisko dwudziestu mil osada Val de Bois, zamieszkała wyłącznie przez kanadyjskich Francuzów. Jest to jak gdyby wycinek z XVII stulecia. Są to mili, spokojni, biedni chłopi. Nikły ich uśmiech i skromne ich pragnienia. Nie chcą zdobywać. Prawie wszyscy są analfabetami. Mają niewielkie pola; wystarcza im sierp i motyka. Światu nic nie dają, od świata prawie nic nie biorą. Sami przeważnie przędą sobie odzież. Są to zwykli, mali ludzie: trochę zawistni, trochę małostkowi, rozplotkowani, leniwi, w miarę chytrzy, nieszkodliwi. Ciasny, zabity deskami świat.

W Val des Bois nie ma Ameryki. Ameryka jest na południu, zaledwie o trzy godziny jazdy automobilem: buduje tam drapacze chmur, sieci kolejowe, milionowe miasta, wytęża myśl; huczy pługiem silnikowym, zdziera sobie nerwy, tworzy i kipi. Lecz do Val des Bois nie dociera. Val des Bois, jak prawie wszystkie osiedla francuskie w Kanadzie, nie bierze udziału w amerykańskim pędzie. Nie doznaje zawrotu głowy. Leży na uboczu, w zupełnej ciszy. Dwa skrajne światy, dwa paradoksalne przeciwieństwa, a między nimi tylko trzy godziny drogi.

Najbliżej chaty Stanisława, u ujścia St. Denis Creek do rzeki Lièvre, mieszkają trzy liczne rodziny: Tackowie i dwie rodziny Collardów. Dobrzy lu-

dzie, życzliwi i też mający drobne troski. Stanisław żyje z nimi w najlepszej zgodzie sąsiedzkiej.

Największą potęgą, bezapelacyjnym sędzią, jedynym autorytetem w Val des Bois jest ksiądz Vilmore, oczywiście także Francuz. Inteligentny, dobroduszny, ascetyczny, nieubłagany, uderza pięścią w kazalnicę i rzuca gromy na grzeszników. Tackowie, Collardowie i inni mają skruszone miny i biją się w piersi.

Ostatnio zdobyli się na odwagę i zadarli z nim. Znaleźli powód. Bez zawiadomienia komisji kościelnej proboszcz kupił krzesła na miejsce ławek, które z kościoła usunął. Parafia chciała nadal siedzieć na ławkach i zawzięła się na księdza. Posłała delegację do biskupa w Montrealu z żądaniem innego proboszcza.

Tymczasem przyjeżdża na to do Val de Bois jakiś ogromnie jowialny a mądry ksiądz i wygarnia kazanie. O zbyt długich językach, niepotrzebnych delegacjach i gorących głowach. Kazanie tryska tak żywiołową, zdrową wesołością i naszpikowane jest tylu dowcipnymi „powiedzonkami", że parafianie rozpogadzają swe ponure twarze w uśmiechach. Już nie ma chmur, jest coraz więcej uśmiechów. A gdy księżulo dostatecznie ośmieszył długie języki i niepotrzebne delegacje, zapytuje się skromnie, czy to niedobrze siedzieć na krzesłach i z wygodnej postawy chwalić Pana Boga? Parafianie w duchu przyznają, że ma rację. Tak kończy się ławkowa wojna, a ksiądz Vilmore odzyskuje swój autorytet i nadal sprawuje surowe rządy w parafii Val des Bois.

Co dzień rano, na krótko po wschodzie słońca, rozlegają się dokoła naszej chaty donośne ptasie gwizdy i krzyki. To czupurne, mądre ptaszki, zwane tu bluejays, czyli po prostu kanadyjskie sojki. Pojawiają się na skraju polany, przez kilka minut hałasują i wymyślają, potem wynoszą się do gąszczu po drugiej stronie strumyka. Lubię te wścibskie ptaki. Jakoś raźno, wesoło i z wdzięcznym tupetem zaczynają dzień.

Są to nie tylko nasi najbliżsi, ale i najmilsi sąsiedzi.

7

ROBERT CAVELIER, SIEUR DE LA SALLE

Coureurs des bois! Twardzi to byli junacy, silni, nieustraszeni, wytrzymali na wszystkie trudy, nieokiełzani, pełni szalonej fantazji. Całą duszą umiłowali leśne knieje, a indiańskie dziewczyny brali sobie za towarzyszki i żony. Jacyś okazali, płomienni i beztroscy. Bracia tych dziewczyn zbierali dla nich skórki zwierząt futerkowych, a gdy coureurs des bois — wędrowcy leśni — wracali do osad swych rodaków nad Rzekę Św. Wawrzyńca, przynosili i skarby skórek, i podniecające wieści o dalekich jeziorach, uroczych rzekach i pięknych ustroniach.

Najśmielszym, najpowabniejszym, a zarazem najtragiczniejszym wśród wędrowców leśnych był Robert Cavelier, Sieur de la Salle. Miał zuchwałe sny i urzeczywistniał je, że darował Francji kraj dwadzieścia razy niż ona większy i kochali go królowie; że miał serce dumne i ogniste, nienawidziło go pospólstwo i ostatecznie go zgładziło wbijając mu nóż w plecy.

Od samej młodości La Salle marzył i tęsknił. Ma-

rzył w rodzinnym Rouen o dalekiej, dzikiej Kanadzie i błyszczącym wzrokiem patrzał w stronę zachodzącego słońca. Gdy dziecięce marzenia jego w 23 roku życia się ziściły i La Salle osiadł nad Rzeką Św. Wawrzyńca w pobliżu Montrealu, znów marzył o zachodzie i spoglądał w stronę wielkich jezior.

Do tych jezior — Ontario, Erie, Huron — sięgały wówczas ludzkie wiadomości; zapuszczali się czasem nad ich brzegi odważniejsi handlarze skórek. Ale o tym, co było poza jeziorami, na zachód od nich, nikt nic nie wiedział. Krążyły tylko głuche wieści o niezmiernym bogactwie ziemi i lasów, i o jakiejś ogromnej, tajemniczej rzece, nie wiadomo dokąd płynącej, a nazwanej przez Indian Missisipi, matką wód.

Tajemniczość nieznanego kraju i wielkiej rzeki nęciła coraz bardziej niespokojną duszę La Salle'a i budziła w nim gorączkowy niepokój. Na razie przez kilka lat poznawał puszczę nad Rzeką Św. Wawrzyńca, uczył się narzeczy indiańskich, zdobywał hart i doświadczenie, mężniał. La Salle umiał nie tylko marzyć; patrzał bystrym okiem w świat i podbijał go sobie mocnym ramieniem i nieugiętą wolą. Królowi przedłożył śmiały plan: że własnym kosztem zbuduje łańcuch fortów wzdłuż wielkich jezior aż do samej tajemniczej rzeki Missisipi, jeżeli król ułatwi mu zdobycie majątku i odda mu w dzierżawę świeżo zbudowany nad jeziorem Ontario fort Frontenac (dzisiejsze miasto Kingston) oraz wyłączne

prawo hadlowania skórkami w okolicznych lasach.

Ludwik XIV znał się na ludziach. Oddał mu fort Frontenac. La Salle zaczął realizować swe wielkie dzieło, lecz tym samym ściągnął na siebie nienawiść wpływowych kupców skórek w Montrealu, zazdrosnych o swe prawa; nienawiść, brzemienną w skutki.

Pierwszy fort wznosi nad Niagarą. Amerykański fort, czynnik tak ważny w dziejach podboju kontynentu, to kilka drewnianych chałup, otoczonych dla ochrony warownymi palisadami. Potem La Salle buduje na jeziorze Erie wielki szkuner — pierwszy żaglowiec na tych wodach — zbiera kilkudziesięciu zabijaków, płynie z nimi na zachód, co kilkaset kilometrów zakłada nowy fort, aż dociera do samego południowo-zachodniego krańca jeziora Michigan. Tu stwierdza, że nie może dalej płynąć i musi nowy statek zbudować na rzece Illinois, ażeby dostać się do upragnionej Missisipi. Lecz nie ma narzędzi i brak mu pieniędzy; za to uzbierał olbrzymi majątek w skórkach. Posyła je wraz z żaglowcem na wschód do domu, by je spieniężyć. Wówczas uderza go pierwszy cios losu; zresztą, nie wiadomo czyja to sprawka — złego losu, czy zawistnych ludzi: okręt z cenną przesyłką nigdy nie dochodzi do celu, ginie gdzieś zupełnie bez wieści.

Po kilku miesiącach czekania w głuchej puszczy wygłodniali ludzie się buntują. La Salle, chcąc im sprowadzić pomoc, sam piechotą przedziera się przez lasy, dwa tysiące kilometrów, do Montrealu.

Wśród straszliwych męczarni, głodu, śnieżyc, spania w zlodowaciałym ubraniu, prześladowań Indian La Salle dokonuje cudów wytrzymałości i żelaznej woli. Dociera do celu, jakkolwiek na pół martwy.

W Montrealu spada na niego nowy cios: u ujścia Rzeki Św. Wawrzyńca rozbił się właśnie jego drugi statek, przywożący dla niego zapasy z Francji. Cały dobytek ginie. La Salle jest w rozpaczliwym położeniu. Nie traci otuchy, pożycza pieniędzy i biegnie swoim ludziom na pomoc.

Po przybyciu do miejsca obozu nad rzekę Illinois trzeci cios: ludzi nie ma. Zwariowali albo uciekli. Niektórzy zginęli marną śmiercią w lesie, innych zatorturowali Indianie. Wyswobadza z niewoli trzech niedobitków. Podnosi ich na duchu (on, który przecież najwięcej stracił i ucierpiał), bierze małą łódź i w czwórkę płyną w dół rzeki. Najpierw w dół Illinois, potem nareszcie, nareszcie, do tak długo i gorąco upragnionej Missisipi. La Salle płynie w kruchym canoe, nie na wielkim statku, jako biedny wędrowiec i bez licznego zastępu ludzi, a jednak płynie jak prawdziwy wódz i wielki odkrywca; ani na chwilę nie traci niezłomnej wiary w swe zwycięstwo.

Zwycięża. Dociera do ujścia Missisipi i tu, dnia 4 kwietnia 1682 roku (dnia dobrze znanego wszystkim uczniom szkolnym w Ameryce), wbija w ziemię surowy pal z wrytymi trzema liliami i w uroczystej przemowie do swych trzech towarzyszy anektuje dla króla Francji, niezwyciężonego Ludwika XIV, wielką rzekę Missisipi wraz z jej dopływami, zatokami,

wyspami, ze wszelką ziemią, z ludźmi i zwierzętami. Chociaż czyni to wynędzniały obszarpaniec wobec trzech innych obszarpańców, to jednak staje się ta chwila ważnym dziejowym momentem i rzeczywiście wzbogaca Francję o olbrzymią kolonię.

Trzeba jednak najszybciej umocnić władzę nad nowym krajem i osiedlić ludzi nad rzeką. La Salle wraca po nich tą samą drogą, którą przybył. Lecz w Montrealu czeka go znów niespodziewany cios. Korzystając z jego nieobecności wierzyciele przywłaszczyli sobie wszystkie jego forty nad wielkimi jeziorami, wrogowie zaś wystarali się o nakaz uwięzienia go za długi. Ukrywa się jak prześladowąny zwierz, potem ucieka do Francji.

Król francuski przyjmuje go z otwartymi rękami i nazywa go swoim przyjacielem. Uznaje wielką doniosłość nowej kolonii, daje śmiałkowi cztery okręty i blisko trzystu ludzi dla założenia miasta u ujścia Missisipi. W czasie przejazdu przez morze La Salle ma sprzeczkę z kapitanem flotylli. Dlatego okręty złośliwym losem nie trafiają do celu, lecz lądują o kilkaset kilometrów na zachód od ujścia Missisipi. Burza niszczy jeden statek, drugi zdobywają Hiszpanie, na trzecim i czwartym zdradliwie ucieka kapitan floty zabierając wszelką żywność ze sobą i zostawiając La Salle'a i jego ludzi na łasce losu w dzikim, straszliwie niezdrowym kraju.

Dla opuszczonych zaczyna się prawdziwe piekło. Choroby, głód, waśnie, bratobójcza zawiść, obłęd i walki z Indianami niszczą ludzi. W krótkim cza-

sie jest ich już tylko nikła garstka na pół żywych cieni. Gdy oczekiwanie pomocy od strony morza okazuje się beznadziejne, La Salle wybiera kilku co wierniejszych i zdrowszych towarzyszy i postanawia z nimi udać się lądem do Kanady po pomoc.

Złych wybrał towarzyszy. Nie wytrzymali napięcia nerwów. Gdy trudności marszu się piętrzą, towarzyszy ogarnia szaleństwo. W ich słabych sercach lęgnie się podłość i nienawiść. Znienacka, tchórzliwie, wbijają nóż w plecy La Salle'a. To ostatni cios zadany mu przez ludzi. Mordercy rozpraszają się w lesie i giną jak szczenięta, którym zbrakło opieki.

Dzieło La Salle'a nie poszło na marne. Niebawem zakwitły nad Missisipi osiedla francuskie i otoczyły wraz z posiadłościami kanadyjskimi jednym ciągłym murem angielską kolonię. W dziejach Ameryki Północnej nastał moment, w którym zdawało się, że dzięki śmiałości jednego człowieka trzy lilie rozłożą się na całym kontynencie i opanują go.

Do dziś nie wiadomo, gdzie zginął ten zuchwały człowiek. Może nad rzeką Brazos, może nad granicą dzisiejszego Teksasu. Zwłoki jego pożarły zwierzęta leśne. Nikt jego kości nie zbierał. La Salle'a pochłonęła całkowicie puszcza. Zginął jak prawdziwy coureur des bois. Był największy z nich, najwspanialszy; śnił i urzeczywistniał cudowne, ogniste sny.

Coureurs des bois! Aż dziw bierze, jak szybko ten wspaniały zastęp zuchów wyginął później, gdy nadeszła niewola angielska, a Francuzi kanadyjscy stali się bierną masą ciemnego chłopstwa.

BOBRY

W puszczy dzieją się rzeczy zapierające dech w piersi. Trzy dni temu wiła się skromnie rzeczka na dnie doliny. Przeskakiwaliśmy przez nią idąc na polowanie. A oto dziś miast rzeczki rozciąga się przed nami potężne jezioro, długie na milę. Zatopiło krzewy, zielska i pnie drzew; wielka, prawdziwa powódź. A przecież od trzech dni nie spadła ani kropla deszczu i żadne inne sąsiednie rzeki ani o centymetr nie przybrały. Tylko ta jedna.

Idąc brzegiem jeziora docieramy do jego końca i tu widzimy przyczynę powodzi: długą na trzydzieści kroków tamę, zbudowaną w poprzek rzeki z mułu, gałęzi, pociętych pni i kamieni. Budowniczowie z wielkim znawstwem wyzyskali teren: tamę postawili w najwęższym miejscu doliny i w ten sposób mogli małym stosunkowo nakładem pracy stworzyć wielkie jezioro. Rzut oka na tamę przekonuje Stanisława, kto ją zrobił. Bobry.

Tak, prawie w oczach naszych powstaje jezioro, nowa jednostka geograficzna, i już mapy tej okolicy

stają się niedokładne. Wodę nazywamy Jeziorem Bobrowym. Odtąd w naszych wycieczkach myśliwskich trzeba je okrążać.

Bobrów nie widzimy. Są co prawda wszędzie ich ślady, pocięte gałęzie, wskazujące, że tu ostatniej nocy przebywały. Prawdopodobnie zwierzęta przywędrowały rzeczką z sąsiedniego jeziora.

— W jakim celu zbudowały tę tamę? — pytam Stanisława.

Na razie nie może odpowiedzieć. Przeszukujemy brzegi jeziora i w pewnym miejscu spostrzegamy wiele śladów bobrowych, wychodzących na ląd. Stoi tu grupa kilkunastu topoli pomiędzy innymi drzewami, przeważnie iglastymi.

— Mamy wyjaśnienie! — oświadcza Stanisław uradowany i wskazuje na topole. Z jakimś niezwykłym u niego zainteresowaniem zaczyna oglądać ślady...

Kora topoli stanowi przysmak bobrów. Zwierzęta te, żyjące wyłącznie na wodzie, ścinają sobie drzewa tylko nad jej brzegiem, ażeby móc spławiać je tam, gdzie potrzebują. Grupa topoli nie stała nad rzeką, lecz oddalona była od niej o przeszło dwieście kroków. Dlatego przemyślne zwierzęta zbudowały tamę i sztucznie podniosły poziom wody, ażeby sięgała aż do samych topoli. Dowód wielkiej zaradności mądrych gryzoniów.

Bobry budują tamy jeszcze z innych powodów: ażeby woda była dostatecznie głęboka. W wodzie zakładają z drzewa i chrustu skomplikowane domo-

stwa, nazwane gonami. Gony wyłaniają się ponad powierzchnię jeziora, lecz dostać się do ich wnętrza można tylko podziemnymi i podwodnymi gankami. Podwodne wejście do tych ganków musi znajdować się bardzo głęboko, ażeby w czasie srogiej zimy nie zamarzło. Bobry podobno znakomicie przeczuwają i wiedzą, jaka będzie zima i ile trzeba im wody.

W okolicy Stanisława było kiedyś niezmiernie wiele bobrów; prawie wszystkie jeziora posiadają tamy, niektóre sprzed kilkudziesięciu lat. Sterczą tam teraz ku niebu liczne, obumarłe pnie drzew, które ongiś rosły na suchej ziemi. Dziś gniją w wodzie.

Nie wszędzie do dziś zachowały się zwierzęta. Tylko w dwóch jeziorach, niestety, widziałem ich gony, kopulaste wyniesienia na wodzie, świetnie zamaskowane chrustem i gałęziami. Z innych wód bobry wyniosły się lub wyłapał je najzawziętszy niszczyciel. Człowiek.

Gdy Stanisław patrzy na ślady bobrowe pod topolami, oczy zaczynają mu chodzić niespokojnie. Po powrocie do domu wyszukuje żelaza. Nie wolno bowiem łowić, jest surowy zakaz. Stanisław jest na wskroś uczciwym i prawomyślnym obywatelem. A jednak przygotowuje żelaza. Bobry — niezwalczona pokusa dla trapera — wyprowadzają go z równowagi.

Biedne bobry! Dzięki niezwykłej inteligencji znakomicie obroniły się wobec wszystkich wrogów czyhających na nie w puszczy: niedźwiedzi, wilków, rosomaków, lisów. Rozmnażały się licznie, nikomu nie

wchodząc w drogę, żywiąc się drzewami, których jest niewyczerpany zapas. Było ich pełno we wszystkich rzekach i jeziorach, a rzek i jezior w Kanadzie jest chyba milion. Wznosiły tamy, regulowały wodę, tworzyły kolonie, przeprowadzały kanały, wkładając w każdą swoją czynność mądry zapał, rozwagę i celowość niespotykaną u innych zwierząt. Indianie, posiadający subtelne wyczucie rzeczy doniosłych w przyrodzie, uznali bobry za swoich czworonożnych braci i zabicie ich traktowali jako zbrodnię.

Potem przyszedł biały człowiek. Wniósł do północnej puszczy swoją energię, bezwzględność i chciwość. Futro bobrowe było potrzebne w Europie, gdyż podnosiło urodę kobiet. Gdy bobry stały się modne, w kniei kanadyjskiej zaczęło się wielkie mordowanie i co rok przewożono przez morze pół miliona skórek. Zabijał biały człowiek i zmusił Indianina, by także zabijał.

Bobry, które tak świetnie obroniły się wobec naturalnych wrogów, wilków, teraz nie dały sobie rady. Nastawione dotychczas tylko na pracę pokojową, całe pochłonięte twórczą rozbudową swoich domostw i życia rodzinnego, nie umiały przeciwstawić się nowemu niebezpieczeństwu, tak jak to uczyniły wilki. Wilków dziś jest w Ameryce Północnej prawie że więcej niż kiedykolwiek. Drapieżniki poznały się świetnie na broni dwunożnego drapieżnika i już rzadko wpadają w jego sidła, na truciznę lub pod kulę. Bobry tego się nie nauczyły.

Że zupełnie w Kanadzie nie wyginęły, nie jest to

zasługą człowieka, lecz bezmiaru nie zaludnionych do dziś lasów.

Biały człowiek jest wdzięczny. Po doszczętnym prawie wytępieniu bobrów uznał je za świętość narodową. Przyznał im doniosłe znaczenie cywilizacyjne, jako że myśliwi w pogoni za bobrami przebiegali kraj i odkrywali odludne puszcze. Dlatego bobry znajdujemy w kanadyjskich emblematach państwowych, tak samo jak na monetach Stanów Zjednoczonych widnieją Indianie i wytępione na preriach bizony.

Bobry stały się bohaterami. Biedne, bohaterskie bobry.

Stanisław wyszukał żelaza. Przyprowadza je do porządku i oświadcza, że pójdzie jutro sam do lasu. Nie chce mieć świadków.

9

SZARA SOWA I BOBRY

Stanisław co prawda przygotował sobie żelaza na bobry, lecz nie nastawia ich. Odstępuje od zamiaru i oświadcza, że nie warto zwierząt łowić teraz, w sierpniu, gdy mają letnią sierść bez wartości. Tak więc bezpiecznie mogą żyć bobry, które zbudowały sobie tamę przez rzeczkę i utworzyły jezioro w lesie. Nikt ich spokoju nie zakłóca. Czasem, ciekawością zdjęci, idziemy do grupy topoli i oglądamy, ile ich już ścięły gryzonie. Nocni pracownicy nie próżnują. Wszędzie leżą na ziemi wióry, pocięte gałęzie i sterczące pnie.

Idziemy też nad samą tamę. Piękne dzieło zwierzęcej inżynierii. Pociąga mnie bardzo i wciąż je podziwiam. Przez tamę spływa rzeczka i tworzy mały wodospad. Wodospad głośno i wesoło dźwięczy: to jakby fanfary na cześć bobrów.

Ludzie wyzyskują bobry na wszystkie sposoby. Zabitym ściągają cenną skórę, u żywych bobrów podpatrzyli inteligencję. Nauczyli się od zwierząt ujarzmiania przyrody i budują na rzekach takie same tamy.

Ludzie potrzebują drzewa, nie pierwszego z brzegu, lecz drzewa z tak zwanego lasu miękkiego, głównie kanadyjskich cedrów. Budują zatem tamy i podnoszą poziom wody, ażeby dotrzeć do upatrzonych drzew i ażeby móc je łatwiej spławić, przy czym postępują zupełnie tak samo, jak to czynią bobry. Wszystkie rzeki i potoki, spływające na południe ku Rzece Św. Wawrzyńca i ku wielkim jeziorom, ujęte są w ogniwa licznych tam, a na końcu tych ogniw wznoszą się tartaki i olbrzymie fabryki papieru.

Papier, wykonany z drzewa północnej puszczy, to bogactwo Kanady. Sąsiednie Stany Zjednoczone pochłaniały niezmierzone ilości papieru, na papierze głównie zbudowały swoją cywilizację, postęp i bogactwo. Lecz od czasu do czasu powstają na południu kryzysy gospodarcze, które tu, na północy, odbijają się w niezwykły sposób: na rzekach kanadyjskich tworzą się wielomilowe zapory nagromadzonego drzewa. Na sąsiedniej rzece Lièvre, nadmiernie rozszerzonej wskutek tam, nie widać powierzchni wody: setki tysięcy pni czekają od tygodni na swe przeznaczenie. W swych gorączkowych kalkulacjach ludzie popełnili jakieś kapitalne głupstwa. Mści się błędna gospodarka, zahamował się spław drzewa. Ludzie narzekają na kryzys.

Tymczasem mistrze ludzi, bobry, nie ustają w pracy. Na odległych, cichych rzekach wznoszą swe tamy i ścinają nadal topole. Wiedzione nieomylnym instynktem, nie czynią nigdy więcej zapasów, aniżeli im na zimę potrzeba. Prace swoje wykonują z roz-

wagą, w ramach wytyczonych im przez prawo przyrody, z nieomylną celowością. Są zadowolone, szczęśliwe i nie narzekają na kryzys. Bobry budują swe tamy od niepamiętnych czasów, natomiast ludzie — zaledwie od kilkudziesięciu lat. Bobry są mędrsze i więcej mają doświadczenia.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazywał się Grey Owl — Szara Sowa — i był Metysem. Jego ojciec był Szkotem, jego matka Indianką ze szczepu Apaszów. Tak w każdym razie mówił i pisał przez całe swe życie i nikt tego wówczas nie podawał w wątpliwość. Lecz gdy na krótko przed drugą wojną światową umarł, prasa w Wielkiej Brytanii wywołała największą sensację twierdzeniem, że Grey Owl wcale nie był Metysem, lecz najczystszej wody Brytyjczykiem. Wciąż jeszcze nie wiadomo, kto miał rację — Grey Owl czy prasa, i jego pochodzenie prawdopodobnie na długo pozostanie zagadką.

Urodził się w 1888 w Anglii, kilka tygodni po powrocie swych rodziców z Ameryki. Matka jego była Amerykanką, zapewne pochodzenia indiańskiego. Od lat dziecięcych nieprzepartą tęsknota ciągnęła chłopaka ku Kanadzie. Uczył się nieźle, lecz gdy doszedł do lat trzynastu, przeprawił się przez Atlantyk. W Kanadzie adoptowany przez szczep indiański, wzrastał w lesie i był kolejno przewodnikiem, poszukiwaczem srebra, żołnierzem, traperem. Nigdy nie zaniedbywał przyswajania sobie ogólnej wiedzy

i stał się chyba najbardziej wykształconym wśród łowców kanadyjskich. Mimo to pozostałby przez całe życie w cieniu, jak tylu innych włóczęgów leśnych, gdyby pewnego dnia na jego drodze nie pojawiło się maleńkie, bezbronne stworzenie.

Młody bobrek, wełniasty kłębek o wielkiej główce, bobrowe niemowlę. Opuściła je matka, prawdopodobnie zabita. Grey Owl zabiera ostrożnie maleństwo do chaty, ogrzewa, karmi mlekiem z puszki. Wykarmia je. Po tygodniu bobrzątko otwiera oczy i widzi uśmiechniętego człowieka. Po tygodniu biega za nim jak piesek. Pół roku później Grey Owl chce je wysadzić na pobliskim jeziorze, ale rozkoszny podrostek nie zgadza się. Piszczy płaczliwie, płynie za człowiekiem, wpada do jego chaty i nie pozwala się wypędzić. W chacie są już inne dwa bobrzątka, które Grey Owl z puszczy przygarnął. Bobry chcą żyć razem z człowiekiem.

Grey Owl przestaje być traperem. Porzuca strzelbę i sidła. Nie chce już więcej zabijać zwierząt. Odzywa się w nim krew matki. Indianie zawsze uważali bobry za czworonożnych braci, których trzeba szanować. Grey Owl, potomek ginącej rasy ludzkiej, ujmuje się za ginącym zwierzęciem. Walczy rozpaczliwie i zawzięcie. Posiada wykształcenie, umie pisać, ma cięte pióro i gorące, rozbudzone serce. Umie przekonywać. Rząd kanadyjski wydaje surowy zakaz łowienia bobrów, a Grey Owla mianuje rządowym opiekunem olbrzymiego rezerwatu przyrody dokoła jego chaty nad Rivière du Loup, w prowincji Que-

bec. Grey Owl staje się popularnym w Kanadzie. Więcej: staje się hasłem.

Pewnego dnia na drodze Grey Owla pojawia się inne stworzenie. Wcale sobie niczego: dobre, czarne oczy, ukarminowane usta i w ogóle miła dla oka, ponętna postać. Anahareo, córka wodzów irokeskich, Indianka, lecz zupełnie zmodernizowana i wychowana wśród białych. Oświadcza, że chce zamieszkać z Grey Owlem i kochać człowieka, który kocha bobry. Grey Owl, trochę zaskoczony, zgadza się na próbę. Wynik znakomity. Znajduje się dwoje odpowiadających sobie ludzi, sprzęga ich gorąca miłość, w głębokiej puszczy rodzi się wielkie uczucie. Anahareo jako żona Grey Owla okazuje się wspaniałym człowiekiem, dzielną towarzyszką, władającą równie dobrze toporkiem jak i pomadką do ust, i okazuje się także wierną sojuszniczką, kochającą zapamiętale bobry.

Oswojonych bobrów mnoży się coraz więcej dokoła chaty Grey Owla. Mają się z pyszna, zazierają co chwila do wnętrza i nie myślą się oddalać. Biegną na zawołanie, jedzą z ręki. Rząd kanadyjski nosi się z zamiarem wyzyskania tej sensacji dla propagandy nowego działu turystyki.

Grey Owl napisał książkę i wydał ją w roku 1934 pt. „Pilgrims of the Wild" — Pielgrzymi puszczy. Pielgrzymi — to on i jego żona. Ale najwięcej w książce pisze o bobrach. Jest to dobra książka, bardzo dobra, pobudzająca i czarująca, a przy tym dziwnie dojrzała. Nowy Testament miłości do zwie-

rzęcia. Grey Owl jest poetą. Prawi słowa proste i ciche, opisuje zdarzenia na pozór zwykłe i codzienne językiem zwięzłym, prawie skąpym, aż nagle z tego wszystkiego bucha wielki, cudowny płomień miłości. Książka Grey Owla jest dokumentem rzadkim: wzbogaca angielską literaturę o poważną, osobliwą pozycję.

Bobry to niezwykłe zwierzęta. Dziwnie wiele dają ludziom. Uczą białych ludzi budować tamy, otwierają serce Metysa, stwarzają sielankę miłosną, są bohaterami jednej z najpiękniejszych książek, w której czerwony człowiek prosi białego — o miłość do zwierzęcia.

A biały?

10

PON-PON

Wicuś Adamkiewicz, syn polskiego konsula generalnego w Ottawie, przyjechał razem ze mną do Stanisława, polskiego trapera nad rzeką St. Denis. Wicuś jest ładnym, zdrowym chłopcem o rumianej, opalonej buzi, jasnoniebieskich oczach i płowej czuprynie. Ma lat czternaście i jest w sam raz uparty, czasem nieposłuszny. W jego młodzieńczym sercu płoną dwie namiętności: polowanie i Pon-Pon.

Lubimy się bardzo. Razem chodzimy na łowy, razem się cieszymy. Mamy wiele wspólnych zapałów i przygód.

Gdy Stanisław zajęty jest robotą przy chacie, wówczas idziemy sami, Wicuś i ja, nad Canada Lake na dzikie kaczki. Jest to romantyczna przechadzka, gdyż z początku trzeba się mieć na baczności przed złym sąsiadem Desautelles'em, naszym wrogiem. Potem ogarnia nas ciemny, wysoki bór z kanadyjskich cedrów, i ścieżka, poprzednio widoczna, zaczyna się gmatwać wśród dzikich krzewów i zielska. Pilnie rozglądamy się dokoła; można tu spotkać jelenie

i leśne kuropatwy. Potem ziemia coraz bardziej opada i staje się śliska i miękka.

Nagle przystajemy jak wryci. Gdzieś przed nami rozrzedza się gąszcz i stamtąd słychać tajemnicze pluski, przytłumione gęgi i bulgoty.

— Są dziś kaczki! — szepce do mnie Wicuś zdławionym głosem. Palą mu się policzki, oczy błyszczą podniecone. Wicuś drży ze wzruszenia i, cały w napięciu, skrada się teraz z jeszcze większą niż dotychczas ostrożnością. Skrada się jakby do czujnego, prawdziwego wroga, a nie do zwykłych, dzikich kaczek.

Znam te wzruszenia. Przed dwudziestu pięciu laty przeżywałem tak samo w dziecięcych snach amerykańską puszczę, przyjaźniłem się z indiańskim wojownikiem, skradałem się do wroga; biło mi wówczas serce. Dziś bije serce Wicusiowi.

Powoli przybliżamy się do brzegu lasu i długo patrzymy jak urzeczeni na widowisko. Stoi na niebie ogromna góra ze stromej, nagiej skały, a u stóp jej leży rozległe jezioro, prawie całe zarośnięte szuwarami i zielskiem; czarodziejski kontrast kanadyjskiej przyrody: obok wyniosłej skały — trzęsawiste, nizinne mokradło. Niedaleko naszego ukrycia pławi się kilka kaczek na powierzchni jeziora.

Wicuś składa się i strzela. Celnie strzela. Rwetes i szum powstają nad jeziorem od wzlatującego ptactwa, ale jedna kaczka, trafiona, pozostaje na wodzie.

Wicuś nie boi się niczego. Bierze rozmokłą tratwę, kiedyś tu związaną przez Stanisława, i wypływa na jezioro po zdobycz. Śmieje się z niebezpieczeństwa

i błotnistej topieli. Pilnuję go z nadbrzeża, żeby lada chwila przyjść mu z pomocą. Obywa się bez wypadku. Wicuś wraca z kaczką.

W drodze powrotnej do domu Wicuś oddaje się marzeniom i wkracza w zupełnie inny świat. Snuje i roi, jak zwykle, o Pon-Pon. Rozwodzi się i myśli o żelaznych konstrukcjach i o swym wynalazku, podczas gdy kaczka, z lubością przytroczona do pasa, okrwawia mu spodnie.

Pon-Pon to przemyślna a chytra zabawka, made in Japan. To blaszany okręcik. W jego środku tkwi prosty, żelazny kociołek z dwoma rurkami wychodzącymi do tyłu. Gdy rozgrzać kociołek podłożonym kawałkiem świeczki i czółenko puścić na wodę, stateczek nabiera życia i wesoło sunie naprzód, dudniąc z rurek ukrytych w wodzie: pong, pong, pong. Genialna prostota tej zabawki urzekła Wicusia. Mały zapaleniec chce zbudować na rzece Lièvre wielką łódź dla użytku Stanisława, na zasadzie Pon-Pon. Lecz dotychczas nie dociekł tej zasady i od wielu dni szuka rozwiązania. Rozbiera czółno, bada, składa i oblicza, lutuje i doświadcza. Wicuś ma zmysł wynalazcy i będzie z niego kiedyś tęgi inżynier, lecz na razie Pon-Pon ukrywa przed nim swoją tajemnicę.

Czasem idziemy nad rzekę Lièvre i łowimy ryby. Szczupaków jest w bród. Łowimy je na „trolla", to jest na błyszczkę, ciągniętą na długim sznurku za łodzią. Wicuś ma większe szczęście i chwyta najlepszego szczupaka, pięciofuntowego rabusia. Chłopiec chce śpiewać, unosi go radość.

Krótko przed zachodem słońca — zachody są teraz, w sierpniu, nieprawdopodobnie kolorowe, a upały wciąż jeszcze tropikalne — wspinamy się na najbliższy pagórek, gdzie Stanisław ma swe półko ziemniaków, i czekamy na jelenie. Często tu wychodzą. Są to jelenie wirginijskie, pospolite w tej okolicy, dochodzące do wielkości naszych danieli, o słabych rosochach. Trofeum nienadzwyczajne, lecz mięso przednie.

Krajobraz dokoła stanowiska przypomina nasze Podkarpacie. Te same wzgórza, może tylko trochę bujniejsze, te same osiki i brzózki przetkane świerkami, komary natomiast poleskie. Nawet nasze wieczorne niebo świeci czasem tak samo ogniście. Lecz w kilka minut po zachodzie słońca złudzenie pryska i przełamuje się dobitnie. To Ameryka. Odzywa się wtedy whippoorwill, ptak z rodziny lelków. Woła na sąsiednim stoku dwa, trzy razy z rzędu: uip-pu-uil, tak donośnie, jak gdyby chciał przebudzić przyrodę, zapadającą w sen. A potem na dalszej górze odzywa mu się inny lelek; z tamtej strony doliny St. Denis wtóruje im trzeci; gdzieś, het daleko, chyba nad samym Canada Lake, słychać czwartego. Przez dobry kwadrans unosi się nad ciemniejącymi lasami wielki koncert whippoorwillów i sprawia przejmujące wrażenie, jak gdyby to były tajemnicze okrzyki pokutujących duchów.

Potem ciemnieje na dobre, whippoorwille się uspokajają; stwierdzamy, że jelenie nie przyszły, i zbieramy się do odwrotu.

Schodząc z pagórka jesteśmy dziwnie podnieceni. Opowiadam Wicusiowi szeptem o whippoorwillach. Ptaki te spotyka się we wszystkich lasach Ameryki Północnej; wszędzie, aż do Teksasu, są znane i popularne, i dzięki charakterystycznemu głosowi uchodzą za symbol amerykańskiej przyrody. Lecz są również symbolem amerykańskiej historii: one pierwsze witały białych przybyszów zza morza i przeważnie ich to głosem zwoływali się Indianie, gdy nad ranem gotowali się do napadu na osiedla białych najeźdźców. Whippoorwille bowiem nad ranem też się odzywają. Są to ważne ptaki i niezwykłe; przysłuchuję im się zawsze z przejęciem i lubię je.

— Ja je też bardzo lubię! — odpowiada Wicuś z głębokim przekonaniem.

W chacie Wicuś znów powraca do swego świata marzeń i natychmiast zabiera się do Pon-Pon. Puszcza i whippoorwille nic już go nie obchodzą. Rozkłada mechanizm czółenka, majstruje i kombinuje aż do czasu, gdy mu Stanisław każe iść spać.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ludzie w różny sposób przedstawiają sobie swój raj na ziemi i miejsce największej szczęśliwości. W mojej wyobraźni od wczesnego dzieciństwa istniała słoneczna, skalista wysepka z kilku wysokimi świerkami; dokoła było lazurowe jezioro pełne ryb, otoczone bujną, górzystą puszczą, bogatą w zwierzynę. Życie na tej małej wyspie, z dala od ludzi, w ciągłym starciu z przyrodą — marzyło mi się wówczas jako szczyt ludzkiego szczęścia.

Pewnego dnia, podczas włóczęgi w lesie, zachodzimy nad jakieś jezioro i, oczom ledwo dowierzając, spostrzegam oto wyspę, do której dawniej tak gorąco tęskniłem. Zgadza się wszystko, nawet w drobnych szczegółach: jest i wyspa skalista, jest kilka pięknych świerków na niej i jest cudowne jezioro, otoczone na brzegu jasnym pierścieniem puszystej trawy, trawę zaś otacza wspaniały las, pnący się na okazałe góry. Świeci właśnie wesoło słońce i nadaje otoczeniu jeziora promieniejący wyraz radości i szczęścia. Na środku wody nurkuje jakiś samotny nurek.

Z miłego odkrycia zwierzam się natychmiast towarzyszom i opowiadam dzieje moich dawnych tęsknot. Stanisław nie rozumie, bo za młodu nie tęsknił. Za to Wicuś serdecznie się zapała i oświadcza, że gotów jest zaraz iść ze mną na wyspę i żyć na niej jak Robinson. Zbudujemy namiot, będziemy łowili ryby i żywili się kaczkami. W lesie są jagody, jelenie i niedźwiedzie...

— Stop! — przerywam mu ze śmiechem. — Zapomniałeś, że do tej wyspy tęskniłem bardzo, bardzo dawno temu. Dziś te sny porosły trochę rdzą i wypłowiały.

— Szkoda! — ubolewa Wicuś i rezygnuje z wyspy.

Zresztą okazuje się, że jezioro o tak uroczym i powabnym obliczu kryje w sobie przykrą niespodziankę: tysiące pijawek. Zamierzam umyć w wodzie ręce. Zaledwie je zanurzam, roi się dokoła od tych obrzydliwych robaków. Pomimo szybkich ruchów rąk pi-

jawki bezczelnie napastują i myślą na serio przyczepiać się do ciała. Jest to przykre zjawisko. W pięknym jeziorze snuje się zbyt wiele tego plugastwa. Niebezpiecznie się kąpać...

Wracamy. Omdlewający upał, uciążliwa ścieżka w gęstym lesie. Pocimy się i milczymy.

Potem Wicuś, jak zwykle w czasie powrotów, odzywa się; marzy cichym, radosnym głosem o Pon-Pon. Rozwija nam swe plany i roztacza je coraz śmielej. Prawi o cudnej łodzi, opalanej drzewem kanadyjskim. Łódź będzie raźno sunęła i woziła Stanisława po rzece Lièvre i dalej jeszcze. Wicuś już kończy swe obliczenia i niebawem przystąpi do budowy.

Puszcza, w której żyjemy, rzuciła na nas potężny urok. Jest wspaniała i w swej pierwotności ogromnie wymowna. W życiu, które teraz wiedziemy, ważniejsze niż wszystkie inne rzeczy stają się zachody słońca, kaczki, whippoorwille i pijawki. Ich doznanie staje się wielkim przeżyciem, ich wspaniała zachłanność ujarzmia wszystkie nasze uczucia i myśli.

Wicuś głęboko przeżywa otaczającą przyrodę i gdy skrada się do kaczek, wali mu serce. Ale potem — w pośrodku cudownego lasu, na przekór zapachom żywicy i krzykom whippoorwillów — wyrasta nagle coś dziwnego: marzenia o żelaznych konstrukcjach, sny o spawaniu metali, liczby rodzącego się wynalazku. Okazuje się, że urok tych liczb, tych żelaznych konstrukcji możniejszy jest niż czar wszechwładnej, zdawałoby się, puszczy.

11

NIEBEZPIECZNE NIEDŹWIADKI

Niedźwiedź chodzi na czterech łapach, lecz umie chodzić też i na dwóch, jak człowiek na nogach. Niedźwiedź odzywa się czasem głosem podobnym do ludzkiego okrzyku. Karmi się tym samym, co człowiek, i przepada, jak człowiek, za dojrzałymi jagodami. Niedźwiedź zanim coś zrobi, długo rzecz rozważa, a myśliwy polujący na niedźwiedzia musi się do tego dostosować; musi polować przebiegle, jak gdyby tropił nie zwierza, lecz człowieka.

Okres niedźwiedzia jeszcze nie minął w Kanadzie. W północnej puszczy, mało zaludnionej, niedźwiedź siedzi często i wciąż tam panuje. Zawziętości, wytrwałości człowieka i jego straszliwej broni przeciwstawia — skutecznie na razie — zwierzęcą przebiegłość, wrażliwość zmysłów i czujność.

Wszyscy leśni Indianie północy do dziś wierzą, że w niedźwiedziu tkwi coś niezwykłego, wyróżniającego go ponad wszystkie inne zwierzęta; widzą w nim stworzenie o zwierzęcym ciele, a ludzkiej duszy. Gdy biały człowiek przebywa zbyt długo w pół-

nocnej głuszy, zaczyna, rzecz dziwna, wierzyć tak samo jak Indianie. Niedźwiedź pozostał, jak ongiś, mistycznym panem tych stron. Im dalej na północ, tym silniejszy jego tajemniczy wpływ.

Z zaludnionych okolic południowej Kanady startują dzisiaj regularnie wspaniałe hydroplany i, przelatując ponad zielonym morzem drzew, docierają na dalekie, północne placówki. Ale dotychczas lasu na dole w niczym nie zmieniły; nie zmniejszyły ilości niedźwiedzi i nie usunęły tej dziwnej wiary czy zabobonu o niedźwiedziej istocie. Osobliwa wiara wrosła głęboko w północną puszczę.

Jest wieczór. Ciemnieje. Siedzimy dokoła stołu w chacie Stanisława i jemy kolację. Podczas kolacji panuje zawsze najweselszy nastrój. Opowiadamy sobie przeżycia dnia.

Jak zwykle, przez pierwsze pół godziny po zachodzie słońca słychać z różnych stron głosy lelków whippoorwillów, sprawiające zawsze wrażenie nawołujących się duchów. Potem w oknie, pokrytym siatką przeciw komarom, wschodzi księżyc. Świerszcze wciąż jeszcze grają. Tuż w pobliżu, w krzakach nad rzeką, jakiś nieznany ptak śmieje się wyzywająco: he he. Nie widać już puszczy, tym donośniej za to ją słychać.

Nagle Stanisław urywa opowiadanie w połowie słowa i zdumiony nasłuchuje. My słyszymy także: jakieś nowe, niezwykłe dźwięki. Wybiegamy na dwór, przed chatę. Odgłosy rozlegają się spod Góry Jastrzębiej, nie dalej niż trzysta kroków od nas. Ni

to jęki powtarzające się od czasu do czasu, ni to rozpaczliwy pisk. Rzekłbyś: głośny płacz dziecka. Ogarnia nas podniecenie.

— Niedźwiadek, bardzo młody niedźwiadek! — szepce Stanisław.

Ładna przygoda! Rzadka zdobycz włazi nam prawie sama do garści. Może niedźwiadka uda się złowić żywcem. Przygotowujemy pośpiesznie strzelby i powrozy. Pierwszy Stanisław odzyskuje spokój, tłumi zapał i powiada: nie. Nie możemy iść po niedźwiadka; on zabłądził, zgubił prawdopodobnie matkę i dlatego tak beczy. Niedźwiedzica może być w pobliżu. W obronie swego piastuna traci rozum i oszalała a wściekła rzuca się na ludzi. W lesie jest ciemno, chociaż księżyc wschodzi, i łatwo chybić ze strzelby. Niedźwiedzica ma przewagę; ryzyko w nocy jest zbyt wielkie.

Zostajemy. Słyszymy, jak niedźwiadek powoli się oddala. Coraz słabiej dochodzą jego płaczliwe narzekania, aż w końcu giną zupełnie za cyplem Góry Jastrzębiej. Zaczynam rozumieć Indian: niedźwiadek płakał jak dziecko i unosił ze sobą skargę, bardzo bliską nam ludziom i łatwo zrozumiałą.

— Czy nie pożrą go wilki? — pyta się Wicuś.

— Nie; w razie czego wejdzie na drzewo — odpowiada Stanisław i wracamy do chaty. Podejmujemy na nowo gawędę przy stole.

— — — — — — — — — — — — — — —

W Ameryce Północnej są trzy gatunki niedźwiedzi.

Niedźwiedź szary, czyli grizzly, ponury mieszkaniec Gór Skalistych; niedźwiedź biały, żyjący w okolicach podbiegunowych, i niedźwiedź czarny, najmniejszy z tych trzech gatunków i najpospolitszy; spotkać go można we wszystkich lasach północy. To piastun niedźwiedzia czarnego przerwał nam kolację. Niedźwiedź ten ma przeważnie czarne kłaki, czasem brązowe, i tylko w okolicy nosa jest jaśniejszy, szarożółty. Nie gardząc mięsem, zwłaszcza rybami na wiosnę, obżera się najchętniej pokarmem roślinnym, korzonkami, owocami i jagodami. Jagód na północy jest ogromne mnóstwo. Miejscami aż czarno od nich na ziemi. Są większe niż nasze i słodsze. Niedźwiedź na jagodach obrasta w sadło, a potem z nastaniem mrozów chowa się w gawrze i zapada w zimowy sen.

W puszczy niedźwiedź nie ma wrogów silniejszych od siebie. Straszny dla niego jest jedynie człowiek. Strzela i zakłada na jego tropie żelazne samotrzaski. Niedźwiedź ma twardy żywot; często uchodzi z zabójczym postrzałem. Ma też potężną krzepę w barach; czasem roztrzaskuje żelaza i wyrywa z nich rozdarte łapy. Pozostają w pułapce tylko szmaty futra, jucha i kudły. Człowiek wtedy wie, że niedźwiedź jest dla niego na zawsze stracony. Doświadczony zwierz staje się czujnym, mściwym wrogiem, czasem tak samo niebezpiecznym jak rozjuszona samica z piastunem.

— Trzeba być ostrożnym z młodym niedźwiedziem! — ostrzega Stanisław poważnie i z odcie-

niem trwogi. Stanisław żyje w puszczy od przeszło dwudziestu lat i przesiąkł wiarą Indian.

— — — — — — — — — — — — — — —

W pobliżu miejscowości Mont Laurier, na północny wschód od Val des Bois, mieszkał w lesie Maurice Gérard. Wybudował sobie okazałą chatę i utrzymywał się, jak Stanisław, z polowania.

Pewnego lipcowego dnia udało mu się najść w lesie i złapać żywego niedźwiedzia wielkości średniego psa. Pomimo krzyku i dzielnej obrony wpakował berbecia do worka i zaniósł go szybko do domu. Ze sztucerem gotowym do strzału myśliwy rozglądał się bacznie po drodze, lecz nic nie zaszło. Na szczęście, niedźwiedzicy nie było w pobliżu.

W domu uwiązał niedźwiadka na obroży i dał mu mleka. Niedźwiadek nie chciał pić, wciąż żałośnie piszczał i próbował się uwolnić. Gérard go wychłostał.

W nocy zbudziły myśliwego tajemnicze zgrzyty przed domem. Przez okno ujrzał olbrzymią czarną postać, opierającą się łapami o ścianę. Krzyknął i wystrzelił. Przeraźliwy ryk wstrząsnął nocą. Na huk strzału niedźwiedzica zerwała się i uciekła do lasu. Rano Gérard stwierdził po tropach, że chybił. Było zbyt ciemno.

Od tego czasu niedźwiedzica kręciła się uporczywie dokoła domu, lecz zawsze w bezpiecznej odległości. W nocy rozlegał się tuż za ścianą jej pomruk, pełen rozpaczy i wściekłości, na który niedźwiadek odpowiadał piskliwym płaczem, a Gérard strzałami w ciemność.

Czwartego dnia zabawa w oblężonego znużyła Gérarda. Zawziętość niedźwiedzicy, po tylu źle przespanych nocach, zaczęła mu się wydawać czymś groźnym i koszmarnym. Więc zapakował niedźwiadka do worka, wziął fuzję, zamknął szczelnie dom i poszedł do miasta. Nie zaczepiło go nic. Gdy następnego dnia wracał do domu, był w najlepszym humorze: w Mont Laurier korzystnie sprzedał niedźwiadka.

Wróciwszy struchlał; oto na miejscu swej chaty ujrzał kupę dymiących zgliszczy. Razem z chatą spłonął doszczętnie cały jego dobytek. Ze śladów wyczytał, że pod jego nieobecność niedźwiedzica włamała się do domu, zniszczyła meble i przy tym przewróciła widocznie piec, w którym były niedogaszone węgle.

Gérard nie miał już sił, by od nowa rozpoczynać życie w lesie. Poszedł zgnębiony do miasta i został robotnikiem.

— — — — — — — — — — — — — —

Jeszcze tej samej nocy, w której słyszymy głos niedźwiadka, przeżywam chwilę radosnego wzruszenia. Na północnym nieboskłonie pojawia się bladoniebieska łuna, pierwsza w tym roku zorza polarna. Jest to dobry znak. Przepowiada, że nastaną niebawem chłody, że zatem trzeba skończyć sielankę w dolinie St. Denis i ruszyć na północ, w ostoje łosi, ku Oskelanoe River.

Kanadyjska jesień i okres wielkich łowów rozpoczyna się znakiem na niebie.

TRZYDZIESTOLETNIA WOJNA Z WRÓBLEM

Gdy z Val des Bois wróciłem do Montrealu, by poczynić ostatnie przygotowania do wyprawy na północ, zwiedziłem pewnego dnia port nad Rzeką Św. Wawrzyńca. W porcie podziwiam olbrzymie elewatory, „silos", z których strumienie pszenicy wypływają szerokimi rurami i toną we wnętrzu czekających okrętów.

Jedna rura jest uszkodzona i od czasu do czasu wypadają z niej ziarna na molo. Korzysta z tego stado kilkunastu ptaszków, które pszenicę zjadają z wielkim apetytem, złodziejskim pośpiechem i ogłuszającym świegotem. Już z daleka poznaję złodziejaszków. Są to wróble, nasze poczciwe, europejskie wróble.

Gdy podchodzę bliżej, niechętnie się zrywają, siadają na rurze i z góry ostrym jazgotem wymyślają intruzowi. Nie ukrywają swego niezadowolenia, są śmieszne, wyzywające i jakieś czupurniejsze niż w Europie. Widok starych, znajomych uliczników sprawia mi wielką radość.

Jeszcze więcej uradowała się Ameryka, gdy w roku 1850 zawitała na jej ziemi pierwsza parka europejskich wróbli. Parka doznała wprost królewskiego przyjęcia. Ameryka była wtedy młoda, uczuciowa i skłonna do gwałtownych wzruszeń. Amerykanie na widok wróbli z lekka oszaleli, a wyrazem ich egzaltacji był płomienny artykuł ornitologa Hart Merriama w New York Heraldzie, rozpoczynający się od słów: „Gdy przed 250 laty przybyli do Ameryki nasi pierwsi ojcowie-pielgrzymi, przywitały ich krwawe tomahawki i okrzyki wojennej nienawiści; dziś, gdy przywędrowały oto do nas pierwsze wróble z Anglii, otwieramy skrzydlatym pielgrzymom nasze wezbrane serca i czułe ramiona, i wołamy: 'Witamy was, witamy, o piękne ptaszęta Boże, oddychajcie wolnością Ameryki, rozmnażajcie się i spożywajcie dary naszej gościnnej ziemi!...'"

Tak przywitano dwa pierwsze wróble w Ameryce Północnej. Szczęśliwa para wróbli miała legion oddanych sobie opiekunów, którzy przynosili jej wyszukane smakołyki. Karmili tak szczodrobliwie, że po sześciu tygodniach sielanka dobiegła żałosnego kresu: łakome wróbliska zbytnio się obżarły, zepsuły sobie żołądki i zdechły. Lecz śmierć ich nie zahamowała amerykańskiego entuzjazmu. Towarzystwo Przyjaciół Wróbla rozgorzało żądzą czynu i wkrótce sprowadziło z Europy kilkadziesiąt nowych par ptaszków, które tym razem świetnie się zaaklimatyzowały.

Wróble, otoczone troskliwą opieką, zaczęły się

szybko rozmnażać. Wędrowały do coraz to dalszych miast, a gdziekolwiek przybywały, budziły żywiołowy zachwyt i podniosły nastrój. Ludzie nie posiadali się z radości i wszędzie w ogrodach przybijali do drzew maleńkie, drewniane domki, ażeby gości zwabić do przytulnych gniazdek. W niektórych miastach były po dwa, trzy domki na każdym drzewie i stolarze się bogacili. W innych miastach szafowano publicznie hojnym pokarmem, a burmistrze prześcigali się wzajemnie w gorliwości. Fabrykanci wymyślali specjalny, delikatny żer dla ukochanych ptaszków; redaktorzy popisywali się wiedzą ornitologiczną, poeci zaś rymowali hymny pochwalne. Takich to honorów doczekały się wróble, nasze szare darmozjady, i trzeba nicponiom przyznać, że gruntownie wyzyskały uśmiech losu: żarły śmiało i wspaniale się mnożyły, strasznie łapserdaki się mnożyły.

Żywiołowy entuzjazm dla wróbli nie miał swego wyłącznego źródła w młodzieńczej pobudliwości jankesów. Wchodziły w grę i inne przyczyny. W owe czasy, w połowie dziewiętnastego wieku, Ameryka wciąż jeszcze chorowała na kompleks niższości wobec old fashionable England. Bogacący się i wciąż jeszcze prostacki Amerykanin czerpał nastroje i przykłady w Anglii, i wszystko, co od niej pochodziło, przyjmował z szacunkiem i zapałem. Czasem zapał ponosił go i przybierał formy niezwykłe, trącące groteską. Prawdopodobnie tylko dlatego, że wróble pochodziły z Anglii, doznały tak niezwykłego przyjęcia; rzecz znamienna, że nawet amerykańska no-

menklatura naukowa oznaczyła je wyraźnie jako „angielskie wróble", the English sparrows.

Lecz był i powód praktyczny. Właśnie rozwielmożnił się w Ameryce pewien motyl-niedźwiadek, a gąsienica jego stała się groźną klęską dla rolnictwa. Otóż ktoś gdzieś napisał, że wróble dadzą nauczkę złym liszkom i pożrą je. Cała Ameryka w to uwierzyła, więc witała we wróblach nie tylko rozkoszne a urocze ptaszęta, lecz i upragnionych wybawicieli.

Co tu wiele gadać. Gałgany wróble haniebnie zawiodły nadzieje. Rozmnożyły się, owszem, owszem, i wszędzie od nich rojno było, na zachodzie, południu i nawet na północy. Ale miały tyle smacznych rzeczy do żarcia, że im przez myśl nie przeszło, aby dobierać się do nieapetycznych, brzydko owłosionych gąsienic.

Zresztą, mniejsza z tym. Gorzej, że urwipołcie nie czuły absolutnie żadnego pociągu do sympatycznych domków, z taką miłością dla nich wystawionych na drzewach i nieraz pięknie pomalowanych. Niewdzięczne wróble nie chciały w nich mieszkać, za to zagięły parol na jaskółcze gniazda i zaczęły wyrzucać ich mieszkanki i niszczyć jajka. W cztery, pięć lat po przybyciu wróbli liczba jaskółek w Ameryce zastraszająco się zmniejszyła. Amerykanie zaczęli patrzeć z bezradnym osłupieniem na nieobyczajne praktyki swych ulubieńców.

Ale i te grzeszki wybaczono by, gdyby w dziesiątym mniej więcej roku swej gościny rozzuchwalone

wróble nie postawiły kropki nad i. Stanowiły już wtedy armię wielomilionową. Jesienią z nagłym apetytem rzuciły się na podmiejskie sady i wyjadły wszystkie owoce. Ludzie przestali się uśmiechać. Następnego lata wróble wypadły na okoliczne pola i poczyniły spustoszenia w zbożu. Ludziom wydłużyły się twarze.

Gdy w rok później jeszcze większe masy rzuciły się do grabieży pól, ludzie zrozumieli, że spadła na nich nowa klęska, że miłość ich skończyła się i że trzeba bronić mienia. Cała Ameryka zatrzęsła się groźnym okrzykiem: Śmierć wróblom!

Łatwo było krzyknąć, trudniej wykonać. Wróble rozpleniły się już tak licznie i takiego nabrały animuszu, że na miejsce jednego zastrzelonego pojawiało się dziesięć nowych. Obwiesie nie myślały ustępować. Rozgorzała nieubłagana, kłopotliwa, długoletnia i trochę śmieszna wojna. Rząd wyznaczał nagrody za odstrzał wróbli. Wynalazcy i fabrykanci budowali teraz pomysłowe sieci, łowiące na raz całe stada. Chemicy wynajdywali różne trucizny; w parlamencie szły wnioski i debaty, a prasa, wprzódy tak zachwycona, głosiła teraz zawziętą krucjatę. Wróble dawały się wszystkim we znaki i aż dziw, ile niewinne na pozór gagatki wznieciły wrzawy. Zwłaszcza w Waszyngtońskim Departamencie Rolnictwa, który przeżywał ciągły kryzys i wydawał ciężkie biuletyny o taktyce walki z tym wrogiem.

Przez długi czas zdawało się, że wojna wróblowi nie szkodzi nic. Przeciwnie, wciąż się rozpleniał,

a w roku 1876 dotarł do Kanady, do miasta Hamilton. Kanadyjczycy znali kłopoty sąsiadów, lecz mimo to przyjęli go z radością, gdyż nie było w Hamiltonie pól zbożowych, a poza tym sądzili, że tu, na północy, ptaszek będzie skromniejszy. Niestety, wróbel już po roku zalał cały kraj między Jeziorem Hurońskim a Erie i odkrył przyłbicę: w braku zboża rzucił się na wspaniałe winnice, dumę Kanady, i objadł je z winogron. Wówczas Kanada przystąpiła też do wojny.

Tymczasem w Stanach wróbel odegrał pewną rolę w polityce. Rozgoryczenie na tego żarłoka panowało tak głębokie, że wystarczało na przykład udowodnić kandydatowi na posła, iż był kiedyś entuzjastą wróbla, a kandydat w wyborach przepadał z kretesem. Złe, bardzo złe czasy nastały dla wróbla.

Wojna trwała długie lata i oczywiście ptaszek przegrał. Liczbę jego sprowadzono do normalnych granic. Lecz nie wiadomo, czy pokonały go broń i wysiłek człowieka, czy raczej przypadkowe okoliczności. „Lata ptaszek po ulicy, szuka sobie ziarn pszenicy", głosi stara a mądra piosenka. Otóż, ażeby była pszenica na ulicy, muszą tam biegać źle trawiące konie. Za dobrych czasów było wiele koni na ulicach miast amerykańskich i wróble miały się dobrze. Ale potem przyszedł Ford. Samochody usunęły z ulic konie i pszenicę, zadając ostateczny cios także i wróbelkom. Wróble żyją teraz wszędzie w umiarkowanej części Ameryki Północnej, lecz w ilości skromnej.

Ludzie do dziś dnia nie są łaskawi na wróbla. A to im brzydki, a to nie umie śpiewać, a to brutal i w ogóle niewyraźny osobnik. Lecz jedno muszą przyznać: że miał bajecznie barwną historię. Brzydki bo brzydki, a przecież rozniecił całą gamę uczuć ludzkich, od opętanej miłości do zawziętej nienawiści. Żadne inne zwierzę tego nie potrafiło. Przy tym poruszył całą Amerykę i był przez długi czas na ustach wszystkich. Triumf jego i upadek przypominają dolę bohatera, nieszczęsnego bohatera ni to z tragedii, ni to z operetki.

13

IROKEZI — INDIANIE WŚRÓD INDIAN

Francuzi przybyli do Ameryki Północnej jako handlarze skórek; dlatego nie chcieli wojny z Indianami i natychmiast zaprzyjaźnili się z pierwszymi napotkanymi szczepami, Algonkinami i Huronami. Przyjaźń ta miała niestety dla Francuzów fatalne skutki; sprowadziła im na kark nienawiść Irokezów, zwalczających od dawna Algonkinów i Huronów.

Anglicy natomiast przybyli do Ameryki w poszukiwaniu roli, dlatego potrzebowali wolnej ziemi i zaczęli natychmiast tępić pierwsze napotkane szczepy Indian, Pekodów, Naragansetów, Wampenoagów. Szczepy te żyły również na stopie wojennej z Irokezami i stąd wynikła — przypadkowo — przyjaźń między Irokezami a Anglikami.

Ślepy zbieg okoliczności, a jednak jakże brzemienny w następstwa! Irokezi w znacznej mierze rozstrzygnęli historię Ameryki na korzyść Anglii, a na niekorzyść Francji, chociaż z początku ani Francuzi, ani Anglicy wcale się nie domyślali, ja-

ką potęgę stanowił ten niezwykły, ukryty w lasach naród.

A potęgę stanowił niezmierną. Irokezi wybili się ponad wszystkich sąsiednich Indian i świetną organizacją państwową, i fizyczną sprawnością, a przede wszystkim przerażającą walecznością. Historycy nadali im przydomek „Rzymian puszczy" i „Indian wśród Indian". Irokezi mieszkali na południe od jeziora Ontario, lecz ich okrzyk wojenny rozlegał się od Missisipi aż do brzegu Atlantyku. Budowali wielkie osiedla i zajmowali się rolnictwem, lecz mimo to życie spędzali na koczowniczym rozbójnictwie. Byli wrogami wszystkich, nikogo nie oszczędzali, spadali jak grom, szerząc paniczną trwogę. Wszystkich uważali za swoją zdobycz. Trawieni straszliwą żądzą walki, dążyli do jednego celu: do zdobycia skalpów, a najwyższej doznawali ekstazy, gdy pojmanym wrogom z żywego ciała mogli wyrwać serce i drgające zjeść.

W chwili przybycia białych najeźdźców Irokezi podbijali wszystkie sąsiednie szczepy i stwarzali wielkie państwo. Lecz nie zdążyli go stworzyć; biali im przeszkodzili.

Małomówni, opanowani, łączyli w sobie ponurą dostojność puszczy z żarem i pragnieniem spełniania wielkich czynów. Mieli twarze surowe i szlachetne, ciała wysmukłe i silne wspaniałych atletów. Ich to postać i ich surowe obyczaje zabarwiły romantyczną wyobraźnię Europy i wytworzyły tu pojęcie o czerwonym wojowniku.

Pomimo przejmującej grozą bitności Irokezi nie byli dzikusami. Stworzyli świetny związek plemienny, świadczący o ich wyrobionym zmyśle organizacyjnym. W połowie szesnastego stulecia zrzeszyło się kilka oddzielnych szczepów w jeden organizm i to dało im wybitną przewagę nad innymi ludami. Owa liga narodów, mądrze kierowana, złożyła dowód sprawności i do ostatniej chwili istnienia spełniała znakomicie swe zadanie. Irokezi dzielili się na rodziny, rody, klasy małżeńskie i szczepy, a losami całego narodu kierowała rada związkowa, składająca się z pięćdziesięciu wodzów. Wodzami natomiast kierował ktoś inny.

Zjawisko pozornie niezrozumiałe i wprost niedorzeczne, a jednak prawdziwe: nad Irokezami, najzuchwalszymi i najbardziej męskimi Indianami, panowały kobiety. Układ społeczny tego narodu był najskrajniejszym matriarchatem. Matrony doszły do takiego znaczenia, że one to mianowały wodzów. Do nich należały rola, ognisko, dom, wszelki sprzęt i wszelka zdobycz; one rozstrzygały, czy jeńców wojennych należało zabić, czy adoptować do szczepu; one stanowiły nawet o wojnie lub pokoju. Mężczyźni byli tylko narzędziami w rękach matron.

Ustrój matriarchatu Irokezów tłumaczyć sobie można właśnie jako skutek ich wojowniczości: podczas gdy mężczyźni prawie bezustannie włóczyli się po puszczy na wyprawach wojennych, rozproszeni na wszystkie strony świata, kobietom przypadała cała reszta obowiązków: pilnowania ogniska domowego,

uprawy ziemi, wychowania młodzieży. One stały się właściwą kością pacierzową narodu, więc w ich ręce łatwo już z biegiem czasu przeszły i władza, i panowanie.

Przypadkowe narażenie sobie Irokezów uwikłało Francuzów w szkaradne wojny, trwające z małymi przerwami przez trzy czwarte wieku. Żeby te wojny zbyt szybko nie ustały, o to dbali Anglicy, mistrze dyplomacji, a przyjaciele Irokezów. Zawzięci Indianie wiele utoczyli krwi francuskiej. Ostatecznie wyszli z tych zapasów pobici i złamani, lecz i Francuzi mieli się z pyszna. Ich kolonia nie mogła rozwinąć się należycie. Koniec jej wiadomy: uległa przewadze angielskiej.

Irokezi, jakkolwiek rozbici, nie podzielili losu innych szczepów i nie wyginęli całkowicie. Szczątki ich przetrwały do dziś w kilku rezerwatach, z których najliczniejszy znajduje się w Caughnawaga nad Rzeką Św. Wawrzyńca. Caughnawaga leży na prawym brzegu rzeki, tuż naprzeciwko miasta Montrealu, i jest jego przedmieściem. Któregoś dnia odwiedziłem rezerwat w towarzystwie polskiego konsula Kickiego.

Kilkaset drewnianych domków, schludnych i ozchłych. Mało ruchu na ulicach. Ludzie są smutni i nędznie ubrani. Nie zuchwali i nie dostojni, lecz cisi i zgaszeni. To dzisiejsi Irokezi.

Co kilkadziesiąt chałup stoi kiosk, w którym siedzi Kanadyjczyk i sprzedaje tandetne pamiątki indiańskie, słodką wodę Canadadrink i fotografie

groźnych Indian w fantastycznych strojach. Do tych fotografii, mających przedstawiać dawniejszych Irokezów, pozują za kilka centów w dni świąteczne dzisiejsi Irokezi. Jest to ich całe zajęcie. Caughnawaga stanowi wielką atrakcję dla turystów, przybywających tłumnie ze Stanów Zjednoczonych.

Ludzie chętnie oglądają dzikie zwierzęta zamknięte w klatce. Dlatego też chętnie przybywają do Caughnawaga. Irokezi wszakże byli tak groźni; przyjemnie teraz na nich popatrzeć, gdy są słabi. Lecz widok konającego w klatce lwa bywa przykry i czasem niepokoi sumienie. Od przeszło stu lat Irokezi mieszkają w Caughnawaga, sto lat konają i jakoś nie mogą się wykończyć. Zresztą, w interesie miasta Montrealu powinni istnieć jak najdłużej, by ściągać rzesze ciekawych turystów i wywoływać dreszczyki.

Jest to poniekąd ich obowiązkiem: istnieć. Za to państwo daje im co tydzień zapasy żywności, a co miesiąc na rodzinę cztery dolary kieszonkowego. Nie potrzebują pracować przez całe życie. Jest ich obecnie dwa i pół tysiąca nierobów; co roku liczba ta się zmniejsza.

— Czy z tego stanu rzeczy są zadowoleni? — pytam niezmiernie miłego i starego księdza jezuity, proboszcza indiańskiej parafii.

Staruszek przeczy głową, że nie są zadowoleni.

— Czy nie można by ich rozsiedlić w bezludnych lasach na północy i dać im naturalne warunki życia?

To widocznie drażliwe pytanie, bo księżulek zwleka z odpowiedzią.

Miejscem centralnym i sercem Caughnawagi jest coś w rodzaju Lunaparku z wielkim napisem u wejścia: Tombola. Można tam tanio się zabawić. Różni Irokezi zapraszają do rzucania kostek lub strzelania do tarczy. Chcą zarobić kilka centów od turystów. Są też fertyczne młode Irokezki, ubrane cudacznie jak na bal maskowy.

Halo! wołamy uradowani ich widokiem. One też się nami cieszą. Konsul Kicki poklepuje je poufale po ramionach. Dziewczyny śmieją się i ochoczo pozują do fotografii. Dostają za to pół dolara, są zachwycone i gotowe zaraz odwiedzić nas w naszych mieszkaniach w mieście. Takie to córy surowych irokeskich matron.

Potem zachodzimy drogę starszemu Indianinowi o długich, zwisających włosach i bardzo wydatnym brzuszku, nieco zbyt obfitym jak na potomka sławnych wojowników. Temu za pozowanie dajemy tylko dziesięć centów — i też jest zadowolony.

Z przeznaczeniem narodów bywa różnie. Niektóre giną i nic po nich nie pozostaje. Inne popadają w niewolę i służyć muszą zwycięzcom. Najbogatsze ludy mogą się stać nędzarzami. Lecz z Irokezami los chyba najsrożej się obszedł: wojowników, „Rzymian puszczy“, zamienił w błaznów, wystawiających na pokaz swój upadek.

Lecz czasem, czasem w tych biedakach jak gdyby coś się budziło. Mianowicie, gdy napiją się wódki.

(Dlatego w Caughnawaga pod rygorem niesłychanie ostrych kar nie wolno sprzedawać wódki). Gdy wypiją, zaczynają szaleć. Tamowane instynkty szukają sobie ujścia. Wtedy Irokezi dobywają noży i rzucają się z wściekłością — na kogo — czy na białych? Nie, rżną się między sobą. Biali tylko rozrywają ich, uspokajają i godzą.

14

LOGAN — NIESZCZĘSNY PRZYJACIEL BIAŁYCH DZIECI

Był wpływowym wodzem Irokezów i żył w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy to w lasach amerykańskich nastały niespokojne, złe czasy. Huk coraz liczniejszych strzałów rozdzierał ciszę puszczy, dzikie rozlegały się okrzyki, ludzie byli drapieżni, nienawidzili się i przelewali krew. Na tle tej zawieruchy wyrasta jak samotny promień postać Logana, Irokeza i wojownika, człowieka wielkich przymiotów i ujmującej szlachetności. Nie miał równych sobie wśród Indian, mało było białych ludzi takich jak on.

Był to Indianin niepospolity, Indianin z sercem. Powściągliwy, zadumany, dostojny, uprzejmy, łączył w sobie uczciwość mieszkańca puszczy z zaletami białej rasy i był wiernym przyjacielem nie tylko swych pobratymców Indian, lecz również i białych ludzi, przede wszystkim białych. Gdzie tylko mógł, wyświadczał im dobrodziejstwa, zbłąkanych wyprowadzał z kniei, niedoświadczonym osadnikom udzielał porady, wędrownych kupców brał w opie-

kę; niejeden biały zawdzięczał mu życie. Był to dobry duch puszczy i cieszył się ogromnym poważaniem: Indianie różnych szczepów, nie tylko Irokezi, uznawali Logana za swego duchowego wodza, biali zaś odpłacali mu się wielkim szacunkiem i przychylnością. „Prawdziwym dżentelmenem od stóp do głowy“ nazwał go angielski gubernator.

Logan wiele wędrował po puszczy, lecz najchętniej odwiedzał osiedla białych. Ciągnęło go tam niezwykłe uczucie, jak niezwykłym w ogóle był Logan: kochał bez granic dzieci białych. Tym małym, jasnowłosym istotom oddał stary wojownik całe swe indiańskie serce i żywił ku nim miłość niemal gorętszą niż ku własnym wnuczętom. Na widok ich płowych główek serdeczny uśmiech rozjaśniał jego twarz i blaskiem zapalał oczy, a mali przyjaciele biegli naprzeciwko niego z radosnym okrzykiem i wieszali się dokoła niego. Przynosił im zawsze jakieś zabawki, to maleńkie mokasyny, to misterne czółenka. Przy tym umiał Logan opowiadać cudowne, podniecające powiastki o tajemnicach lasu, a czasem bawił się z nimi, jak gdyby sam był dzieckiem. Matki lubiły go bardzo i chętnie oddawały swe pociechy pod jego pieczę. Logan był niezwykłym Indianinem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nadchodziły niespokojne czasy; coraz gęstsze kłębiły się chmury, ludzie nieufnie patrzyli sobie w oczy. Niektóre szczepy Indian, zagrożone w swych łowiskach najściem białych osadników, coraz boleśniej

odczuwały krzywdę i gotowały się do rozpaczliwego czynu. A tymczasem w kolonii białych rodziły się fermenty przeciw panowaniu Anglii i niebawem rozdrażnienie miało doprowadzić do walki o niepodległość Ameryki. Lecz i samą kolonię toczyły ciężkie wewnętrzne rozterki. Od niepamiętnych czasów istniała nienawiść między Pensylwanią a Wirginią, nienawiść zwłaszcza na tle stosunku do Indian. Pensylwańczycy, ludzie łagodni i dobroduszni, żyli z tubylcami w przyjaźni i uprawiali z nimi rozległy handel; Wirginijczycy, przeciwnie, nie znosili Indian i chcieli ich jak najrychlej wytępić.

W owe gorące dni nienawiść między białymi sąsiadami doszła do stanu wrzenia i wszystkich ogarnęło takie podniecenie, że wojna domowa zdawała się jedynym wyjściem. Zanosiło się na najgorsze: gubernator Wirginii wysłał przeciw Pensylwanii oddział wojska pod komendą kapitana Conolly'ego, gwałtownego awanturnika, mającego zdobyć fort Pitt nad rzeką Ohio i utoczyć trochę krwi znienawidzonym sąsiadom.

Lecz w czasie marszu kapitan otrzymał wieść, że wzburzony szczep Indian Szawanezów zamierza pospieszyć z pomocą swym przyjaciołom Pensylwańczykom, i to pokrzyżowało wszystkie plany. Obawiając się walki na dwa fronty, Conolly odstąpił od swego dotychczasowego zamiaru, natomiast wydał — nieodrodny a rozwścieczony Wirginijczyk — do całej białej ludności granicznego pasa orędzie, nakazujące jej zabicie każdego napotkanego Indianina.

„Every Indian is a bad Indian; only a dead Indian is a good Indian" — każdy Indianin jest złym Indianinem; dobrym jest tylko nieżywy Indianin — głosiło osławione hasło wirginijskich osadników. Na sygnał Conolly'ego zawrzało na pograniczu: rozpoczęło się skwapliwe wyłapywanie i sprzątanie Indian. Sport miły, pożyteczny i ulubiony przez wszystkich: zarówno przez awanturnicze szumowiny jak i statecznych kolonistów.

Niedaleko białych osiedli, nad Rzeką Żółtą, mieszkała cała rodzina Logana: żona, córki, synowie, zięć i wnuki. Mieszkali z dala od swego narodu, gdyż nie obawiali się białych, ufni w sławę i cześć, jaką powszechnie otaczano Logana. W pobliżu Rzeki Żółtej osiadł także niejaki Greathouse, biały zawadiaka, indywiduum spod ciemnej gwiazdy.

Gdy Greathouse dowiedział się o rozkazie Conolly'ego, podskoczył z uciechy, że będzie mógł sobie bezkarnie pohulać. Zaprosił do siebie całą rodzinę Logana, nie przeczuwającą nic złego — wodza samego nie było w domu — spił ją wódką aż do utraty przytomności i potem urządził sobie makabryczną zabawę.

Przy pomocy kilku zwołanych białych sąsiadów ułożył bezwładną rodzinę na tratwie i puścił na wodę. Z odległości kilkudziesięciu kroków osadnicy rozpoczęli do tratwy kanonadę. Kule dobrze trafiały; w krótkim czasie wszyscy krewni Logana ponieśli śmierć — z wyjątkiem jednego chłopczyka.

Był to trzyletni brzdąc. Na widok konających

oszalał z przerażenia, pobiegł na sam brzeg tratwy i tu, wznosząc ku niebu swe małe rączęta, wzywał rozpaczliwie pomocy.

Wtedy Greathouse kazał przerwać strzelaninę i ułożył z kompanami zakład, że wygra ten, kto bachora najpierw uśmierci. Strzelać miał każdy kolejno według wylosowania. Pierwszych trzech strzelców chybiło. Czwartemu się poszczęściło. Trafił i wygrał zakład. Dziecko żałośnie załkało, jak ścięte wpadło do wody i utonęło. Tak zginął ostatni wnuczek Logana, Indianina, który wyświadczył wiele dobrodziejstw białym ludziom, a najwięcej ukochał białe dzieci.

Gdy wiadomość o okrutnym morderstwie dotarła do białych, wielu z nich zawrzało gniewem, nie tyle ze współczucia dla Logana, ile z obawy o to, co nastąpi. I nastąpiło. Lasy zatrzęsły się z oburzenia. Czerwoni wojownicy chwycili za broń i rzucili się do walki, rozpaczliwej i beznadziejnej. Wiódł ich Cornstalk, wódz Szawanezów. Ciemne lasy nad rzeką Ohio stały się świadkami jednej z ostatnich tragedii czerwonej rasy. Był to rok 1774.

A Logan? Gdy ujrzał na własne oczy zmasakrowane zwłoki, ani słowa nie wyrzekł, lecz zawlókł się do lasu i padł na ziemię. Przez długie godziny leżał bez ruchu i coś straszliwie przetrawiał w udręczonym mózgu. Później zawył przeraźliwie. Był to ból, który przerodził się w szaleństwo. Logan zbudził się rozjuszonym zwierzem. Z małą garstką swych ludzi wypowiedział wojnę białej rasie.

Nasamprzód wyciął w pień rodzinę najbliższego osadnika i własnoręcznie położył trupem sześcioro jego dzieci, przerzynając im gardła. Byli to jego dawni przyjaciele. Potem rzucił się z furią na inne osiedla. Drogę jego znaczyła struga krwi. W oczach jego czaił się obłęd. Szalał jak wściekły pies, lecz jak lis był chytry a nieuchwytny. Przez długie miesiące był koszmarem białej ludności, aż w końcu zmęczył się, ramię mu opadło, a szał przemienił się w tępą rezygnację.

Tymczasem wojna indiańska miała się ku końcowi. Cornstalk w bitwie nad rzekę Kanawhą zadał białym oddziałom dotkliwe straty, lecz następnej nocy wycofał się z pola walki i uznał tym samym swoją porażkę. Heroiczne jego wysiłki na nic się nie zdały. Zbyt wielka była przewaga po stronie nieprzyjaciół. Niebawem, wobec zwątpienia podległych mu wodzów, zawarł pokój. Indianie stracili swe dotychczasowe tereny łowieckie i szukać musieli nowej ojczyzny na zachodzie.

Jedynie Logan nie podpisał pokoju z białymi, a właśnie na jego podpisie najbardziej zależało gubernatorowi Dunmore. Logan się zawziął. Gdy zjawili się u niego posłowie, przemówił do nich straszliwą skargą. Było to najbardziej ponure i wstrząsające oskarżenie, jakie kiedykolwiek człowiek kolorowy wytoczył białej rasie. Dlaczego — pytał się daremnie białych — za okazaną wam przyjaźń, miłość, pomoc, wierność i przysługę daliście mi tak okropną zapłatę? Dlaczego zabiliście mi dzieci i wnuki?

Już nigdy, aż do końca życia, Logan nie wyleczył się z ciosu. Całymi dniami trwał w posępnym zamroczeniu. Pił chciwie wódkę. Unikał ludzi, zdziczał, wynędzniał, opłakany strzęp dawniejszego wodza, wspaniałego Logana. Już się nie uśmiechnął. Najwidoczniej padło mu na rozum i zgasiło do cna tak gorące ongiś serce.

Pozostał mu na zawsze lęk przed białymi ludźmi. Gdy któryś z nich zbliżał się do niego, drżał na całym ciele jak w febrze. Nieustraszony ongiś, władczy Irokez nie mógł się pozbyć obawy, że rozmawiający z nim biały wyciągnie broń i strzeli doń w plecy.

Dopiero po latach Logan trochę się uspokoił. Co prawda, zaufania do białych ludzi nie odzyskał, lecz bywało, że cichaczem, w największej tajemnicy, skradał się do ich osiedli. Przycupnąwszy za drzewem, kryjąc się jak przestępca, poddawał się osobliwym wzruszeniom: przyglądał się z daleka igraszkom białych dzieci. Łowił spragnionym uchem ich rozbawione głosiki. Wtedy oczy jego łagodniały i zachodziły mgłą, a nieśmiały uśmiech występował na drżącej twarzy. Były to jedyne jaśniejsze chwile biednego Indianina.

Logan miał dziwne serce.

CZĘŚĆ DRUGA



15

PŁYNIEMY NA PÓŁNOC

Można dostać zawrotu głowy — tyle dziwnych wrażeń: zeszłej nocy dancing w „Lido", nieprawdopodobny przepych, trzydzieści najpiękniejszych girlsów i orgia bogatych ludzi Montrealu. Dzisiejszej nocy trzysta mil koleją, rano koniec podróży na stacji Oskelanoe. Oskelanoe — to mizerna wioska z prowizorycznych bud; to również nazwa pięknej rzeki, płynącej na północ. Spychamy na rzekę nasze kanu, ładujemy zapasy i sprzęt, potem wsiadamy, Stanisław z przodu, ja z tyłu. Stanisława, polskiego trapera z Val de Bois, zabieram z sobą. Płyniemy razem z wodą na północ. Za pierwszym skrętem rzeki ginie nam z oczu budynek stacji kolejowej i ginie z oczu, przeraźliwie dosłownie i całkiem naprawdę, ostatni ślad cywilizacji: nie będzie już na drodze naszej ani jednego rolnika, żadnego pasterza, żadnej wsi białych. Natomiast będą Indianie, nieliczni górnicy, rzadko kiedy myśliwi, czasem jacyś awanturnicy i będziemy my. Wszędzie będzie las. Nie potrzeba się już golić.

Łódź naszą pokochałem od pierwszego wejrzenia. Jest wspaniała. Ma przeszło cztery metry długości i udźwignie dwadzieścia cetnarów. Jest tak lekka, że unieść ją może jeden człowiek, i tak śmigła, że jedno uderzenie wiosła posuwa ją o trzydzieści kroków. Zbudowali ją z uszczelnionego płótna na kształt kanu indiańskiego, a na pożytek ludziom Trembley et Frère nad Jeziorem Św. Jana; za to ich błogosławię.

Gdy w nią wsiadałem w Oskelanoe, byłem trochę zdenerwowany. Stanisław ukradkiem się przeżegnał. Na brzegu stało dwóch Indian. Patrzyli na nas i uśmiechali się pobłażliwie.

Z początku wiosłowanie kuleje. Każdy z nas dzierży po jednym wiośle, ale wiosła kłócą się między sobą. Wiadomo, jesteśmy nowicjuszami indiańskiej jazdy. Nowicjuszem jest także Stanisław, leśny wyga, lecz średni wioślarz. Stwierdzam, że ja potężniej walę wiosłem wodę niż on. Skutek taki, że po dwóch normalnych uderzeniach trzecie muszę parować i zamieniać na sterowanie. Poczciwe kanu nie bierze nam zbytnio za złe tej zniewagi, lecz raźno pruje wodę i sunie naprzód jak sto piorunów. Dobre kanu.

Rzeka Oskelanoe odznacza się niezwykłą osobliwością: nie ma prawie żadnego prądu. Wiemy z mapy, że woda płynie na północ, ale sami przekonujemy się o tym dopiero kilka godzin później, na pierwszej bystrzynie. Tam dopiero kierunek spadającego z kamieni nurtu stwierdza słuszność mapy. Podobno przeważna część rzek kanadyjskich tak leniwie pły-

nic. Stanowią one po prostu łańcuchy szerszych lub węższych rozlewisk i jezior. Ogniwami tych łańcuchów są bystrzyny i wodospady.

Na jaką szerokość ocenić rzekę Oskelanoe, rzeczywiście nie wiem; raz ma dwieście kroków szerokości, po chwili sto, za pięć minut dwa tysiące. Wobec niezmiernie bystrego, porywającego prądu rzek południowo-amerykańskich dziwnie niepokojące wrażenie sprawia Oskelanoe River, rzeka o stojącej wodzie i stale zmiennej szerokości.

Po dwóch mniej więcej godzinach wiosła nasze dochodzą do porozumienia i nabierają sprawności. Mogę teraz swobodnie dumać podczas jazdy. Rozkładam przed sobą na wypukłości worka mapę i patrzę, dokąd płyniemy. Płyniemy na razie do jeziora Obijuan, oddalonego o czterdzieści mil, nad którym mieszka jakiś agent Hudson's Bay Company. Zanim dotrzemy do celu, przepłyniemy przez kilka jezior o egzotycznych nazwach. Obijuan będzie naszym pierwszym ważniejszym etapem.

Gdybyśmy — co nie daj Boże! — powzięli w Obijuan szaleńczy pomysł ucieczki na łodzi w nieznane, to stanie otworem przed nami cały północny świat. Przerzucając się z rzeki do rzeki, z jeziora do jeziora, przez jakąś nieprawdopodobną gmatwaninę wodnych żył, moglibyśmy przeawanturować się przez cały Labrador i skończyć na jego wschodnim wybrzeżu. Moglibyśmy też przepłynąć na drugą stronę, przez cały kanadyjski zachód i skończyć na Alasce.

Nazwy rzek i jezior na mapie brzmią tak: Chi-

bougamou, Mistassini, Kaniapiskau, Abitibi, Waswanipi. Nazwy te drażnią swą obcością, budzą fantazję, zapowiadają przygody i olśnienia. Brzmią zwodniczo, ale jakże tu nazwom tym nie wierzyć, jeżeli czarne i niebieskie hieroglify mapy w tak cudowną zamieniają się rzeczywistość. Oto płyniemy przez skręt rzeki. Na mapie to zwykła, czarna, zakrzywiona kreska; w rzeczywistości zaś to baśń, zaczarowana w krajobraz. Wspaniała łąka, fantastyczne skały, wysmukłe świerki, to chyba kulisy jakiejś baśni. Wierzę mapie na słowo, na każde zwodnicze słowo.

Lecz na krajobraz patrzę tylko ukradkiem. Nie chcę już teraz roztrwaniać mego zapasu entuzjazmu. Najchętniej wracam myślami do łodzi, bo to obecnie nasz cały świat. Stanisław z przodu łodzi, ja z tyłu, to niby dwa bieguny na straży tego świata. Między nami leżą toboły, worki i walizy. Bezładna kupa, zakryta brezentem. Bezwładna, powiązana i martwa, aż trudno uwierzyć, że jest tak ważna i że stanowi duszę naszej wyprawy. Każdy przedmiot w niej tkwiący odżyje w swoim czasie i spełni jakiś doniosły, nieodzowny, jedyny obowiązek. Łódź, my i nasz sprzęt — to przymierze siły i zwycięstwa. Nic nam się nie oprze w puszczy, usuniemy wszystkie przeszkody.

Niestety, okazuje się, że nie wszystkie. Płyniemy właśnie w pobliżu lewego brzegu, gdy dumanie moje przerywa nagle Stanisław przeraźliwym okrzykiem:

— Na prawo!! Szybko na prawo! Uciekać na prawo!...

Na brzegu, za krzakiem wierzbowym, stoi jakieś zwierzątko wielkości małego lisa. Na czarnym futerku rysują się dwie jasne pręgi wzdłuż grzbietu. Zwierzątko ma nas widocznie w pogardzie, bo wcale nie ucieka, natomiast unosi puszysty ogon i wypina ku nam nieprzyzwoicie swój obnażony tył. Przy tym patrzy na nas spode łba.

Stanisław błyskawicznym uderzeniem wiosła stara się oddalić od brzegu. Pomagam mu co sił.

— Skunks! — woła Stanisław.

Teraz i ja rozumiem jego przerażenie i mnie samego oblatuje strach. Skunks to amerykański śmierdziel. Zanim zdołaliśmy uciec, rozlega się przytłumiony syk: skunks z tyłu wypuszcza na nas promień swej cuchnącej cieczy. Dobrze celuje, lecz na szczęście nie dosięga. Brakuje dwóch kroków, by oblać naszą łódź. Chociaż i to starczy. W oka mgnieniu zanieczyszcza powietrze tak okropny smród, że nagle dostaję mdłości. Dopiero po chwili gwałtownego wiosłowania wydobywamy się z zapowietrzonego rejonu. Skunks tymczasem żnika bez pośpiechu w krzewach.

Gdyby kilka kropel padło nam na łódź, powiada Stanisław, wyprawa nasza skończyłaby się tutaj sromotnie i trzeba by było wracać do domu. Fetor śmierdziela potrafi obrzydzić życie na całe tygodnie.

W kwadrans później widzę w płytkiej wodzie szczupaka. Niezły okaz trzyfuntowy. Wygrzewa się nieruchomo w słońcu, wybałuszając na mnie swe drapieżne oczy. Wtem staje się rzecz przejmująca grozą.

Inny szczupak, trochę większy, może pięciofuntowy, wypada z głębiny jak strzała i paszczą szeroko rozwartą chwyta pierwszego. Chciał go połknąć, lecz zdobycz jest zbyt wielka. Napastnik wchłania zaledwie ogon i tylko część ciała. Napadnięty stara się wyrwać ostrym susem. Daremnie, twarde szczęki mocno trzymają. Powstaje piekielne zamieszanie. Wgryzione w siebie ciała, wydłużone jedno za drugim niby potworny wąż, wykonują w wodzie makabryczny taniec. To giną w głębi, to wypryskują na powierzchnię. Jakiś opętany wybuch zaciekłej energii, szarpiących ruchów, niepohamowanego rozjuszenia.

Walka nie trwa długo. Pojmany szczupak, zrazu wyrywający się jak wściekły, opada szybko z sił, ruchy osobliwego dwuciała zaczynają zamierać. Potem szczupaki nie pojawiają się. Napastnik widać zwyciężył i trzyma ofiarę na spodzie. Powierzchnia wody wygładza się. Nastająca cisza oznacza koniec podwodnego dramatu.

Puszcza kanadyjska odkryła nam rąbek swego oblicza. Tajemniczego oblicza prainstynktów.

Wtem zdumieni spoglądamy na niebo. Słychać warkot samolotu. Jest, widzimy go. Pojawił się na południu, od strony stacji Oskelanoe i leci w naszym kierunku, na północ. Jest to hydroplan. Błyszczy cudownie w promieniach popołudniowego słońca. Szybuje bardzo wysoko, jak gdyby bał się bliskości puszczy i jej instynktów. Zresztą sam jest symbolem instynktów ludzkich: leci nad jezioro Chibougamou, gdzie biali górnicy wydobywają z ziemi złoto.

Hydroplan przelatuje wprost nad nami. Tyle było dziwnych wrażeń w ostatnim kwadransie: najpierw niemiły skunks, potem szczupaki, a teraz oto warcząca na niebie maszyna. Śledzimy ją z wielką ciekawością, chociaż nie ochłonęliśmy jeszcze z poprzednich przygód. Podnieceni zadzieramy karki, aż bolą, a Stanisław powiada:

— Można dostać zawrotu głowy!

To prawda. Zawrotu głowy, ale nie tylko od zadzierania karku.

16

SKAŁY, JODŁY I CZARNE OCZY

Ogromnie mi się podoba kosmogonia dawnych Indian. Wierzyli w dwa bliźniacze bóstwa: w Nanabosho — ducha dobra, słońca i światła, oraz w Czakenapenok — ducha zła, księżyca i ciemności. Bóstwa te walczyły ustawicznie ze sobą, ale tak się zawsze szczęśliwie składało, że w końcu zwyciężał dobry duch, a ginął zły. Ginąc zły duch pękał ze złości i zamieniał się w skały, góry i kamienie. Dokoła całej Zatoki Hudsońskiej zły Czakenapenok musiał dostawać paskudne cięgi, bo cała okolica, na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów, to jedna skała, usiana kamieniami i skalistymi wzgórzami.

Na tych szczątkach złego ducha płyniemy teraz. Wszędzie pod nami głaz. Oczywiście z biegiem czasu naniosło się trochę ziemi, próchna i mułu, a dobry duch słońca zasadził na tym skromnym podłożu nienajgorszy świat roślinny, lecz zły duch wciąż się przypomina. Skała często wyziera na dzienne światło, zwłaszcza tam, gdzie woda wymyła brzegi. Skała nakreśla tu drogę i kształt wszelkiemu życiu, gnę-

biąc je bezustannie. Skała jest tu rzeczywiście wszechwładną siłą.

Las. Rośnie miejscami wspaniały, o gęstym podszyciu, miejscami spustoszyły go pożary, klęska tych stron. Korzenie drzew nie wnikają głębiej w ziemię niż na metr, potem jest skała.

To już wyraźnie las północy. Panują w nim jodły, świerki i sosny, przetkane brzozą. Poza tym — to las tysiąca najpiękniejszych widoków. Splotły się tu w cudacznych kaprysach owe cztery żywioły: woda, skały, wzgórza, drzewa — i stworzyły nadzwyczajny fenomen: nigdzie na świecie nie widziałem takiej ilości czarujących krajobrazów. Co zakręt rzeki — to dziw, co krok — to nowy powab.

Ton nadają jodły i świerki. Rzekłbyś: uroczyste wieżyce, których wysmukłe czuby modlą się do nieba. Jodły i świerki to naprawdę zdumiewające i dorodne drzewa. Ich stożkowate sylwetki wprowadzają do obrazu przyrody ład i spokój, prostotę i stateczność. Dzięki nim las nabiera wybitnie cech męskości. Wszystko, co dokoła widzimy, obramowane od spodu skałą, od góry zygzakiem iglastych drzew, z płytą rozlanych wód pośrodku, to wszystko jest wyraziste, jasne, prostolinijne, energiczne, jędrne, słowem: męskie. Przyjemnie spoglądać na przyrodę, która wzbudza tyle zaufania i koi wzrok. Chciałoby się tu długo mieszkać i snuć czyste, podniebne myśli. Trójkątne drzewa wskazują prosto na błękitne niebo.

Znam przecież inną puszczę, hen daleko na południu, nad Amazonką. Kocham ją i tęsknię do niej. Jest

wspaniała, wybuchowa, tajemnicza, gorąca jak piękna kobieta, jest przy tym pełna spazmów i zasadzek, zdradliwa, okrutna i zachłanna. Jak namiętna, zła kobieta — puszcza nad Amazonką najpierw upaja, potem męczy i pożera. Człowiek boi się jej, a jednak tęskni. Pod palmami i wśród lian pienią się upiorność i szaleństwo. Na północy, wśród świerków, panują pokój i wytchnienie. Wśród świerków chciałoby się mieszkać...

Słońce chyli się ku zachodowi, na wodzie wyrastają coraz dłuższe cienie. Od strony lasu cisza, jedyny na rzece odgłos to przytłumiony plusk naszych wioseł. Błogi nastrój w różowym powietrzu. Nagle przerywa go podniecające zdarzenie. Na którymś zakręcie dmie wiatr od lądu i przynosi nam niezwykłą rzecz: zapach tak przyjemny i tak mocny, jak gdyby ktoś rozrzutny palił w lesie furę najcenniejszego kadzidła. Przenikliwa woń żywicy wstrząsa nerwami i oszałamia. Tak przejmującego aromatu nie doznałem w żadnym lesie europejskim ani nad Amazonką.

— Co to jest? — pytam Stanisława zaskoczony.

— Spruce! — odpowiada skąpo między jednym a drugim uderzeniem wiosła. Spruce to jodła. A więc w kanadyjskim lesie żyją śmierdzące skunksy o najzłośliwszym smrodzie i rosną drzewa o najwonniejszej żywicy.

Zestawienie tropikalnej puszczy z kobietą przypomina mi inną rzecz i podczas dalszej jazdy prześladują mnie czarne, wielkie oczy pewnej Francuzeczki.

Tańczyłem z nią wczorajszej nocy w montrealskim dancingu „Lido". Cudowne oczy wciąż teraz widzę przed sobą. Młoda Kanadyjka była czarowną dziewoją, kochała piękno, wierzyła w ideały, pisywała nowele do magazynów i nieźle tańczyła. Uroczy pięknoduch, wychuchany przez zamożnych rodziców, wybierał się właśnie w podróż do Europy.

W pewnej chwili przy stoliku naszym powstała burza; płomienne oczy zapałały gniewem i stały się jeszcze piękniejsze. Winowajcą byłem ja. Zapytany o swe wrażenia z pobytu w Val des Bois, wioski nad rzeką Lièvre, powiedziałem, nieszczęsny, prawdę. O tym, co widziałem, o niskim stanie moralnym francuskiego chłopa; wyrażałem się w słowach oględnych, lecz to wystarczyło, by posypały się na mnie gromy oburzenia. To fantazja, to nieprawda! wołała śliczna patriotka, a potem chcąc mnie zupełnie pognębić spytała:

— Czy zna pan książkę Hémona: Marie Chapdelaine?

— Znam — odpowiedziałem skruszony.

— Więc widzi pan, że nie ma pan racji! — triumfowała.

Hémon wyidealizował kanadyjskiego chłopa, ubrał go w cnoty i tęgo w tym przeholował. Nie znał widocznie Val des Bois. Tam są inni chłopi, ciemni, zaniedbani, ale prawdziwi. Zresztą, pal sześć Hémona! Towarzyszka była tak pociągająca, że poddałem się i przyznałem jej rację. Miała tak cudne oczy.

(Dręczy mnie pytanie: Dlaczego tu, na rzece

Oskelanoe, zjawiają mi się te oczy z taką wyrazistością i natarczywością?).

Osobliwa i niełatwa to sprawa — wyczucie rzeczywistości. Można patrzeć, a nie widzieć, można dotykać, a nie czuć. Mimo woli nasuwa się trwożne pytanie, czy ujrzę właściwą twarz puszczy, a nie jej maskę, czy wyczuję jej istotną rzeczywistość? Czy nie popełnię błędu Hémona?

Piękna jest puszcza, przez którą płyniemy. Orzeźwiająco pachnie jej oddech, strzeliście wznoszą się jodły, kanu raźno pruje wodę, pysznie pracują mięśnie ramion. Nie tracę otuchy: znajdę chyba z puszczą wspólny język. A może nawet i serce?...

— Stop! — woła z przodu Stanisław i naraz przestaje wiosłować. Ja też przestaję. Przed nami pojawiło się na powierzchni wody jakieś zwierzątko. Gdy się zbliżamy, poznajemy zielonego węża, płynącego przez rzekę z jednego brzegu na drugi. Jest to potulna, półmetrowa gadzina, dobrze nam znana z lasów w Val des Bois. Jest to poza tym skończony wariat i wyraźny samobójca; wpełzł do wody rojącej się od głodnych szczupaków. Ale ma swój wytknięty cel: przeciwległy brzeg, opromieniony ciepłym słońcem, i do tego zmierza prostą jak sznur drogą, trzymając głowę wysoko ponad powierzchnią wody.

Oczekuję, że lada moment chwyci go szczupak i wciągnie w głębinę. Wiem, ile jest szczupaków w rzece, więc liczę chwile śmiałka. Ale nad wężem czuwa widocznie dobry duch — może Nanabosho? — i, rzecz niepojęta, zuchwalca nic nie rusza. Szczęśli-

wie przepływa całą rzekę, przy lądowaniu nawet marudzi i kołuje, potem opuszcza wodę i powoli ginie w krzakach, zdrów i cały.

Jesteśmy zdumieni. Dlaczego nie pochwycił węża żaden szczupak? Co robiły szczupaki? Pozostanie to tajemnicą rzeki.

Chciałbym śpiewać, lecz nie wolno. Stanisław dostrzegł na brzegu tropy łosia. Więc są łosie! Przepływamy teraz przez łąki i moczary, i wypatrujemy bacznie zwierzyny. Na razie nic nie widać.

Potem zbliżają się znów do rzeki skały i lasy. Od czasu do czasu zjawiają mi się oczy nadobnej Francuzki i teraz już wiem, dlaczego: snać towarzyszą mi jako maskotka. Niech towarzyszą, na tle wysmukłych świerków i twardych skał potrzebny jest widok ciepłych oczu. Jest mi wesoło na duszy, sprawiła to przygoda z wężem.

Na brzegu leżą płyty skał niby olbrzymie wieka skarbów. Wiadomo, że to królestwo złowrogiego Czakenapenok. A gdyby tak siłą magiczną podnieść te skały, usunąć złośliwy balast i zajrzeć, jakie tam skarby ukrywa niedobry bożek?

Od lasu zalatuje powiew i przynosi upajający balsam jodeł. Kanada pachnie żywicą.

PUSZCZA PŁONIE

Około godziny piątej po południu przerywam nagle wiosłowanie, wciągam głęboko powietrze i mówię do Stanisława:

— Czuję dym!

Stanisław ma katar i nie czuje nic. Powiada, że się mylę; nie widać żadnego obozu, puszcza na dziesiątki kilometrów jest tutaj bezludna. Ale ja nos mam nie od parady i obstaję przy swoim: w powietrzu pachnie dymem.

— Skądżeby dym?! — kiwa głową Stanisław i płyniemy dalej.

Po obydwóch brzegach rzeki Oskelanoe rośnie wysokopienny bór iglasty. Ponad borem ciągną od zachodu na wschód ptaki i przelatują przez rzekę. Są to sojki kanadyjskie z czubatymi głowami, zwane blue jays. Ptaki pospolite, krzykliwe i wścibskie; miłe leśne łobuzy i obiboki. Teraz oto liczną zgrają — jest ich przeszło dwadzieścia spoczywających na różnych drzewach — gardłują, jak gdyby puszcza do nich należała. Są zdenerwowane i nie przestają

dokuczliwie wrzeszczeć ani w locie, ani wtedy, gdy siadają na gałęziach. Bardzo natrętne istoty.

Wtem słychać od zachodu odległy, donośny okrzyk: kerrr! Aha, myślimy z zadowoleniem, sojki boją się, gdyż goni je jastrząb. Rzeczywiście pojawia się na niebie wielki, skrzydlaty drapieżnik o jasnej, czerwonawej piersi; majestatycznie przelatuje wysoko ponad nami, lecz nie zważając wcale na wystraszone ptaki szybuje dalej i ginie nam z oczu za wschodnią ścianą lasu.

Sojki na chwilę umilkły; teraz zrywają się i podnosząc trwożne krzyki lecą — też na wschód, za jastrzębiem.

— To dziwne! — odzywa się Stanisław. — Wszystko ucieka w tamtym kierunku.

Lecz nie koniec dziwnym zjawiskom. Oto nagle i blask słońca się zmienia. Przed chwilą jeszcze świeciło normalnie, różowym, przedwieczornym blaskiem, a teraz znienacka nabiera fioletowych, niepokojących kolorów. Fioletem zabarwia wszystkie przedmioty: białą dotychczas chmurkę, kamieniste wybrzeże, a nawet drzewka. Na oczach naszych dzieją się czary; woda zmienia kolor i przybiera ponury, złowieszczy wygląd. Potem słońce zachodzi.

Gdy bagnista łąka otwiera nam szczery widnokrąg, stwierdzamy, że słońce zaszło nie za zwykłą chmurę, lecz za szarą, przyziemną masę dymu, pokrywającą cały zachodni skłon nieba. Zamiera nam serce, gdy stwierdzamy fakt: las się pali.

Ogień jest jeszcze bardzo daleko, lecz pokrywa

cały zachodnio-północny horyzont, a wiatr wieje stamtąd wprost na nas. Pożoga może nas schwycić na rzece; grozi to przykrymi niespodziankami. Jak z mapy wynika, o cztery mile dalej na północy Oskelanoe River wpada do wielkiego jeziora. Jeżeli tam dopłyniemy przed nadejściem pożaru, niebezpieczeństwo dla nas minie.

Wiosłujemy co sił. Kanu pruje wodę z głośnym sykiem. Pot spływa nam z czoła. Trzeba się spieszyć, tym bardziej że dzień ma się ku końcowi. Mijamy w szybkim tempie pierwszą milę, drugą i trzecią. Pod drzewami snują się coraz gęstsze cienie. Na trzeciej mili słychać nagle przed nami szum bystrzyn. W miarę zbliżania się potężnieje; to już huk. Niestety. Na przeszkodzie staje nam fatalny wodospad, za którym pienią się po kamieniach przez kilkaset metrów bystrzyny.

Nie ma się czego namyślać. Wyskakujemy na ląd, przywiązujemy z przodu i z tyłu łodzi dwie liny i holujemy kanu wzdłuż brzegu. Niełatwa to rzecz skakać z kamienia na kamień i równocześnie pilnować, by łódź nie rozbiła się o skały lub by jej nie porwały prądy. Liny wrzynają się nam w ręce. Wreszcie mordęga skończona; łódź szczęśliwie wyprowadzamy na spokojną wodę, zziajani i spoceni — żeby doznać gorzkiego zawodu: przed nami szumią nowe bystrzyny, groźniejsze niż te, które przebyliśmy. Tymczasem zapadł mrok. Niesposób posuwać się dalej w ciemnościach i narażać łódź i bagaż na pewne rozbicie.

— Tutaj przenocujemy! — oświadcza Stanisław spokojnym głosem i starannie przycumowuje kanu do brzegu.

Nad naszymi głowami pokazują się gwiazdy. Zachodnie niebo oblewa pąsowa zorza wieczorna, lecz zorza to niezwykła. Im głębiej w noc, tym coraz krwawiej i coraz jaśniej świeci na zachodzie. Łuna pożaru rośnie. Czerwone niebo bije coraz bardziej złowieszczym blaskiem. Widok jest może czarowny, lecz w tej chwili napawa lękiem; poświata upiornie odbija się na pobliskich pniach. Drzewa nad naszym obozem wyglądają jak złe duchy. Przy tym zapach dymu wzmaga się i niepokoi nas; toż to przednia straż zbliżającego się wrogiego żywiołu.

Stanisław, doświadczony człek lasu, chwilę majstruje w ciemnościach, coś zrywa, coś łamie. Potem nagle wyskakuje w górę potężny płomień. Wesołe, trzaskające ognisko sprawia cuda. Rozprasza przygnębienie i rzuca jasne światło na ukryty dotychczas świat najbliższego otoczenia: na pokracznie wygięte, suche gałęzie, zmurszałe, powalone pnie i na ostry zarys wysuwającej się znienacka skały; świat fantastyczny, zajmujący i w tej chwili dziwnie przyjazny. Znam od dawna czarodziejską właściwość ogniska; lecz nigdy wzniecenie go nie poskutkowało tak dobroczynnie, jak w ten wieczór nad rzeką Oskelanoe.

Kolacja wprawia nas w pogodniejszy jeszcze nastrój. Cudowna wyżerka dla wygłodzonych żołądków: rozgrzana na ogniu puszka „porc and beans",

czyli białej fasoli z okrasą, dalej puszka mięsa, dobry chleb, świeże masło, puszka ananasów, ogromnie mocna i słodka herbata z kondensowanym mlekiem; papierosy. Przy papierosie nerwy nam się zupełnie odprężają. Śmiało już spoglądamy na niebo i spokojnie układamy plany. Omawiamy dokładnie środki obronne, jakie trzeba będzie przedsięwziąć, gdy pożar lasu dojdzie do rzeki. Czujemy się znów na siłach.

Ogień wciąż jeszcze musi być daleko; widać tylko łunę. Blask jej nie jest jednostajny. Miejscami słabnie, gdzie indziej zaś przybiera nagle na światłości, rzuca smugi, porusza się wyraźnie, jak gdyby żył. Pożar czyni wrażenie zawziętego a czujnego wroga, wysuwającego ostrożnie macki na niebie i badającego, którędy najlepiej napaść.

Najścia tego wroga ludzie boją się jak największego zła. Na całej przestrzeni od stacji Oskelanoe nie widzieliśmy żadnego człowieka, natomiast na dziesięciu najmniej zakrętach rzeki przybite były do pni drzew widoczne z daleka, ostrzegawcze plakaty o pożarach. W każdym pudełku zapałek są karteczki z prośbą o zachowanie wszelkich środków ostrożności podczas palenia w lesie. Na naszym namiocie fabryka wydrukowała napis: Nie zapominajcie gasić ogniska! — Ktokolwiek obcy idzie do lasu, winien zaopatrzyć się w kontrolne pozwolenie; na stacji Oskelanoe musieliśmy wyłuszczyć urzędnikowi szczegółowo plan wyprawy, dokąd, jak, po co i z kim.

Zdawałoby się, że to śmieszny przerost biurokracji w bezludnych prawie ostępach, a jednak przezor-

ność usprawiedliwiona. Widocznie ktoś nieostrożny tam na zachodzie wzniecił pożogę. Puszcza kanadyjska, pachnąca tak wonną żywicą, pali się jak wiór, zwłaszcza pod koniec lata. Corocznie ogień pochłania setki kilometrów najpiękniejszej kniei. Pożar to postrach Kanady i wróg wszystkich ludzi i zwierząt żyjących w lesie.

Stanisław postanowił sam czuwać i każe mi położyć się na spoczynek. Nie mówić mi tego dwa razy; jestem bardzo zmordowany. Rozkładam na ziemi koce, przykrywam się cały nieprzemakalnym płótnem (namiotu dziś nie rozbijamy) i staram się zasnąć. Słyszę jeszcze szum bystrzyn, trzask ogniska, potem głośną modlitwę Stanisława i w końcu zasypiam. We śnie przeżywam nadal dramatyczne chwile, dusi mnie zmora, a palące drzewa kładą się na piersi. Później koszmar znika i ustępuje błogiemu uczuciu ulgi i szczęśliwości.

Nagle zrywam się ze snu, jak gdyby pod obuchem grożącego niebezpieczeństwa. Zsuwam z głowy nakrycie. Na dworze jest zupełnie ciemno. Znikło ognisko, nie ma Stanisława, nie ma dymu w powietrzu, nie ma łuny na niebie. Mży natomiast chłodny deszczyk i świeże powietrze pachnie znów żywicą, aż rozkosz oddychać. To nie sen. I teraz także słyszę, gdzie jest Stanisław. Wlazł pod płachtę i śpi obok mnie twardym snem sprawiedliwych. Niebezpieczeństwo ognia minęło. O północy spadł deszcz i stłumił pożar lasu.

Odkrywam także przyczynę zbudzenia. Spod naj-

bliższych drzew dochodzą tłumione skowyty i skomlenia jakichś zwierząt. Oświetlam elektryczną lampką okolicę, lecz niczego nie dostrzegam. Jest zimno i chowam się pod płótno. Zwierzęta umilkły, natomiast słychać gromko huk obydwu bystrzyn: tej, którą wczoraj przebyliśmy, i tej, która nas czeka rano.

Życie wstąpiło znów we właściwe tory. Zasypiam spokojnie.

18

ZDOBYWAM NOWEGO PRZYJACIELA

Rano po leśnym pożarze Stanisław wstał widocznie lewą nogą: pech prześladuje go przez cały dzień. Rozpoczyna się już na miejscu obozowiska. Stanisław gubi scyzoryk. Gmatwanina kamieni i gałęzi dokoła ogniska pochłania cenną rzekomo zgubę i kwasi humor towarzysza. Następnie podczas spuszczania łodzi przez bystrzyny Stanisław potyka się na śliskim kamieniu i wpada jak długi do wody. Słońce świeci i jest ciepło, więc nie groźna to przygoda, ale humoru nie poprawia.

Za bystrzynami rzeka się rozszerza i wnet widnieje przed nami sina płaszczyzna olbrzymiego jeziora. U ujścia rzeki stoi drewniana chata. Mieszka w niej rybak, o którego istnieniu opowiadano nam na stacji Oskelanoe. Niestety, chata jest zamknięta, okiennice zawarte i żadna żywa dusza nie odzywa się na nasze wołanie. Natomiast z pobliskich krzewów wyskakują wielkie psy. Cała zgraja psów: sześć. Przybiegają nad brzeg wody i obszczekują nas basowym głosem. Czynią to z obowiązku, a nie z przekonania, i kiepsko udają zawziętość.

— To są huskies! — objaśnia Stanisław.

Huskies to psy eskimoskie. Patrzę na nie z szacunkiem. To sława Północy, symbol bohaterstwa, ofiarnej wierności, poświęcenia. Na Alasce człowiek postawił im pomnik wdzięczności. Husky to zimową porą jedyny sojusznik człowieka, decydujący o zwycięstwie nad przyrodą. Twarda i zabójcza jest zima w tych lasach. Życie ludzkie zależy wtedy od sań. Wierne huskies ciągną sanie nie męcząc się i umożliwiają ludziom życie na pustkowiu.

Huskies są bohaterami wielu powieści, a gawędy przy wszystkich kanadyjskich ogniskach sławią ich czyny. Bywają podobno między nimi, jak wśród ludzi, jednostki różne, złe i dobre, uległe i krnąbrne, potulne i zdziczałe, lecz za to wszystkie są odważne, wytrwałe i silne. Te, które widzę, przypominają trochę bernardyny, lecz mają bardziej wydłużone pyski i silniej rozwinięte klatki piersiowe. Atleci wśród psów. Sierść mają bujną, koloru biało-czarnego, z wyjątkiem jednego psa, płowego, zapewne mieszańca.

Na ich widok ogarnia mnie wzruszenie. Spotykam je pierwszy raz. Oto nieomylny znak, że wkroczyliśmy w strefę lasów północnej Kanady. Chcę wylądować i przyjrzeć się im z bliska. Nie wolno, powiada Stanisław, bo psy mogą być niebezpieczne! Trzeba wpierw wypróbować ich przychylność.

Stanisław rzuca im na ląd kilka szczupaków, złowionych wczoraj po drodze. Okazuje się, że psy są przychylne: zjadają ryby. Więc wolno nam wysiąść. Stanisław jest podniecony i ostrzega mnie,

żebym stał mocno na nogach i nie dał się przewrócić. Huskies szanują tylko stojącego człowieka; leżącego uważają za wroga i natychmiast na niego się rzucają. Tak Stanisława uczyli doświadczeni ludzie.

Wysiadam. Psy z radosnym szczekaniem doskakują do mnie, ale ja do nich też zamaszyście. Pokrzykuję dobrodusznie i robię wrzaskliwą serdeczność, prawdziwie po amerykańsku, na nutę: How do you do? Uprzejme psy podchwytują tę nutę i sadzą się na wesoły hałas, goniąc dokoła w szalonych pędach. Szczególnie rozpasane jest największe z nich psisko, czarny olbrzym o białym nosie, który chce koniecznie położyć swe ciężkie łapy na moich ramionach. Truchleję. Wymykam mu się, jak mogę. W końcu wybuchowy osobnik rezygnuje i ociera się tylko przyjaźnie o moje uda.

Lecz inne psy zazdroszczą mu tej przyjemności i nastrój nagle się psuje. Zazdrośnicy doskakują do olbrzyma, szczerzą na niego kły i warczą wojowniczo. Płowy mieszaniec jest na czele. Korzystam z zamieszania i wycofuję się ukradkiem ku łodzi, pilnie bacząc, by mnie żaden husky nie dobiegł z tyłu i nie obalił. Pamiętam dobrze przestrogę Stanisława.

Moje odejście kładzie koniec psim waśniom. Psiaki naraz uspakajają się, obojętnieją zupełnie na naszą obecność, już nie chce im się wylewać uczuć i rozchodzą się po okolicy, każdy za swoim interesem.

Przekonujemy się, że rybaka nie ma w domu. Wyjechał zostawiając swe psy.

Stanisław odkrywa niedaleko chaty mnóstwo czar-

nych borówek, wielkich prawie jak wiśnie i rosnących w tak obfitych gronach, że zbieramy je pełnymi garściami. Są słodkie i świetnie nam smakują. Właśnie klęczę nad nimi, gdy nagle z pobliskich krzewów wyskakuje pies i pędzi do mnie. Nie zdążyłem powstać. Dopada mnie zdjętego przerażeniem i wywraca obuchem rozpędzonego cielska. Jest to ów krewki czarny olbrzym z białym nosem. Lecz mimo iż leżę na ziemi, nie okazuje wrogich zamiarów; przeciwnie, chce igrać; rubasznie trąca mnie nosem i merda przyjaźnie ogonem. Głaszczę go, a on skomle z radości. Śmiejąc się w duchu, pokazałbym najchętniej tę scenę Stanisławowi, zbierającemu w gąszczu opodal borówki. Jednakże nie chcę mu sprawiać przykrości. Stanisław, zdaje się, niesłusznie zniesławił psy huskies.

Mam w kieszeni kawał kiełbasy, przeznaczony na mój obiad. Poświęcam ją naszej przyjaźni, dając psu. Snadź po raz pierwszy w życiu mój husky zjada taki smakołyk, tyle rozkoszy i wdzięczności bije przy tym z jego poczciwych oczu.

— — — — — — — — — — — — — —

Ruszamy w drogę. Jezioro rozciąga się przed nami tak wielkie, że drzewa na przeciwległym brzegu zlewają się w jeden cienki pas. Cisza panuje zupełna, nie ma najmniejszego wiatru. Stanisław dziś wszędzie widzi strachy: tłumaczy, że zwodna jest taka pogoda, że zatem bezpieczniej jest płynąć wzdłuż brzegu, a nie najkrótszą drogą przez środek jeziora.

Stanisław jest zbyt ostrożny. Sprzeciwiam mu się stanowczo i stawiam na swoim; płyniemy na przełaj.

Często podziwiałem fotografie cichych jezior kalifornijskich, tak nieruchomych, że góry w nich odbijały się z niezwykłą wyrazistością. Teraz spostrzegam, że cisza jest i na jeziorach kanadyjskich. Oto górzysty brzeg ze skałami i świerkami nad wodą i ten sam brzeg ze skałami i świerkami w samej wodzie. Widać w niej najdrobniejsze szczegóły drzew, najmniejsze gałązki z mikroskopijną dokładnością. Przedziwne to zwierciadło i przedziwna magia: gdy się wpatrzeć, świat w wodzie wyda się prawdziwszy i rzeczywistszy niż świat nad brzegiem. W to zaklęcie przyrody człowiek patrzy z niemym podziwem, lecz równocześnie rozbija je i pruje dziobem swego kanu. Za człowiekiem pozostaje tylko smuga sfalowanej wody, świat zburzony i już bez zaklęcia.

Stanisław tym razem miał niestety rację. W trzech czwartych naszej drogi — do brzegu jeszcze dobra mila — pogoda nagle się psuje, zrywa się przeciwny wiatr, spiętrza wysokie fale, sroży się prawie burza. Grozi nam niebezpieczeństwo. Nie ma żartów. Całe szczęście, że wiatr bije prosto z przodu, a nie z boku. Wiosłujemy jak opętani, lecz poruszamy się jak żółwie. Wicher nas powstrzymuje. Ostatecznie, po nadludzkich wysiłkach, dociągamy do brzegu, a tu już lżej. Nie ma takich fal i łatwiej wiosłować.

Lecz za pierwszym jeziorem jest zaraz drugie i szlak wciąż prowadzi pod wiatr. Po kilku godzinach uciążliwej jazdy wyrasta przed nami wysu-

nięty w jezioro półwysep z plażą zaciszną pod osłoną lasu. Przynęta zbyt wabiąca. Jesteśmy zmordowani. Lądujemy i zakładamy obozowisko na noc. Przez cały dzień przebyliśmy zaledwie dziesięć mil; to mało.

Stanisław roznieca na piasku ognisko i przygotowuje wieczerzę, ja stawiam namiot. Las chroni nas od wichru, więc szybko odzyskuję dobry humor. Natomiast Stanisław coś przeżuwa, jest zły i milczący.

Po kolacji wybucha. Oświadcza, że ma więcej niż ja doświadczenia w lesie i na wodzie, że lepiej zna przyrodę kanadyjską, że wiele nie brakło, a dzięki mojemu widzi mi się i uporowi leżelibyśmy teraz na dnie jeziora. Prosi grzecznie, lecz stanowczo, żebym uznał w przyszłości jego przewagę i lepszą znajomość spraw leśnych. Gorzka to dla mnie pigułka, lecz do pewnego stopnia zasłużona: na środku jeziora pieniły się w istocie niebezpieczne fale. Czuję się winny.

Wtem, jak gdyby z nieba, spada mi niespodziana pomoc. Słyszymy nagle w lesie trzask łamanych gwałtownie gałęzi i dyszący oddech biegnącego ku nam jakiegoś zwierza. Zrywamy się obaj na równe nogi, wytężamy wzrok. Z lasu wypada na plażę — czy oczom wierzyć? — mój czworonożny przyjaciel od rana, olbrzymi husky z białym nosem. Uspokojony siadam znów na ziemi.

— Na miłość boską! — krzyczy do mnie przerażony Stanisław. — Niech pan natychmiast wstaje!

Lecz ja śmieję mu się wesoło w twarz. Stanisław

doskakuje ze zgrozą w oczach i usiłuje mnie podnieść przemocą. Tymczasem pies już mnie dopadł i poszczekując wykonuje dziki taniec radości. Potem przywiera do moich nóg i wyznaje na psi sposób swoją wielką przyjaźń. Stanisław spogląda na to zdumiony, zbity z tropu.

Teraz opowiadam mu poranną przygodę. Śmiejemy się obaj. Psu także raźno na duszy. Przemierzył do nas przeszło dziesięć mil lasami i przybył w samą porę, żeby poczciwego Stanisława ściągnąć z niebezpiecznych wyżyn wynoszenia się i moralizatorstwa.

Czuję, że zdobyłem nowego przyjaciela.

CZTERY STRZAŁY DO WILKÓW

Niepokoją i drażnią nas tajemnicze fale na jeziorze. Kto je wywołuje? Nie wiadomo.

Przed zachodem słońca ustał burzliwy wiatr i woda się wygładziła. Na noc znów spłynął niezmącony spokój, taki sam, jaki był przed burzą. Stanisław poszedł do lasu. W powietrzu panowała cisza tak głęboka, że słyszałem z odległości stu kroków każde chrząknięcie towarzysza i każde trącenie gałązki.

Na wschodzie wypełzł spomiędzy drzew pełny księżyc, czerwony i ogromny. Odbił się w wodzie i położył jaskrawą smugę od dalekiego, bardzo dalekiego brzegu aż do nas, prawie pod nasze nogi. Smuga ciągnie się bez ruchu i jest gładka jak samo jezioro.

Aż oto staje się niezwykła rzecz. O milę stąd coś porusza nagle wodę i powoduje ruch fal. Zdradza to wyraźnie smuga księżyca, rozbijająca się na drobne, lśniące cząsteczki. Wiatru nie ma. Jakiś nocny zwierz wszedł widocznie do wody z brzegu, na którym my

sami obozujemy. Lecz jaki zwierz? Może to łoś? Serce podrywa się żywiej.

Od strony, gdzie faluje woda, słychać stłumiony odległością, przeciągły okrzyk: uuuu.

— Loon! — orzeka Stanisław.

Loon to nurek, który nieraz woła do późnej nocy. Bardzo możliwe, że to nurek buszuje tam w wodzie. Lecz gdy odgłos rozlega się po raz drugi, Stanisław zmienia sąd: to jednak nie loon. Więc co? Natężamy słuch, ale okrzyk już się nie powtarza. Powierzchnia wody uspokaja się i księżyc znów rzuca nieprzerwaną smugę poprzez jezioro. Tajemnicę pokrywa cisza.

Pies husky, którego poznałem dziś rano, a który ku mej uciesze zjawił się przed godziną w obozie, wywołuje pomiędzy nami poważną różnicę zdań. Stanisław nie ma do niego przekonania i powiada, że tylko zły pies i nicpoń opuszcza swój dom i wałęsa się po puszczy. Pies powinien być wierny. Mój husky jest wierny — staję w jego obronie — bo jest wierny przyjaźni zawartej dziś ze mną; dlatego przybiegł do naszego obozu, by okazać mi swoją sympatię. Postaram się nabyć go na własność. Stanisław kiwa na to głową.

Pora na spoczynek. W obszernym namiocie jest dość miejsca na czterech ludzi, a nas jest tylko dwóch. Trzecia istota — to pies. Lecz Stanisław sprzeciwia się i oświadcza, że według kanadyjskiego zwyczaju psy winny nocować na dworze. Ha, jak zwyczaj, to zwyczaj; wypędzam psa z namiotu.

Gdy układamy się pod kocami, husky na dworze żałośnie stęka, sapie i mruczy. Zapewne nie w nos mu takie cygańskie spanie, ale wnet godzi się z psim losem. Śledzę go przez szparę w namiocie i przekonuję się, że to wytrawny bywalec obozowy i spryciarz nie lada. Żarzące się resztki ogniska przysypuje piaskiem i potem kładzie się na tym przypiecku, chroniącym go znakomicie od chłodu nocy.

Leżymy. Sen jakoś nie przychodzi. A gdy w końcu kleją się powieki, otrzeźwiają nas nagle odgłosy z lasu. Słychać dwu-, trzykrotne przeciągłe wycie, to samo co poprzednio: uuuu. Ponure, zgłuszone i bliskie już, bo dosłyszalne poprzez płótno zamkniętego namiotu. Stanisław gwałtownie podnosi głowę.

— Teraz wiem, co to jest! — szepce. — Wilki! Są blisko.

Wstrzymując oddech zamieniam się cały w słuch. Lecz z lasu nic nie dochodzi. Natomiast pies nasz zaczyna warczeć. Warczy po cichu, zajadle, przeciągle, bez wytchnienia: z tłumioną, straszliwą nienawiścią.

— Wilki przyszły śladami psa! — oświadcza mój towarzysz. — Gdzie są strzelby?

— Pod wezgłowiem.

Macamy w ciemnościach, znajdujemy. Dwa pięciostrzałowe, automatyczne remingtony. Ostrożnie rozwiązujemy wejście do namiotu.

Księżyc wzbił się tymczasem wysoko na niebo i teraz srebrną poświatą rozjaśnia okolicę. O kilka kroków od nas warczący bezustannie pies czai się przy-

warłszy do ziemi i wbija ślepie w najbliższy punkt skraju lasu: patrzy na grupę czterech obok siebie stojących jodeł. Od drzew oddziela nas plaża szeroka na sześćdziesiąt kroków. Lecz daremnie gąszcz przeszywamy wzrokiem. Nic podejrzanego nie widać.

Jasny przed nami piasek i uśpione w ciszy nocnej drzewa składają się na obraz sielanki. Trudno uwierzyć, ażeby było inaczej; żeby czyhało tak bliskie niebezpieczeństwo. A jednak pies nasz zachowuje się jak wściekły i połyskując kłami nie spuszcza pałającego oka z czterech jodeł.

— Lornetkę! — szepce do mnie Stanisław.

Wsuwam się do namiotu, szperam w walizie, wracam. Nie wychodząc spod cienia dachu nastawiam lornetkę na las i wyraźnie widzę po kolei: pień jodły, część kamienia, suche gałęzie, siną kępę trawy, znów pień, krzak dzikiej wiśni, potem jakąś płową masę — czy to zwierz? — nie, to krzak. A wtem spod dalszego pnia pada znienacka lśniący blask niby błędny płomyk i zaraz gaśnie. Patrzę, wilk! Wilk. Na chwilę znów zapalają się jego ślepie. Rozpoznaję łeb, bark, łapy. Stoi jak olbrzymi posąg. Nieruchomo patrzy w naszą stronę.

Gdy odkładam lornetkę, widzę wilka znacznie gorzej i raczej domyślać się trzeba jego zarysów. Wskazuję go Stanisławowi i odbezpieczam sztucer.

— Strzelaj pan pierwszy! — mruczy towarzysz.

Składam się, nabieram w płuca powietrza, szukam okiem muszki. Jakże niewyraźny cel! Ściągam cyngiel. Smuga ognia przed lufą, w lesie naraz gwał-

towny skok i zamieszanie. Trzy, cztery wielkie cienie uciekają panicznie wśród podszycia, szare na szarym tle. Wtem ogłusza mnie strzał Stanisława. Jakiś ruch w dalszych krzakach; strzelam drugi raz. Stanisław także. Potem już koniec. Wilków nie ma. Znikły. Nawet ich nie słychać.

Za to teraz dopiero powraca z różnych brzegów echo wystrzałów. Dudni nad wodami, pomnaża się, rozpryskuje, kołacze, słabnie; potem gdzieś w dalekiej zatoce od nowa rozbrzmiewa, grzmi, skacze, słabnie: jakaś zawracająca wciąż, czarodziejska, złudna kanonada. Gdy wreszcie milknie, grobowa cisza zalega jezioro i las. Dzwoni mi tylko w uchu.

Stoimy jeszcze z bronią w ręku. Nagle Stanisław rozgląda się i woła:

— Gdzie pies? Nie ma psa!

I zwraca się do mnie podniecony:

— Widzi pan, co za bałwan?! Pobiegł za wilkami. Rozszarpią go.

Nie rozszarpały go. Jak kilka godzin temu, zbliża się w lesie trzask łamanych gałęzi. To husky wraca. Wraca znękany, z pokąsaną łapą, ale cały. Pysk ma pochlapany krwią, lecz bez żadnej rany. Zatem to farba wilcza. Pies stoczył walkę i poturbował przeciwnika.

W jeziorze spłukuję z niego brud i farbę. Łapę husky sam sobie liże. Stanisław patrzy na niego przyjaźnie i wyraża się z uznaniem:

— Co prawda, to prawda. Śmiały jest szelma.

Zabieramy psa do lasu, by przekonać się o wyni-

kach strzelaniny. Niestety, żadnych śladów ani wilka, ani farby. Wszystkie cztery strzały chybiły.

Rozniecamy ognisko, parzymy herbatę, komentujemy przygodę. Potem idziemy do namiotu spać.

Jako ostatni wtłacza się do środka chyłkiem, cichaczem — pies. Poczuwa się przy tym do winy, bo łypie podejrzliwym ślepiem w stronę Stanisława, tamuje ze strachu oddech i natychmiast zwija się u moich stóp w kłąb tak mały, że aż dziw, gdzie podziewa całe swe ogromne cielsko. Teraz nikt go nie wypędza. Kanadyjski zwyczaj poszedł w zapomnienie.

Najpierw zasypia Stanisław, potem pies, w końcu ja. W rzetelnej harmonii dwóch ludzi i jeden pies śpią pod wspólnym namiotem na piaszczystym brzegu wielkiego jeziora.

NARKOTYK PUSZCZY

Kanadyjska puszcza oszałamia swą bezbrzeżnie pustą przestrzenią. Jest to mocny narkotyk. Jest to potęga fantastyczna, zniewalająca, nieprzebrana. I niebezpieczna.

Płyniemy już trzy dni od stacji Oskelanoe, a jednak wciąż jeszcze nie widzieliśmy po drodze żadnego człowieka, natomiast podziwiamy co krok widoki coraz to piękniejsze. Wciąż sobie uświadamiam: gdyby woda za miesiąc nie zamarzła, moglibyśmy tak płynąć w kierunku północno-zachodnim przez cały boży rok i co kwadrans podziwiać nowy, bezludny krajobraz. Bogactwo wrażeń oszałamiające i — powtarzam — niebezpieczne.

W przeddzień wyjazdu z Montrealu czytałem w gazetach o dwóch wypadkach. Jakiś drwal nad Jeziorem Św. Jana zbłądził w lesie, przez pięć dni szukał daremnie wyjścia, aż przypadkiem odnaleźli go ludzie. Biedak oszalał i bredził jak pijany. Ciężko chorego umieszczono w szpitalu. Drugi wypadek: dwóch spokojnych strażników leśnych, wypróbowa-

nych przyjaciół, pełniło od szeregu miesięcy służbę na wysuniętej placówce w bezludnym lesie nad rzeką Nottaway. Pewnego dnia pokłócili się o jakiś drobiazg i jeden drugiego zastrzelił. Zabójca nie umiał przed sędzią wytłumaczyć powodu swego postępku; twierdził tylko, że nie pił, a jednak czuł się nieprzytomny w chwili, gdy strzelał. Sędzia nie uwierzył: mieszkał przecież stale w mieście.

Co rok zalewa Kanadę powódź powieści, romansideł i nowel, których akcja rozgrywa się na Dalekiej Północy. Naśladowców Londona jest legion. Romantyka Far Westu sprzed pół wieku zawędrowała obecnie do Far Northu. Ogrom lasów i przestrzeni jest podłożem i osią tych utworów. We wszystkich prawie fabułach tak się dzieje, że dziarski, młody Tom czy Jack goni przez tysiące mil swe szczęście w postaci uroczej Alice czy Lilian, pokonuje po drodze moc uciążliwych przeszkód, jakie mu stawia przyroda, w końcu kładzie na obydwie łopatki łotra spod ciemnej gwiazdy i oddaje go policji, bogdankę zaś nad Jeziorem Wielkiego Niedźwiedzia porywa w męskie objęcia i tuli do serca. I on, i ona są w znakomitej formie.

Niestety, ja w taki happy end nie wierzę. Połowa zakochanych Tomów na pewno tysiącmilowej gonitwy przez puszcze kanadyjskie nie wytrzyma; załamie się po drodze, zwątpi i wróci bez Lilian. Ale o tym powieści i nowele milczą; nie podają, jakie spustoszenia poczynił w duszy Toma narkotyk przestrzeni.

Bo narkotyk ten istnieje i działa. Najwyraźniej działa. Czuję to po sobie w trzecim dniu naszej jazdy. Brzegi niby wciąż te same, te same skały, świerki i powierzchnia wody, a przecież stało się coś nowego. To już nie krajobrazy zwykłe. Czasem wydaje się, że od brzegu idą na nas promienie tajemnicze; że oto wdzierają się nam w nerwy i w mózg; wpływają na tok myśli, wydzielają do krwi osad, nie wiadomo: trujący czy odżywczy — w każdym razie osad oszałamiający.

Rytmicznie zanurzamy w wodę wiosła, kanu sunie chyżo naprzód. Lecz czasem wkrada się podejrzenie — złuda aż dotkliwa w swej natarczywości — że to my stoimy, a obok nas posuwa się brzeg, mijają drzewa, zatoki: płynie cały świat. Może jestem zmęczony i podlegam widziadłom. Część nocy nie spaliśmy, bo pokazały się wilki. Ale to przecież fakt, a nie złudzenie, że przez trzy dni nie widzieliśmy żadnego człowieka. Jakiś zdumiewający fakt.

I to fakt: za nami zrywa się czapla. W powolnym locie szybuje nisko nad naszymi głowami, widzimy dokładnie pióra i każdy szpon. Wymachuję do niej ręką. Ptak, oczywiście, musiał nas też zauważyć. Mimo to nie leci dalej niż na trzydzieści kroków od nas, siada spokojnie na kamieniu i pozostaje tak w jakiejś nierozumnej, niepojętej beztrosce. Jak to, czy nie poznał jeszcze drapieżnika-człowieka? Gdy dopływamy na piętnaście, dwanaście kroków, czapla leniwie się wzbija i po kilku uderzeniach skrzydeł opada na błotnistą łąkę. Na pewno nie zna człowieka.

Krótko potem wielki jastrząb rybołów, zwany tu osprey, zatacza nad nami koła w powietrzu. Nagle spada jak kula i uderza na nas. Chyba zwariował! Zbliża się niebezpiecznie do naszych głów, następnie podrywa się wysoko w powietrze, by za chwilę ponowić z góry atak. Rzuca się w ten sposób kilka razy. Widocznie uznał nas za jakieś potulne zwierzęta, nieświadomy tego, co mu grozi. Więc nie zna człowieka? W końcu zaprzestaje napaści w sam czas, by nie zginąć z naszej fuzji.

Jeziora, wyspy, zatoki, nowe jeziora, półwyspy, rozlewiska; wielki, bujny chaos wody, ziemi i lasu. Mapy nasze są niezbyt dokładne. Gdy około południa wpływamy w labirynt jezior, tracę orientację: przed nami zamykają drogę trzy zatoki i nie wiem, która właściwa. Wybieramy w końcu środkową. Według mapy powinno być na północy ujście rzeki. W istocie, znajdujemy ujście, lecz dalej na północny wschód; zatem mapa nie dopisuje.

Wpływamy na rzekę. Spodziewam się, że łożysko niebawem skręci ku północy, we właściwym kierunku. Tymczasem nie skręca. Mijamy jedną milę, drugą milę; potem rzeka nieznacznie zmienia kierunek na wschodni, potem nawet na wschodnio-południowy. To trochę dziwne. Stanisław nagle przestaje wiosłować.

— Zbłądziliśmy! — oświadcza. — Niemożliwe, żebyśmy się aż tak kręcili.

Patrzę jeszcze raz na mapę. Licho nadało! Zbłądziliśmy rzeczywiście. Teraz widzę. Trzeba było

płynąć nie w środkową zatokę, lecz w tę po lewej stronie. Tam było wyjście na północ. Jakże się stało, że tego przedtem nie widziałem? A to wsypa! Wstydzę się wobec siebie i wobec Stanisława.

Przecież umiem czytać mapy! Zżyłem się z nimi od samego dzieciństwa, pokochałem je i na nich budowałem swe światy. Nie poznaję siebie, coś mnie od południa urzekło. Narkotyk puszczy.

Tracimy pięć godzin. Wracamy i o godzinie piątej po południu lądujemy na noc w miejscu, które bez przesady nazwać można rajskim ustroniem: tak zacisznie i miło jest nad jeziorem o pagórkowatych brzegach, naprzeciw trzech małych, lecz wysokich wysp, z widokiem na lasy zalane słońcem. Jest przy tym ciepło.

Przed zachodem słońca biorę sznur z niklowaną błyszczką, spycham kanu na wodę i wypływam na jezioro. W nieprawdopodobnie krótkim czasie, w ciągu jedenastu minut — patrzę na zegarek — zdobywam dostateczny zapas ryb na dzisiejszą kolację. Łowię trzy szczupaki, po jednym dla każdego z nas: dla Stanisława, dla psa i dla siebie.

Potem zawracam. Widzę z daleka, jak Stanisław już wznieca w obozie wysokie ognisko. Przychodzi mi wtedy na myśl, że sprytny człowiek wymyślił sobie tysiące pięknych narzędzi — ot, chociażby kanu, strzelbę, błyszczkę, sznur, zegarek — ażeby narzędziami i dowcipem swoim ujarzmić przyrodę. Ujarzmić? Dotyka człowiek zaledwie jej powierzchni i jest przy tym ślepy i słaby, niezdolny wniknąć w to,

co tkwi głębiej. A głębiej tkwi jakaś potęga o fantastycznych zgoła możliwościach: trzy szczupaki w jedenastu minutach i — obłęd drwala znad Jeziora Św. Jana; sielanka słonecznych krajobrazów, nagły wicher na jeziorze i — zabójczy strzał przyjaciela. Czy człowiek zrozumie kiedyś zawiłą łączność zjawisk tutejszej przyrody?

Dokoła obozu rosną tuje, które Stanisław nazywa po kanadyjsku „cipros". Są to drzewa nieużyteczne dla człowieka, bo mają włókna pai- zwoiste, skręcone — i niebezpieczne, bo ogromnie smolne i łatwopalne. Z ich ściętych gałązek układam pod namiotem miękkie posłanie. Żywicą pachną mi potem ręce. Woń mocna, balsamiczna, oszałamiająca. Przylgnie do mego ciała na długie godziny. Niezmiernie przyjemna, wywoła szereg złudnych wizji podczas nocnego snu. Lecz tajemnicy przyrody nie odsłoni. Żywica kanadyjskiego cyprysu napawa rozkoszą i tylko upaja.

Podczas kolacji ściemnia się i słychać z daleka krzyk nieznanego ptaka. Drażni go nasze ognisko. Powoli się zbliżając wyraża głośno swą podnieconą ciekawość. Krzyk jego brzmi w naszą stronę, jak trwożne pytanie: Co to? Co to?

Czy ptak znajdzie zadowalającą odpowiedź? Wątpię. I on błądzi w mroku tajemnicy. Nie zrozumie związku między zjawiskiem ludzkim a otaczającą przyrodą.

21

TAJEMNICZY PTAK

Kilkanaście szczupaków, złowionych dwa dni temu, zaczyna się psuć wieczorem i mięknąć. Więc wyrzucam je na piasek w pobliżu naszego obozu. Na to nie zgadza się Stanisław i każe mi je ukryć głęboko w krzakach, ażeby wyrzuconych ryb nikt nie widział.

— Dlaczego nikt nie ma ich widzieć? — pytam zdumiony.

Bo w Kanadzie nie wolno marnotrawić darów przyrody i łowić bez powodu tyle ryb. Jest na to kara. Ludzie mogą tu przypadkiem przejeżdżać; zobaczą szczupaki i stwierdzą po śladach nawet za miesiąc, że popełniliśmy przestępstwo.

— I poznają, że to akurat myśmy byli?!

— Tak, poznają, że to my! Ludzie tu wszystko wyczytają ze śladów, kto, co i kiedy robił! — oświadcza Stanisław nie bez przechwałki.

Wobec tego zgarniam szczupaki i niosę w głąb lasu.

Wtedy to właśnie, z nastaniem nocy, odzywa się ta-

jemniczy zwierz. Najpierw bardzo daleko, po drugiej stronie jeziora. Potem krzyk jego słyszymy coraz wyraźniej. Zbliża się brzegiem wody, wzdłuż lasu. Woła co kilka minut. Ma głos zniecierpliwiony, gniewny, a zarazem zdziwiony. Zdaje się pytać w naszą stronę: Co to? Co to?

— Co to za stwór? — zagaduję towarzysza.

Stanisław odwraca twarz od ogniska i długo wsłuchuje się w ciemną noc. Nie wie, co to za stwór, i posępnie przyznaje się, że słyszy go po raz pierwszy w życiu. Kilka godzin temu Stanisław pokpiwał sobie z mej pomyłki przy czytaniu mapy, więc teraz, nie oszczędzając go, stwierdzam:

— Szkoda wielka, że nie wiemy, jaki to zwierz.

I opowiadam o największym tropicielu wszystkich puszcz, o Jean Martin. Był to kanadyjski Francuz, sławny coureur des bois, traper, o którym głośno w starych kronikach. Skory do pitki i wybitki, do tańca, mniej do różańca, świetny gawędziarz, wesoły kompan, nieustraszony kamrat, lecz przede wszystkim arcymistrz lasu. Nawet Indian o niebo przewyższał. Drukowanych książek szelma czytać nie umiał, natomiast przyroda była mu otwartą księgą: czytał w niej każdy ślad, nawet najbardziej zatarty i zawiły. Po sposobie żerowania zwierząt poznawał, czy tego dnia zetknęły się z człowiekiem. Z bezwzględną dokładnością ze smaku ubitej zwierzyny przepowiadał pogodę. Ze śpiewu ptaków wnosił o zmianie ciepłoty powietrza, a nawet wygląd wody i drzew miał dla niego znaczenie na przyszłość. Posiadał przy

tym oko tak bystre, a rękę tak pewną, że strzelał bez składania się i kulą trafiał jelenia w skoku, indyka w locie, orła podczas uderzenia. Nic na ziemi nie uchodziło jego uwadze. W nocy widział jak ryś.

Pił za trzech, lecz to jego zdrowiu nie szkodziło. Dopiero w późniejszym wieku zeszedł na psy. Zmarnowało go hulaszcze życie.

— Kiedy żył ten człowiek? — pyta się Stanisław.

— Mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy Amerykę właściwie dopiero zdobywano i odkrywano lasy. Dziś tak wspaniałych tropicieli chyba już nie ma.

— Są! — zaprzecza Stanisław cichym jak zwykle, umiarkowanym głosem. — Są, ale innego pokroju.

Narzuca na ogień wielki pień drzewa cipro, suchy i prawie biały. Świeży płomień bucha ku niebu, iskry wylatują jak roje szerszeni; drzewo pęka i wydaje trzaski. Gdy ognisko się uspokaja, Stanisław opowiada, co następuje:

Od wielu lat w Kanadzie nie wolno zabijać bobra. Przepisy są niezmiernie ostre; kłusownika czeka dotkliwa kara więzienna, suta nagroda zaś tego, który przestępcę przychwyci. W lasach koło Maniwaki pewien strażnik leśny odkrył przypadkiem miejsce, w którym jakiś kłusownik złapał bobra i ściągnął z niego skórę. Niestety, niemożliwe było dociec, kto bobra zabił. Działo się to już kilka tygodni przedtem, a od tego czasu były na przemian przymrozki, odwilże i burze. Kłusownik żadnego śladu po sobie nie pozostawił, z wyjątkiem bobrowego ciała, nadgryzionego przez zwierzęta leśne, rozwianych resz-

tek ogniska i pnia drzewa ściętego na ogień. Strażnik przez kilka godzin przeszukiwał gorliwie całe otoczenie, zaglądał do każdej grudki ziemi, badał każdą gałązkę, lecz daremnie. Kłusownik był chytry: żadnego śladu nie pozostawił, żadnej, nawet najdrobniejszej rzeczy nie porzucił.

A jednak po pięciu latach przemyślny strażnik wyśledził winowajcę o dwieście mil dalej, nad jeziorem Abitibi. I to wcale nie przypadkiem. Przez pięć lat szukał w lasach siekiery, którą ścięto drzewo na opał w miejscu zabicia bobra. Z naciętego pnia bowiem wynikało, że siekiera miała maleńką, charakterystyczną szczerbę. Szczerbatą siekierę strażnik znalazł nad jeziorem Abitibi. Wtedy jej właściciel przyznał się do winy.

— I takich dzielnych ludzi wielu mamy w Kanadzie — kończy Stanisław swą opowieść.

Słucham go z zaciekawieniem, a jednak od kilku chwil uwagę moją przykuwa coś, co dzieje się w ciemnościach. Mianowicie po dłuższej przerwie znowu odzywa się tajemniczy zwierz, wołający: Co to? Krzyk jego zbliża się jeszcze bardziej i ze stałego lądu przenosi na jedną z trzech wysp, sterczących w jeziorze tuż naprzeciw naszego obozu.

— A więc to ptak! — mówię uradowany do Stanisława.

Sprawia nam ulgę, że odsłania się chociaż rąbek tajemnicy. Idziemy nad brzeg wody, by słyszeć lepiej. Lecz jak na złość ptak wtedy milknie. Wracamy do ogniska.

— Uparty i czujny! — stwierdza Stanisław.

— O czujnym lisie i upartym traperze opowiadał mi stary Żagiewicz z Macazy, dzielny myśliwy, którego niedawno odwiedziłem — mówię do towarzysza. — Proszę posłuchać!

Było to jeszcze przed wojną. Pewien Francuz, traper spod La Tuque, ujrzał zimą z daleka na śniegu srebrnego lisa. Srebrny lis, jak wiadomo, miał wtedy wartość ogromną, kosztował podobno 1500 dolarów, a nie jak dziś — trzydzieści. Na jego widok traper zadrżał w głębi serca i prawie oszalał. Lecz co tu począć? Wiedział, że gdy podejdzie nieostrożnie do lisa i chociaż raz go spłoszy, cenny zwierz ucieknie mu za siódmą górę i przepadnie na zawsze. W końcu traper wpadł na niezwykły pomysł; postanowił, ni mniej, ni więcej, lisa oswoić i przyzwyczaić do siebie. Sprytnie to urządził. Idąc za zwierzem trop w trop zważał, by nie zanadto się zbliżyć, natomiast pokazywał się wciąż lisowi z daleka i ciągle z daleka go niepokoił. Wycierpiał wiele; było mroźno, a sypiać musiał pod gołym niebem; ale przez siedem dni nie spuszczał lisa z oczu i jak pijawka trzymał się jego śladu. Nic z tropu go nie zbiło. Wytrwał. Na ósmy dzień mógł już zbliżyć się do lisa, dać strzał na czterdzieści kroków i zdobyć majątek.

Gdy przestaję mówić, Stanisław spogląda mi nieufnie w oczy. Chuda jego twarz jeszcze bardziej się wydłuża. Niespokojny wzrok nie dowierza mi. Lecz nie stwierdza nic podejrzanego, więc tylko się pyta:

— Kto panu to opowiadał?

— Stary Żagiewicz z Macazy, dzielny myśliwy.
Wtem znów odzywa się tajemniczy ptak. Wykrzykuje całą kaskadą swoje: Co to? Zaczepnie, pytająco i zupełnie blisko, z wyspy.

— Robi wrażenie, jak gdyby z nas sobie drwił! — złości się Stanisław i potem zachodzi w głowę: — Co to może być? Na nurka — głos za wysoki, na gęś — za niski, na sowę — zanadto urywany. W każdym razie ptak kpi sobie z nas...

Tego wrażenia nie odnoszę. Ptak nie kpi sobie z nas. To po prostu nasz ogień dręczy go niepokojem i drażni. Weszliśmy tu brutalnie w krajobraz i rozdarli jego ciszę. Nic dziwnego więc, że ptak się niepokoi.

I rzeczywiście, gdy gasimy ognisko i chowamy się do snu w namiocie, milknie. Uważa widocznie sprawę za załatwioną; pewno nawet odleciał. Ani tej nocy, ani później już go nie usłyszymy.

Gdy zasypiam, wydaje mi się rzeczą niezwykle śmieszną, że nieznany ptak cały wieczór panował nad dwoma ludźmi. Dwóch dorosłych, zdrowych mężczyzn było cały wieczór pod wpływem tajemniczego ptaka.

A może tajemne znaczenie jego upartego pytania „Co to?“ było i dla nas, ludzi, tak ważne, że odbierało nam spokój?

SISCOE-GOLD-MINE

W roku 1891 urodził się Stanisław Szyszka, syn włościanina w Nowej Wsi w powiecie krotoszyńskim województwa poznańskiego.

Jako siedemnastoletni wyrostek wyjeżdża do Kanady. W roku 1914 — ma właśnie 23 lata — towarzyszy jesienią na polowaniu pewnemu Amerykaninowi ze Stanów. Płynie z nim rzeką Hurricane na północ i nocuje na nieznanej wyspie jeziora Kenawisek. Nagle w nocy dręczą go niespokojne sny. Zajechali tu późnym wieczorem, ledwo był czas na rozbicie namiotu; potem ściemniło się. W nocy nagle Szyszka uprzytamnia sobie wygląd wyspy; ma jak gdyby objawienie, zrywa się z posłania, majaczy. Przy świetle księżyca gorączkowo biega dokoła obozu. Skoro świt, budzi Amerykanina i proponuje mu wspólny interes.

— Zostaniemy milionerami! — woła. — Na tej wyspie musi być złoto.

Amerykanin patrzy na Szyszkę jak na kiepskiego wariata, uśmiecha się i powiada spokojnie:

— Well, gadasz głupstwa: źle spałeś!

Szyszka zaklina się, że wie, co mówi, bo pracował w kopalniach złota w Ontario i zna się na złotodajnych skałach. Przerywa mu towarzysz:

— Uspokój się i nie bredź! Przygotuj śniadanie, a potem jedziemy dalej. Ja chcę strzelać łosie.

Szyszka gotuje śniadanie, lecz dalej nie jedzie. Żegna się i wraca do cywilizacji.

W następnym roku, 1915, wczesną wiosną — jeszcze kra rozbija się na rzekach — Szyszka płynie znów na północ. Z nim cała kupa zapalonych wąsali. Jest ich razem jedenastu. Ledwo mieszczą się na trzech łodziach. Sami górnicy z kopalni złota w Timmins w Ontario i sami swoi, sprzysiężone, chwackie wiarusy spod Krotoszyna. Jadą po złote runo, wierzą Szyszce.

W dwa dni po wyjeździe z mieściny Amos lądują na wyspie. Milkną i tylko patrzą.

— Mówcie, do cholery! — powstaje na nich Szyszka. — Jest złoto, no co?

— A no, spróbujma! — mówi Andrzej Bałach i pierwszy uderza kilofem w skałę.

Przez dwa miesiące jedenastu zatraceńców rozbija skałę w pocie czoła. Skała jest twarda i trudno się łupie, lecz zawziętości poszukiwaczy i kilofów nie stępia. Natomiast po dwóch miesiącach rzuca się na śmiałków i zmusza ich do ucieczki niespodziewany, najgroźniejszy wróg: komary. Czarne chmary komarów. Ludzie uciekają z wyspy — wściekli, że im w pracy przeszkodzono, i ponurzy,

że śladów złota nie znaleźli. Jakoś trudno poruszyć koło fortuny. Ale wierzą w złoto.

Wracają do swojej normalnej pracy w Timmins. Rok 1916. Wiosną znowu płyną na wyspę. Rozbijają dalej skałę. W maju znów straszliwa plaga komarów. Wtedy rozlega się chrapliwy krzyk Antoniego Drygasa:

— Złoto, mam złoto!!

Jest złoto, bardzo mało tego, ledwo okiem widoczne, prawie pyłek. Ale złoto. Pracują aż do jesieni, złota więcej nie znajdują, potem jadą do Timmins zarobić na chleb. Odjeżdżając badają jeszcze raz złoża wyspy. Wierzą w złoto z wściekłą zawziętością i mają oczy głęboko zapadłe od wysilonej pracy. Stanisław Szyszka, który jest ich wodzem, pomimo że najmłodszy, mówi przez zaciśnięte zęby:

— Tu jest złoto!!!...

Lecz trudno poruszyć koło fortuny.

Rok 1917. Robią wydatki. Kupują świdry i dynamit. Świdry są ręczne, ale lepsze niż kilof. Od wiosny znów na wyspie kruszą skałę; huk wybuchów straszy łosie okolicznych lasów. W maju wiara ich i upór odnoszą pierwsze zwycięstwo. Docierają wreszcie do żyły złota roztartego na pył i rozprószonego w skale.

— Złota będzie chyba za tysiąc dolarów! — ocenia Wojciech Janiec drżącym ze wzruszenia głosem.

— Za sto tysięcy! — poprawia go Szyszka.

Oznaczają miejsce i szukają dalej. Znajdują. Teraz widzą, że zdobyli bogactwo. Wypada tylko ro-

zemleć kamień i z miału wyciągnąć złoto. Ale to na później. Zachodzi w nich zmiana; cichną, czają się, zaczynają być wobec siebie podejrzliwi. Stali się bogaci.

O szczęściu ich dowiadują się ludzie. Po lesie krążą już jakieś niewyraźne indywidua. Węszą. Szpiegują. Lecz nic im już nie grozi. Wyspa jest ich prawną własnością. Wystarał się w urzędach o prawo eksploatacji Szyszka, wspaniały spryciarz, chwacki łeb, ich głowa.

Opuszczając jesienią wyspę marzą o bogactwie, o własnych zagrodach, o licznym inwentarzu. Wracają do Timmins i przez zimę pracują znów jako robotnicy.

Rok 1918. Baby ich lamentują: muszą dla chłopów wyciągnąć z pończoch wszystkie uciułane centy: do ostatniego. Bractwo kupuje za dwa i pół tysiąca dolarów dwa kotły parowe do świdrów i teraz na serio dobierają się do skały. W krótkim czasie wydobywają na światło dzienne całą żyłę; nad ziemią piętrzy się góra skalistego złomu zawierającego w wysokim procencie złoto.

Przyjeżdża Samuel Milkman i za wyspę ofiaruje naszym dwadzieścia tysięcy dolarów gotówką. Śmieją się z niego i odmawiają.

Wybierają drugą żyłę. Na głębokości 150 stóp żyła nagle rozwidla się i ukazuje trzykrotnie większą niż dotychczas ilość złota. Jest tak głęboka, że do późnej jesieni nie wyczerpują jej zawartości.

Przyjeżdża znów Samuel Milkman i ofiaruje im

850 000 dolarów, 150 000 gotówką, resztę udziałami w kopalni. Odkryte bogactwo przekracza ich siły; ażeby zemleć złom i wypłukać z niego złoto, potrzeba wielkiego kapitału. Oni go nie posiadają. Więc kopalnię sprzedają Milkmanowi. Ale kupiec okazuje się oszustem, nie wypełnia warunków umowy, wycofuje się. Kopalnia wraca do nich.

Nagle nie wiedzą, co z tym bogactwem zrobić.

Ongiś w Kalifornii i później w Klondike złoto leżało ziarnami i bryłami w piasku i każdy biedak pracą własnych rąk mógł uzbierać majątek. We Wschodniej Kanadzie odkrywa się znacznie bogatsze pokłady złota, lecz w twardej skale, którą kruszyć można tylko skomplikowaną maszynerią. Najtańszy młyn kosztuje dziesięć tysięcy dolarów i wymaga drogich zabiegów. Złoto wschodniej Kanady dostępne jest tylko dla wielkiego kapitału.

Praca szła od ręki Polakom, jak długo wykonać ją mogli przemysłem własnym: oskardem i świdrem. Lecz gdy oto machinę ruszyli, gdy dotknęli niespodziewanego bogactwa, rozpędzone koło wyrywa im się z rąk. Zapiera im dech, wyprzedza ich. Z rozpaczą i osłupieniem spoglądają na swe dzieło bezradne Antki i Józki spod Krotoszyna, bogate, a biedne. By nie cierpieć głodu, pracują znów jako robotnicy w obcych kopalniach i liczą na spryt Szyszki.

Mijają lata. Szyszka, łeb tęgi, bystry i nie od parady, przeobraża się w Siscoe, amerykańskiego businessmana. Siscoe to twarda pięść, giętkie sumienie,

bezwzględna szczęka, przenikliwe oko, zimny rachunek i płomienna, chorobliwa ambicja: amerykańska ambicja Rockefellerów i Vanderbildtów. Siscoe przyciąga pieniądz ze Stanów Zjednoczonych i stwarza w roku 1923 towarzystwo akcyjne Siscoe-Gold-Mine z kapitałem 1 miliona dolarów.

Towarzystwo spłaca dziesięciu Polaków dając im po 24 000 dolarów, jedną trzecią gotówką, resztę w papierach. Jedenasty Polak, Siscoe, zostaje dyrektorem kopalni. Kopalnia później odbiera Polakom akcje i już im nic nie zwraca. Narzekają na podstęp, proszą, klną się, wreszcie skarżą. I kopalnię, i Szyszkę. Proces trwa całe lata, zanim go Polacy wygrywają. Kopalnia zwraca im pieniądze, lecz rozpędzone koło odrzuca ich w szary kąt i miliony, które oni pomogli odkryć, płyną już w innym kierunku.

Złota jest nieprzebrana miara. S. A. Siscoe-Gold-Mine w r. 1929 stawia młyn i od tego czasu produkuje złota za 180 000 dolarów miesięcznie. W roku 1937 produkcja roczna doszła do przeszło dwóch i pół miliona dolarów, by później nieco opaść. Lecz na wyspie z nieprawdziwego zdarzenia górnicy odkrywają do dziś dnia coraz to nowe żyły, złote pasy falują wszędzie, nurtują wyspę, krzyżują się, wnikają głęboko pod jezioro, nie widać ich końca. Bogacą się Amerykanie, Anglicy, Niemcy, Francuzi. Nie bogacą się tylko ci, którzy pierwsi ujrzeli to złoto.

A Szyszka? Rośnie, wybija się, tworzy potęgę. Przerasta wnet Siscoe-Gold-Mine, zakłada nowe towarzystwa, zdobywa miliony, traci miliony, znów je

odbija. Rodzi zuchwałe pomysły, ziszcza niezwykłe plany. Nie zna wytchnienia, pędzą nim górnolotne, niebosiężne ambicje. Dokąd? Sam nie wie. Pała żądzą czynu, kocha ruch dla ruchu — Amerykanin Siscoe.

Gdy niemiecki pisarz i podróżnik, Colin Ross, zwiedzał Kanadę, uważał za konieczne poznać sławnego Siscoe. Uzyskał posłuchanie w Amos. W przedpokoju businessmana czekało kilkunastu petentów i odkrywców nowych min złota. Ross znalazł to, czego oczekiwał: wybitną indywidualność; niemiło go tylko dotknęło, że były Poznańczyk nie chciał z nim rozmawiać po niemiecku.

W kwietniu 1935 roku Siscoe ginie tragiczną śmiercią. Leci samolotem w poszukiwaniu nowych terenów złotodajnych. Aparat wskutek uszkodzenia ląduje przymusowo w głuchej puszczy. Zniecierpliwiony Siscoe chce przedrzeć się piechotą do osiedli ludzkich, błądzi po drodze, pada wycieńczony, z zimna zasypia na śmierć. Ostatni sen morzy go niedaleko rzeki Hurricane i wyspy, na której dwadzieścia jeden lat temu niepokoił go w noc księżycową inny, brzemienny, twórczy sen.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Rzeka Oskelanoe, na której jesteśmy, płynie w tym samym okręgu Abitibi, przez który płynie rzeka Hurricane. Na niektórych wyspach skałę przecinają dziwne, pasiaste warstwy, rzekłbyś: żyły. Na tych właśnie żyłach rozbijamy obozy i nocujemy. Nocami jednak nie dręczą nas żadne niespokojne marzenia. Śnimy o łosiach.

23

LUDNA WIEŚ W BEZLUDNEJ PUSZCZY

Już od czterech dni płyniemy na północ. Ostatni raz widzieliśmy ludzi na stacji Oskelanoe. Po drodze nie było ich wcale i prawie zapominamy, jak wyglądają. Jakże łatwo odwyknąć od człowieka.

Wiemy za to, jak wygląda łuna pożaru leśnego i jak wyją wilki nocą. Wiemy też, że chciał nas po drodze oblać złośliwy śmierdziel i że mu się to nie udało, i że chciał nas wystraszyć tajemniczy ptak, lecz i jemu się nie udało. Zapachniały nam kanadyjskie lasy. Zasmakował nam sen na skalistej ziemi. Namiot jest szczelny, pogodne są dni. Kochamy nasze wiosła, prujemy wodę czystych jak kryształ jezior, mięśnie z rozkoszy ledwo nie wyskoczą. Opaliło nas słońce, staliśmy się dzikusami, pijemy wielkimi haustami nieskażoną pierwotność lasu. Dobrze nam w tym pijaństwie. Jest to wyprawa naprawdę romantyczna. Aż wstyd nam, że wieziemy ze sobą kupione zapasy żywności i konserwy. Za nami pozostała cywilizacja. Dokoła nas jest nieokiełzana puszcza, a w pośrodku niej jest nas trzech wiernych towarzyszy: Stanisław, pies husky i ja.

Na czwarty dzień rano przypominam Stanisławowi:

— Dziś zobaczymy człowieka!

Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak zobaczymy człowieka na północnym brzegu jeziora Objijuan. Na mapie jest tam wyrysowana mała kropka z napisem H. B. C. Post. To znaczy posterunek słynnej Hudson's Bay Company. A ponieważ jesteśmy podnieceni i wolno nam snuć niezwykłe fantazje, więc wyobrażam sobie, że agent tejże kompanii będzie mężem barczystym, o ponurej, brodatej twarzy, a sercu gołębim. Jak w kanadyjskich powieściach. Przywita nas niby zesłanych z nieba i ucieszy się, że po wielu tygodniach samotności ujrzał oto białych ludzi.

A może samotny starzec będzie miał córkę przy boku, jak to pokazują na filmach? Czarowną, dziką dziewczynę w bryczesach, wychowaną w puszczy i marzącą o wielkiej przygodzie? Wszystko jest możliwe. Warto się ogolić.

Na stacji Oskelanoe informowano nas, że w pobliżu Obijuan koczują Indianie-myśliwi i że są liczne łosie. Zobaczymy. Dotychczas łosi nie było. Widzieliśmy tylko stare tropy.

Około południa wpływamy na jezioro Obijuan — i naraz, przerażeni, osłupiali, przestajemy wiosłować. Na północnym brzegu jeziora, w odległości pięciu mniej więcej kilometrów, zamiast jednej samotnej chaty agenta spostrzegamy całą, prawdziwą wieś. Kilkadziesiąt domów stoi wzdłuż brzegu i w głębi lądu, porządnych, drewnianych domów z oknami

i drzwiami. Wśród nich wyniosły, biały kościół. A zatem to wielka wieś. Zatyka nas. Skądże tu, po tylodniowym zupełnym bezludziu, bierze się nagle takie ludzkie mrowie? Przez cztery dni patrzyliśmy ustawicznie na zieleń i słońce waliło nam na głowy. Może to ułuda zmysłów?

Spoglądam przez lornetkę, widzę wieś, w niej ludzi dorosłych i dzieci, a wciąż nie chce mi się wierzyć. Ale wierzyć trzeba; to wieś. Mapy nas ocyganiły. Życie realne pomieszało się tu ze sceną jakiejś fantastycznej operetki i spłatało doskonałego figla. Stworzyło niby zamek na lodzie: w bezludnej puszczy ludną, wielką wieś.

Po czterech dniach jazdy, pijani ozonem, rozkochani w samotności, rozpędzeni ku północy, napotykamy niespodziewanie cywilizację. I żeby wstrząs był tym silniejszy, operetka nie kończy się na tej jednej scenie. Dziwów dnia tego jest więcej.

— Tef, tef, tef, tef! — nagły warkot przerywa ciszę na jeziorze. Motorówka. A raczej kanu z przyczepionym motorem. Wypływa z jakiejś zatoki i kieruje się ku wsi. Przy motorze siedzi kto? Hej, Stanisławie, kto tam siedzi? Indianin! Czerwony sportsmen trzyma z godnością ster i mijając nas w tempie dwudziestu kilometrów na godzinę (my płyniemy cztery km), kiwa na nas protekcjonalnie, a uprzejmie ręką. Wołam do niego, czyja to motorówka?

— Moja własna! — odpowiada na migi.

Okazuje się, że nie umie wcale po angielsku, po francusku tylko kilka słów. Zresztą, trudno o poro-

zumienie: Indianin szybko nas wyprzedza i nie myśli swego rozmachu tamować.

Niedaleko wsi mija nas druga motorówka. Znów ją prowadzi jakiś Indianin. To tu zapewne taki zwyczaj: Indianie jeżdżą motorówkami, biali wiosłują. Zwykłe kanu dobre widocznie tylko dla nas, zacofanych Europejczyków.

Lądujemy. Otacza nas hurmem gromada dzieci i przygląda nam się z życzliwą ciekawością. Same Indianiątka. Nie okazują żadnego lęku. Między sobą szczebiocą w swoim narzeczu, a nam okruchami francuszczyzny tłumaczą, gdzie jest agent kompanii. W zielonym, wielkim domu. Zaprowadzą nas. Zaczyna nam świtać w głowie: Obijuan to indiańska wieś.

Od brzegu jeziora do domu agenta prowadzi wykwit cywilizacji: drewniany pomost z precyzyjnych zbudowany desek, prosty jak sznur, gładki jak stół. Wchodzimy nań jak na świętość. Przez cztery dni krzywiliśmy sobie nogi po głazach, kłodach i korzeniach. Teraz, stąpając po deptaku, czujemy się jak w niebie.

Jedynie pies husky, mój przyjaciel, nie dowierza rozkoszom cywilizacji: idzie obok pomostu, po matce ziemi, poprzez burzany i kamienie.

Przechodząc koło pierwszego domu staję jak wryty. W domu jakaś świetna orkiestra gra Griega. Wyrafinowana melodia o wielkiej radości życia uderza we mnie, włóczęgę leśnego, jak obuchem. W uszach moich pełno jeszcze nieartykułowanych

głosów wody, lasu i wiatru, a tu nagle Grieg z całym przepychem.

— Radio! — wyjaśniają ochoczo, a rzeczowo dzieci na widok mego zdumienia i spokojnie prowadzą dalej. Tutaj jest dom mieszkalny agenta, a jego store (skład) jest trochę dalej. Idziemy do store.

— Halo, gdzie Mr Frankland? — pytam kilku próżnujących mężczyzn w składzie.

Są to sami Indianie, a między nimi tylko jeden biały, bardzo młody człowiek. To on, Mr Frankland, agent Hudson's Bay Company.

Zawiódł wszelkie „powieściowe" nadzieje. Nie ma brody ani ponurego wejrzenia. Ubrany po miejsku, jest gładko ogolony, ma jasne spojrzenie, jest strasznie miły i dobrze wychowany. Wcale nie leśny człowiek. Dwudziestotrzyletni Kanadyjczyk. Typ, jakich jest milion w Ameryce i w Anglii, lecz którego nie ma w powieściach kanadyjskich.

Czyta moje listy polecające, bardzo się cieszy, zaprasza do siebie, ugości nas. Wszystko będzie all right. Jutro da nam przewodnika i wyśle na łosie. Oczywiście motorówką. Teraz chodźmy do domu na przekąskę.

Wtem wchodzi do składu dama. Jedyna w Obijuan przedstawicielka białej rasy, Francuzka, nauczycielka indiańskiej szkoły. Żegnaj, uroczy śnie filmowy o dzikiej a młodej dziewczynie: nauczycielka ma lat 45. Jest w pretensjach, zasypuje nas serdecznością, pomaga jej w tym Frankland, ogromnie się

wstydzę: wśród wszystkich obecnych obijuańskich obywateli, nie wyłączając Indian, my dwaj przybysze jesteśmy najgorzej ubrani. Obdartusy wśród elegantów. Spodnie moje, rozdarte na oścież w przykrym miejscu, wyglądają nikczemnie.

Szczęściem, uwagę naszą zwraca na siebie silny warkot na dworze. To hydroplan woduje przed Obijuan. Lotnik przez tubę woła do Franklanda:

— Halo, Jack, jest coś nowego?

— Nic — odpowiada nasz gospodarz. — Tylko jakiś myśliwy przyjechał z Polski...

Lotnik na to macha ręką (nie wiem, dlaczego) i, nie zatrzymując motoru, daje gazu. Aparat podrywa się w powietrze. Szybuje na północ. Stalowy gołąb pocztowy, przewodnik cywilizacji, zawozi pewnie dla Indian motory przyczepne do kanu.

— Co dzień przelatuje! — powiada agent i zaprasza do swego domu.

Kolację spożywamy tego dnia w nastroju czarów. Wszystko wydaje się niezwykłe. Fotele, w których siedzimy, ilustrowane magazyny, które przeglądamy, tapety na ścianach. Na ścianie wisi też i patrzy na nas portret króla Jerzego.

Frankland jest to młodzian serdeczny. Opowiada pięknie o Londynie, który zwiedził. Ja opowiadam o Amazonce. Przygrywa nam przez radio muzyka z Montrealu. Sto przeszło książek w bibliotece Franklanda nęci jak widmo z innego świata. Siedzimy przy autentycznym stole.

Dobywam z walizy butelkę wyborowej, przywie-

zioną z Polski, i od pierwszego kieliszka upijamy się. Mętnieje nam wzrok. Na dworze zerwał się wicher. Fale jeziora biją z hukiem o brzeg. Jutro nie wyruszymy, oświadcza Frankland.

Nastawia radio: w Nowym Jorku jakiś Murzyn wali w boksie przeciwnika. Wielotysięczny tłum bije brawa i ryczy.

Frankland wskazuje na aparat radiowy i woła śmiejąc się:

— Postęp zabił romantykę puszczy.

Krztuszę się od wódki. Protestuję. Postęp nie zabił romantyki. Właśnie dziś jest jej więcej niż kiedykolwiek. Romantyka żyje.

Wciąż jeszcze tłum w Nowym Jorku ryczy i bije żywiołowe brawa. Równocześnie jezioro Obijuan huczy, żywioł bije o brzeg.

Frankland się myli: romantyka żyje.

24

Hudson's Bay Company.

INCORPORATED 2ND MAY 1670

Historycy po dziś dzień kłócą się na temat, czy Francuzi Groseilliers i Radisson byli zdrajcami ojczyzny, czy nie. Byli to zuchwali wędrowcy leśni i handlarze skórek, przebiegający lasy kanadyjskie w drugiej połowie XVII wieku. Nieustraszeni, pełni fantazji, poszli w północną puszczę dalej niż inni i dotarli do Zatoki Hudsońskiej od strony lądu, równocześnie zaś stwierdzili rzecz niezmiernej wagi: że lasy dokoła zatoki obfitowały w fantastyczne bogactwo bobrów. Gdy z tą wieścią i z wielkimi zapasami skórek wrócili do swoich, do Montrealu, nie oceniono, niestety, ważności ich odkrycia, na domiar w złośliwy sposób nałożono niesłychane cło na skórki, pozbawiając ich połowy zdobytego majątku. Pojechali ze skargą do Francji, lecz słuszności im nie przyznano. Wtedy, rozżaleni, zwrócili się do Anglików, którzy w mig zwąchali piękną gratkę.

Tak to, zapoczątkowane przez dwóch Francuzów, powstało w roku 1670 angielskie towarzystwo dla

eksploatacji skórek w lasach dokoła Zatoki Hudsońskiej, towarzystwo prywatno-handlowe, które w krótkim czasię rozrosło się do niesłychanej potęgi; wystarczy powiedzieć, że — wyposażone w wyjątkowe przywileje, nadane przez królów angielskich — było przez długie dziesiątki lat wyłącznym właścicielem czterech piątych całego obszaru Kanady i absolutnym panem o prawach suwerennych. „Hudson's Bay Company" brzmi jego skrócona nazwa. Siedzibę miało zawsze w Londynie. Zdobywało dla Anglii Kanadę. 275-letni jubileusz założenia obchodziło niedawno. Istnieje do dziś, zasobne, żywotne, chociaż już bez przywilejów.

Zaraz w pierwszych latach swego powstania wzbogaciło się na skutek przypadkowej, dziwnej koniunktury. Złe widocznie wiatry owiewały wówczas Anglię, bo ludziska tamtejsi chorowali na reumatyzmy i jakieś zawroty głowy, i stąd w modę weszło noszenie futrzanych czapek. Gdy nastały bobry, przekonano się, że koją bóle skuteczniej niż inne futra. Bobry zatem stały się pociechą wszystkich łysali i reumatyków, a z biegiem czasu, prócz głowy, poczęły przyozdabiać i inne części ciała. Stały się modne także i wśród kobiet. Wtedy to rocznie przeszło pół miliona skórek przywożono do Europy.

Czynność kompanii polegała na handlu wymiennym z kanadyjskimi Indianami. Myśliwym płacono za skórki futerkowe towarem, strzelbami, prochem, kocami, narzędziami. Jednostkę monetarną stanowiła skóra bobra. Tak na przykład za strzelbę pi-

stonówkę musiał Indianin płacić tyle bobrowych skórek, ile dało się ich złożyć, jedną na drugiej, na stosie wysokim na długość tejże strzelby. Był to piękny dla kompanii interes, tym bardziej że Anglicy, spryciarze wielcy, zaczęli wyrabiać rusznice o specjalnie długich lufach.

Pierwsze składnice utworzono oczywiście nad brzegiem Zatoki Hudsońskiej, do której latem, po stajaniu lodów, mogły wpływać okręty z Anglii. W miarę rozrastania się kompania zapuszczała swe macki w głąb puszczy, pod nurt wielkich rzek wpadających do zatoki; a szczególnie nęcił ją ogromny, tajemniczy, nie zbadany dotychczas kompleks lasów na zachodzie, przebogaty spichlerz skórek, myśliwskie eldorado. Tam na zachód posyłała więc swych najlepszych agentów, ludzi o twardej woli i bogatym doświadczeniu, nieugiętych pionierów i odkrywców, nieraz bohaterów.

Agenci budowali dla swych towarów silne blokhauzy, istne warownie, które też nazywano fortami. Posterunki te, obsadzone przeważnie przez jednego tylko człowieka, oddalone od siebie o kilkaset kilometrów, zdane wyłącznie na siebie, musiały czoło stawiać licznym przypadłościom. Były to bastiony przygód, wyrzeczenia się, samozaparcia, niebezpieczeństwa czyhającego ustawicznie. Trzymając okolicznych Indian w ryzach i w przyjaźni, agenci uśmierzali bratobójcze walki plemion między sobą i zaprowadzali pokój w lasach. Odtąd czerwony człowiek mógł tylko polować na bobry, a nie wojować.

Francuzi w Quebecu spostrzegli wcześnie groźną konkurencję, rodzącą się na północy lasów, i zaczaili się wypatrując okazji jej zniszczenia. Czekali niedługo, jako że w owe czasy w Europie Francuzi z Anglikami nierzadko brali się za łby. W niespełna czternaście lat po założeniu kompanii zjawiła się flota francuska u wybrzeży Zatoki Hudsońskiej, zdobyła wszystkie forty, Anglików przepędziła, składnice zaś zrównała z ziemią. Ale tymczasem w Europie Francuzi wojnę przegrali i w pokoju, zawartym w Utrechcie, uznać musieli wszystkie prawa kompanii do Zatoki Hudsońskiej.

Od tego czasu życie kompanii weszło na drogę bujnego rozkwitu. Dopiero pod koniec XVIII wieku skłębiły się nowe chmury, kiedy to mieszkańcy Montrealu, wówczas już pod panowaniem angielskim, założyli konkurencyjne towarzystwo, North West Company. Służyli w nim najdzielniejsi francuscy trapezy i wędrowcy leśni, nic więc dziwnego, że nowa kompania z tęgim rozmachem wdarła się w lasy. Wysłannicy jej jako pierwsi dotarli do Pacyfiku, a Mackenzie dopłynął do ujścia wielkiej rzeki, nazwanej później jego imieniem. North West Company zaczęła odbierać wpływy i skórki rywalce znad Zatoki Hudsońskiej. W lasach kanadyjskich zapłonęła nienawiść; rozległy się skrytobójcze strzały, rozsrożyła się istna wojna domowa.

W owe czasy lord Selkirk, jeden z głównych właścicieli Hudson's Bay Company, postanowił skolonizować dopiero co odkryte urodzajne prerie na za-

chodzie i w roku 1812 posłał pierwszą partię emigrantów szkockich nad Red River, w okolicę dzisiejszego miasta Winnipeg. Lecz ciężkie warunki życia, zima i głód wygubiły ludzi; rozproszyły również drugą partię, trzecią, i dopiero czwarta fala upartych Szkotów jako tako się zadomowiła. Wtedy nadeszli zwolennicy North West Company i, niewiele marudząc, urządzili krwawą rzeź wśród nieszczęsnych osadników.

(I pomyśleć: wszystkie te zabójstwa, napady, wojny, spazmy nienawiści dzieją się o co? O skórkę biednego bobra).

Po wybiciu osadników opinia publiczna zawrzała. Pod naciskiem rządu londyńskiego połączyły się obydwie rywalizujące kompanie. Hudson's Bay Company wyszła zwycięską ręką, zachowała kierownictwo i od tego czasu, przez kilkadziesiąt lat, pełniła dosłownie rządy nad całym kontynentem od Zatoki Hudsońskiej do Pacyfiku i Morza Lodowatego.

W roku 1869, po okrzepnięciu władz państwowych w dalekich prowincjach kanadyjskich, kompania straciła swe przywileje i monopol na handel skórkami. Lecz mimo to pozostała nadal potęgą gospodarczą i moralną. Do dziś posiada około 250 placówek, rozsianych na całym leśnym obszarze Kanady, wszędzie tam, gdzie kończy się cywilizacja, a rozpoczyna otchłań puszczy. Wciąż jeszcze dzierży prym w handlu skórkami, opieką otacza Indian, stoi na straży lasów, trzyma palec na ich pulsie i wciąż jeszcze, jak ongiś, roztacza urok niezwykłych zdarzeń,

podnieca wyobraźnię, jest siedliskiem wzruszeń, ostoją przygód, symbolem tężyzny, męstwa i wysiłku.

Frankland, agent Hudson's Bay Company w Obijuan, z dumą pokazuje mi na ściennej mapie Kanady wyrysowane placówki kompanii. Są wszędzie: od wschodniego cyplu Labradoru do ujścia rzeki Mackenzie. Tam to urzęduje właśnie jego przyjaciel i kolega w forcie Macpherson. Na froncie jego składnicy widnieje zupełnie ten sam napis co tutaj, w Obijuan, dokładnie tym samym archaicznym pismem złożony:

Hudson's Bay Company.

INCORPORATED 2ND MAY 1670.

Te same litery i słowa, nie zmienione od dwustu pięćdziesięciu lat, widnieją wszędzie, zarówno w Obijuan jak w Montrealu i w Londynie, na wszystkich listach i kopertach kompanii, na jej paczkach, kartonach, puszkach, kocach. Jest to godło wielkiej tradycji, hasło zaufania, źródło dumy. Frankland kocha kompanię, jak syn matkę.

Dawniej agenci, żyjący w głuchej, wielomiesięcznej samotności, popełniali często szaleństwa, odludzie przyprawiało ich o obłęd. Dziś kompania daje im radio. I daje czasopismo „Beaver" („Bóbr"), najgorliwiej chyba czytane i najzbawienniejsze pi-

smo na świecie. Wydane wytwornie, z okazałą ilością fotografij, redagowane przez samych urzędników kompanii, ciekawe jak dobry magazyn, odtwarza życie na placówkach, przynosi informacje z najdalszych ustroni puszczy. Obłęd samotności już nie istnieje. „Beaver“ to cudowne czasopismo. Radio to wspaniały przyrząd.

Na placówkach kompanii krzyżują się szlaki wszystkich ludzi lasu, tędy wiedzie i przygoda. Na trzeci, ostatni dzień naszego pobytu w Obijuan, rychło rano ktoś z grzmotem dobija się do domu Franklanda i budzi nas. Czterech przybyszów ze Stanów Zjednoczonych: jeden profesor uniwersytetu o czarnej brodzie i trzech dwudziestoletnich studentów. Urządzają wycieczkę wodną. Od dwóch tygodni płyną przez lasy; są czerwoni od słońca, rozhukani od powietrza, pijani puszczą, tak jak my trzy dni temu. Jakieś wspaniałe okazy jankesów, młode bogi, gęby morowe. Śmieją się z dziecięcym wdziękiem; cały dom i nas wszystkich zarażają żywiołową wesołością.

Przynoszą z triumfem swe zapasy żywności, krzyczą hura, profesor pitrasi naleśniki, hura, Frankland gotuje kawę, hip hip hura. Ja otwieram mięsne konserwy. Pyszne to śniadanie, sute w żer, tryskające radością życia i serdecznością. Profesor rzuca się na moją montrealską gazetę sprzed tygodnia, gorączkowo szuka wyników baseballu. Znają Polskę, wiedzą o Sienkiewiczu, o Reymoncie, podkreślają swą głęboką do nas sympatię.

Potem wpisują swe nazwiska i adresy do mego notatnika. Jeden z nich nazywa się Rolfe. Rolfe? Nieobce mi to nazwisko. Rolfe? Amerykanie widzą moje zdumienie i potwierdzają moje domysły: to rzeczywiście Rolfe, potomek owej słynnej królewny indiańskiej, której życie było chyba najbardziej romantyczną powieścią, jaką dola ludzka usnuła. Nazywała się Pokahontas. Szczep jej biali wybili do nogi, lecz potomkowie jej żyją do dziś. Oto jeden z nich: Rolfe. Piękny, atletyczny młodzian o jasnych, roześmianych, łagodnych oczach.

Na placówce Hudson's Bay Company, w głębi lasów kanadyjskich, nie trudno spotkać przygodę.

MIŁOŚĆ BIEDNEJ POKAHONTAS

Nie byłoby potężnego Imperium Brytyjskiego, gdyby Anglicy nie mieli wspaniałych awanturników.

Oto na przełomie XVI i XVII wieku John Smith. Czart, nie człowiek, taki temperament. Zdawałoby się, zatracony ladaco. Chociaż dobrze mu w zamożnym domu, ucieka jako 13-letni smarkacz na morze. Goni po świecie przygody, zwiedza tylko te kraje, gdzie wojna. Cztery lata walczy w Holandii przeciw Hiszpanom. Bije się potem we Francji. Miewa pojedynki o piękne kobiety. Wszędzie zdobywa oddanych przyjaciół i zawziętych wrogów. Jest, widać, diablo przystojny i niewiasty lecą na niego jak muchy na lep. Z Marsylii wypływa na morze, lecz w czasie burzy majtkowie wyrzucają go za burtę, jako że jest heretykiem, a więc sprawcą nawałnicy. Ratuje się cudem. Walczy potem przeciw Turkom, wpada im w ręce i, sprzedany jako niewolnik, zostaje darowany pięknej Tragabizandzie, sułtańskiej nałożnicy. Wybucha miłość. John przeżywa w Carogro-

dzie boskie czasy: je i pije, kocha, a nawet tyje. Sielankę psuje Timur, brat niewiasty. Gacha porywa i chce go zakatrupić. John uwolniwszy się zabija Timura i ucieka na jego własnym koniu na północ, do Kozaków. Ci podkarmiają go, po czym awanturnik przez Polskę, Niemcy, Holandię wraca do Anglii, ażeby krótko potem dokonać wiekopomnego dzieła: zostać wielkim pionierem kolonizacji, „ojcem Wirginii", bohaterem narodu angielskiego.

W roku 1607 z polecenia rządu przepływa przez Atlantyk na czele 105 wychodźców i nad dzisiejszą James River, w stanie Virginia, zakłada pierwszą angielską osadę na ziemi amerykańskiej, Jamestown. Smith okazał się świetnym dowódcą i organizatorem. Natomiast wnet okazało się, że jego ludzie to najgorszy materiał, skończona hołota: darmozjady, łowcy fortuny, marnotrawni synowie szlacheccy, wykolejeńcy. Pracować im się nie chciało. Już po kilku tygodniach do kolonii zajrzał głód.

Smith urządzał w głąb kraju wycieczki wywiadowcze, a przede wszystkim złożył wizytę królowi Pohattanowi, rezydującemu nad górnym biegiem rzeki. Potężny władca południowych Indian Algonkinów przyjął go z wrogą powściągliwością, jednakże w końcu ujęty szlachetną postawą Smitha, nie tylko uznał obecność białych przybyszów nad swoją rzeką, lecz ofiarował im pomoc żywnościową.

Podczas tej wizyty nieszpetną postać Smitha dostrzegły zapewne także inne oczy, gorące i czarne, i w serduszko dwunastoletniej pannicy zapaść mu-

siało niebezpieczne ziarno. Lecz o tym na razie ani Smith, ani nikt inny nie wiedział.

W kolonii działo się coraz gorzej. Ludzie próżnowali marząc o łatwym bogactwie i odkrywaniu złota. Tymczasem skarbów nie było, więc rozgoryczeni i zawiedzeni zaczęli wichrzyć i gryźć się między sobą. Również coraz częściej zdarzały się wypadki drażnienia Indian; wnet Pohattan żałował swej dobrotliwości wobec bezczelnych i niewdzięcznych najeźdźców.

Podczas jednej z wypraw myśliwskich towarzysze Smitha wbrew jego surowym nakazom zaczepili Indian i przebrali tym miarkę cierpliwości. Tubylcy wyrżnęli oddział w pień, Smitha zaś wzięli żywcem i związanego przywiedli do stóp Pohattana. Rada wojenna uchwaliła śmierć jeńca przez ścięcie. Lecz kiedy przystąpiono wśród ceremonii do wykonania wyroku, zaszła rzecz zgoła nieprzewidziana.

Z orszaku królewskiego jak z procy wyprysło dziewczątko, dopadło skazańca i zakryło go własnym ciałem, protestując czynnie a głośno przeciw wyrokowi. Podlotek rezolutnie oświadczył, że życzy sobie jeńca za męża i zażądał w myśl obyczaju jego natychmiastowego zwolnienia. W niemym osłupieniu król Pohattan wyłupił gały na swą dwunastoletnią córkę Pokahontas. Rada wojenna długo zgrzytała zębami. Lecz trudno było przeciwstawić się odważnej dziewczynie. Taki był obyczaj. Przecięto tedy więzy Smithowi, który, najbardziej może ze wszystkich przerażony i ogłupiały, na własnej skórze doświad-

czył, że i na nowej ziemi nie opuściło go dawne szczęście u niewiast.

Tak więc zmieniło się jego położenie i Smith jako narzeczony królewny przebywał dłuższy czas na dworze Pohattana, otoczony ogólnym szacunkiem i przychylnością Indian. Niestarty pożeracz serc, który spokojnie mógł być ojcem swej narzeczonej, zasmakował w nowej roli i z całego serca polubił dziewczynę. Bo też Pokahontas okazała się niezwykłą istotą. Pomimo młodego wieku była rozgarnięta, wielkoduszna i pełna charakteru, przy tym powabna i urodziwa, wdziękiem i godnością wybijała się ponad swe otoczenie: prawdziwa córa królewska.

Gdy po kilku tygodniach Smith wrócił do Jamestown, włosy stanęły mu dęba na widok tego, co zastał. Choroby, brak żywności, niezaradność i zabójstwa — znamienne klęski wielu, nie tylko angielskich poczynań pionierskich — zmniejszyły ilość osadników ze 105 na 38 niedobitków, zdziczałych szkieletów, złych i rozprzężonych. Z trudem Smith zaprowadził ład.

Krótko potem przypłynęła z Anglii nowa partia wychodźców; niestety, przysłano znów takie same szumowiny i rozbitki życiowe. Smith miał z nimi krzyż i mękę. Gdy był na miejscu, jako tako nad bandą panował; jednak gdy wypadało mu w celach odkrywczych zwiedzać dalekie ustronia, wtedy natychmiast instynkty zbrodnicze i próżniactwo brały w osadzie górę. Niesławnie układały się początki kolonizacji wirginijskiej.

Z Indianami wybuchały często zatargi. Winę ponosili przeważnie biali. Dawno by czerwoni wojownicy wytępili gniazdo wrogiego niepokoju, gdyby nie Pokahontas. Jak anioł-stróż czuwała nad osadą białych, jak wilczyca walczyła o ich życie, łagodziła gorycz braci, kilkakrotnie udaremniała napad na Jamestown. Kochała i, wierna swej miłości, zdradzała sprawę swego narodu. Było to tragiczne bohaterstwo piętnastoletniej dziewczyny: życia dwustu rozwydrzonych Anglików broniła miłość małej Indianki.

Nadszedł nowy okręt z Anglii i nareszcie przywiózł trochę spokojnego ludu, nastawionego na uczciwą pracę. Lecz wtedy właśnie spadł na kolonię dotkliwy cios. John Smith uległ wypadkowi eksplozji prochu i ażeby ratować zagrożone życie, musiał czym prędzej wracać do Anglii. Odjeżdżając przyrzekł zrozpaczonej dziewczynie natychmiastowy powrót po odzyskaniu zdrowia.

Teraz dopiero wszyscy przekonali się, jak zbawienne były rządy Smitha. Po jego wyjeździe piekło zapanowało w kolonii. Wrócił znowu głód, zaczął szerzyć się zamęt, nastały rozboje, nikt nie pracował, dochodziło nawet do ludożerstwa. Z Indianami stosunki naprężały się, trwał okres ni to wojny, ni to pokoju. Skołatana Pokahontas nie wiedziała, co począć ze sobą. Wśród swoich utraciła wpływy i życzliwość, skazana prawie na wygnanie; do białych nie śmiała się zbliżyć, gdyż byli niby dzikie bestie.

Wśród Anglików znajdował się niejaki Argall,

kapitan kaperskiego statku pod flagą Anglii, człowiek bez sumienia, handlarz niewolnikami, właściwie pirat i bandyta. Gdy Argall dowiedział się przypadkiem o obecności Pokahontas w pobliżu obozu osadników białych, powziął nikczemny zamiar. Napadł ze swoją zgrają na królewnę, wziął ją do niewoli i jako jeńca z triumfem przywlókł do Jamestown. Następnie od jej ojca Pohattana zażądał wysokiego okupu. Trudno wyobrazić sobie, co wówczas dziać się musiało w umyśle dziewczyny. Poniżali ją i więzili ludzie, których przedtem tyle razy chroniła od pewnej zagłady. Była to straszliwa nagroda za jej wspaniałomyślność.

Gdy Pohattan, oburzony bandyckim postępowaniem, zbył żądanie Argalla pogardliwym milczeniem, mieszkańcy Jamestown postanowili się zemścić i rozważali, czy dziewczyny nie sprzedać na wyspę Jamajkę jako niewolnicę do ciężkich robót. Nie doszło do tego. Pewien wpływowy młody szlachcic nazwiskiem John Rolfe, zakochany po uszy w uroczej dziewczynie, oświadczył się o jej rękę i został przyjęty. Nieszczęsna Pokahontas nie miała innego wyjścia. Zresztą od ludzi życzliwych dowiedziała się, że John Smith, niestały kochanek, opuścił ją i w ogóle nie miał zamiaru wracać do Jamestown. Życie zaczęło ją smagać.

U boku troskliwego męża zabłysnął jej promyk szczęścia. Ochrzczona i kształcona, nabrała łatwo ogłady ludzi białych i niebawem wyjechała z Rolfe'em do Anglii. Tu spotkały ją zaszczyty; przed-

stawiona i przyjęta z honorami na dworze królewskim, stała się ulubienicą najwyższego towarzystwa. Tutaj też wydała na świat synka, Tomasza Rolfe'a. I tu, na dworskich komnatach, przeżyła bolesną chwilę. Zupełnie przypadkiem oko w oko spotkała się ze swym niewiernym kochankiem, wspaniałym Smithem. Przeszyta bólem odwróciła się i milcząc odeszła. Lecz stary wyga, który we wszystkich biedach dawał sobie radę, i teraz znalazł wyjście. Przekonał ją, że równie dobrze może być teraz ojcowskim przyjacielem, jak ongiś był kochankiem. Cóż miała robić: pogodziła się z przeznaczeniem.

W ojczyźnie jej, nad rzeką Pohattana, szumiały głębokie lasy i rozciągało się nad nimi jasne, błękitne niebo. Nad Tamizą nie było lasów, panowały gęste mgły. Nad Tamizą mgły wdzierały się do płuc, serce rwało się ku ojczystym lasom. Pokahontas, mimo że była otoczona w Anglii miłością, szacunkiem i wygodami, żyła niedługo. Umarła w dwudziestym pierwszym roku życia. Uległa i tęsknocie, i gruźlicy.

Krew jej jednak nie wyginęła. Tomasz Rolfe, jej syn, stał się protoplastą wielu rodzin żyjących do dziś dnia w Ameryce i dumnych ze swego pochodzenia. Gdy jednego z jego potomków, słuchacza uniwersytetu, poznałem w puszczy kanadyjskiej, ucieszyłem się niezmiernie. Był to piękny młodzian o łagodnych oczach, otwartej twarzy i dziwnie ujmującym obejściu.

Takim właśnie wyobrażałem sobie potomka nadobnej a nieszczęsnej królewny indiańskiej.

26

INDIANIE CREE

W Obijuan mieszka 60 rodzin Indian Cree. Jest to odłam szczepu potężnego, żyjącego w rozproszeniu na wielkiej przestrzeni w lasach dokoła Zatoki Hudsońskiej. Ludzie kształtni, postawni, dorodni, a przy tym cisi, pogodni, uczciwi. Nie śniły im się nigdy rozboje wojenne, jak Irokezom lub Siuksom; woleli być myśliwymi. Lubię Indian Cree. Ich świat jest moim światem. Ich żywiołem jest las.

W Obijuan biali wybudowali im szkółkę. Nauczycielka, Francuzka, udziela dzieciom nauki o życiu i o dzielności białych i opiewa piękno ich miast. Lecz po ukończeniu szkoły dzieci Cree nie chcą bliżej poznać świata białych. Żadne jeszcze nie wywędrowało do miasta Quebec. W las idzie cała nauka, na północ ucieka cała młodzież. Tam ją ciągnie natura i głos krwi, na tropy wilków, łosi, niedźwiedzi i bobrów.

W Obijuan biali wybudowali także kościółek. Schludny, sympatyczny, jasny. Indianie Cree łatwo przyjęli chrześcijaństwo, gdyż nieobca im była re-

ligia o jednym Bogu i miłości bliźniego: wszakże już przedtem uznawali wielkiego ducha Manitu i kochali ludzi, las i zwierzęta.

Dwa lub trzy razy w roku przyjeżdża do Obijuan misjonarz władający językiem Cree i odbywa nabożeństwa, prawi kazania. Trochę ubogą wydaje się Indianom nowa wiara, twierdząca chełpliwie, że tylko człowiek posiada duszę. Jak to, a niedźwiedź, bóbr, a drzewa duszy nie mają? Rodzą się, żyją, czują, a duszy nie mają? Mimo wątpliwości Indianie gorliwie uczęszczają na nabożeństwa, gdyż lubią misjonarza, a misjonarz, mądry pasterz, umiał pozyskać sobie ich przychylność: proteguje ich u rządu.

Nikt lepiej niż Indianin Cree nie zna puszczy i jej wymowy. Żaden biały człowiek nigdy mu w tym nie dorównał, z wyjątkiem chyba jednego, francuskiego trapera, Jean Martin. Ale Jean Martin żył 150 lat temu i przeszedł już do legendy. Natomiast legendą nie jest dzisiejsza umiejętność Indianina Cree: przepowie pogodę z wyglądu liścia na drzewie, wyczuje głos ptaka, określi dzieje złamanego źdźbła trawy, odsłoni każdą tajemnicę tropu. Mądry bóbr jest jego bratem, tylko przybrał inną postać; silny niedźwiedź jest jego kuzynem, cierpliwe drzewo jego przyjacielem. Rozmawia z nimi, ubolewa, gdy musi je zabić. Nie czuje się lepszy niż one. Na równi z nimi jest mieszkańcem puszczy i dlatego, jak puszcza, jest czujny, uczciwy, wspaniałomyślny i pełen godności.

Zdolności jego wyzyskali biali ludzie. Indianin

służy im za przewodnika w kniei, gdy szukają w ziemi ukrytych minerałów. Indianin, znakomity myśliwy, łowi dla nich zwierzęta; przeważna część kanadyjskich skórek futerkowych pochodzi z indiańskich łowów. Dlatego Indianin jest potrzebny. Dlatego otacza go się życzliwą opieką, buduje mu szkółki, przysyła misjonarza i stawia piękne domki w Obijuan. W tych domkach są maszyny do szycia i tarki do prania. Lecz obok domostw Indianin rozbija swój namiot z płótna. Za dnia przebywa w domkach, zwyczajem białych ludzi. Nocą śpi w namiocie na ziemi, zwyczajem ojców.

Na początku jesieni wszyscy Indianie z kobietami i dziećmi opuszczają Obijuan i rozpraszają się w lasach aż po jezioro Mistassini i Zatokę Św. Jakuba. Jest to pora wielkich łowów i nastawiania sideł na zwierzęta futerkowe. Myśliwi płyną dziesiątkami mil na motorówkach, wracają zaś pod koniec zimy saniami, zaprzężonymi w psy huskies. Każda rodzina zdobywa przeciętnie za 500 do 600 dolarów skórek, które sprzedaje w Obijuan Franklandowi, agentowi Hudson's Bay Company. Otrzymuje za to towar, benzynę, mąkę, ubrania, pułapki. Innego zarobku Indianie nie mają, utrzymują się zatem wyłącznie z myślistwa i trochę z rybołówstwa. Łowiectwo dostarcza im również pożywienia na codzień: przez cały rok bez ograniczenia wolno im polować na łosie. Obijuan spożywa rocznie około 150 łosi, za to nie ma ani jednej piędzi uprawnej ziemi.

Sto lat temu, i później, biali ludzie przywozili do

puszczy alkohol i rozpijając Indian Cree, w zamian wyłudzali od nich skórki. Dziecięce umysły leśnego ludu nie znały umiaru. Trucizna pustoszyła szczep, niszcząc i zabijając ludzi. Lecz znalazły się w końcu wśród białych jednostki uczciwe i położyły kres zbrodniczym praktykom. Odtąd nie wolno sprzedawać Indianom alkoholu pod ciężką karą.

Drugą straszliwą chorobę przywieźli im biali tuż przed wojną światową. W r. 1911 ukończono wielkie dzieło cywilizacji, budowę północnej kolei żelaznej z Quebecu (poprzez stację Oskelanoe) na zachód do Winnipegu, lecz równocześnie biali robotnicy przy kolei zaszczepili w lasach nie znane dotychczas choroby, te same, na które chorują nasi Huculi. Plemiona zaczęły karleć i ginąć. Dopiero po latach opanowano klęskę. Czerwony człowiek wyszedł z niej porażony i poniżony.

A dziś? Kolej przyszła na trzecią chorobę, na gruźlicę. Tragiczna jest cywilizacja białej rasy. Dotyk jej, nieszczęsny dla ras pierwotnych, jest jak dotknięcie tubasznym palcem motylich skrzydeł: zdziera barwę i niszczy. Niszczy nawet wtedy, gdy biały człowiek okazuje przyjaźń i pragnie zachować przy życiu.

Biały człowiek otacza życzliwością Indian Cree. Chce ich dobra. Więc daje im swą broń do walki o byt. Motor przyczepia do ich kanu, ciało ich pokrywa ubraniem z wełny, karmi ich swoim pożywieniem, mąką, cukrem, chlebem. Wynikiem tych darów cywilizacji jest — gruźlica. Bo Indianin jest człowiekiem lasu. A człowiek lasu powinien wiosło-

wać; przy motorze mroźny wiatr zaziębi mu płuca. Człowiek lasu chodził zawsze w ubraniu ze skóry łosiowej, chroniącej go od deszczu lepiej niż wełna; nigdy nie znał wełny. Człowiek lasu zawsze jadł pokarm leśny: mięso zwierzyny, i obcy był mu pokarm pól: chleb i mąka.

Obijuan wciągnięto w kolisko światowej gospodarki. To znaczy, że cywilizacja potrzebuje skórek futerkowych. Posyła po nie do lasu prostych Indian Cree i płaci im towarem wyrafinowanym: motorami, benzyną, wełną. Motory i ubrania z wełny gubią Indian, siejąc gruźlicę. Cywilizacja wie o tym, lecz jest pozornie bezradna: w Manchester nie fabrykują przecież ubrań ze skóry łosiowej! A więc w Obijuan Indianie ubierają się w wełnę, chorują na płuca i plują krwią.

Dotyk cywilizacji gorszy jest niż dotyk rubasznych palców. Jest jak ząb żmii. Chleb, którego dostarcza cywilizacja, działa czasem jak trucizna.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jednym z najpoważniejszych Indian Cree, żyjących w Obijuan, jest John Iserhoff, rześki starzec sześćdziesięcioletni, o pięknie rzeźbionej twarzy i rozumnych oczach. John jest prawą ręką Franklanda, białego agenta Hudson's Bay Company. Uśmiecha się łagodnie i prosto w oczy. Zna wszystkie ostoje łosi. Zna tajemnice lasu. Angażuję go jako przewodnika. Zawiezie mnie nad jezioro Perchaud, gdzie jest podobno raj myśliwych. Jezioro leży daleko stąd, o czterdzieści mil od Obijuan.

Szukam na mapie jeziora Perchaud, lecz nie ma go tam. Jeziora Perchaud w ogóle nie ma, to fantazja Johna Iserhoffa. Wymyślił je, żeby wycyganić ode mnie więcej benzyny do motoru. Benzyna jest droga, a bujać nauczył się od białych ludzi. Włada dość poprawnie językiem angielskim.

Jest to jedyne krętactwo starego Johna. Odtąd John mówi prawdę. Zawozi mnie nad Jezioro Chapmana i pokazuje wspaniałą zwierzynę. Przez wiele długich nocy sypia w swym namiocie tuż obok mojego. Wspólnym pulsem wioseł podpływamy pod zwierzą. John to wymarzony towarzysz w lesie. Zaczyna tajać, gdy przekonuje się, że nie jestem białym człowiekiem takim jak inni; że gotów jestem nawet uwierzyć, iż drzewa mają duszę. Lecz zanim Indianin odtajał zupełnie, trzeba było rozstać się z nim i wracać do swoich.

Przed rozstaniem John zaproponował mi, żebym na zimę pojechał z nim do puszczy na połów zwierząt futerkowych. Otworzyły mi się nagle widoki doznania wielkiej przygody, zbliżenia się do jądra kanadyjskiej poezji. Lecz odmówiłem, gdyż w domu czekały mnie jakieś obowiązki, niby ważne, a zapewne urojone, błahe...

— Prawda! — uśmiechnął się wtedy John z ubolewaniem. — My należymy do lasu i do drzew, a wy, biali, do kamiennych miast.

I John Iserhoff, Indianin ze szczepu Cree, o twarzy pięknie rzeźbionej, długo i przykro zakasłał.

INDIANIĄTKA, ICH PIESKI I MÓJ PIES

W Obijuan żyje niezwykłe plemię, strasznie wesołe, zuchowate, rozbawione, a żywotne: to dzieci Indian Cree. Są pucułowate jak pączki, ruchliwe jak muchy i prawie wszystkie bardzo ładne. Nie dotknęła ich jeszcze gruźlica, choroba rodziców; zdrowie tryska im z tłustych policzków i śmiejących się, czarnych ślepiąt.

Mają swój własny świat. Zamyka się w obrębie wsi, między kościółkiem a składem Hudson's Bay Company, między składem a przystanią nad jeziorem. Tu baraszkują, wyprawiają harce, mają swe kryjówki, drżą ze wzruszenia na widok rybołowa lub ubitej zwierzyny; tu też snują swe dziecięce marzenia, doznają czarów i są szczęśliwe.

Wszystkie bajki indiańskich dzieci rozgrywają się w lesie. W głębokim, tajemniczym lesie. Taki to las rozpoczyna się tuż za ostatnią chałupą Obijuan i ciągnie się, jak okiem sięgnąć, bez końca. W owym lesie, w wyobraźni dzieci, dzieją się dziwy i uroki, chodzą czarodzieje i niezwykłe zwierzęta. W czepku

rodziły się dzieci Indian Cree: nie tylko otacza je ogólna miłość starszych, nie tylko wolno im dokazywać od rana do wieczora, lecz na domiar patrzą cały dzień na las, w którym rosną i żyją ich bajki i spełniają się marzenia.

W ostatnich dniach ogarnęło dzieci niebywałe podniecenie. Wkrótce wyruszą do puszczy, razem ze starszymi, na wielkie, zimowe łowy. Cała wieś czyni już gorączkowe przygotowania: naprawia łodzie, smaruje pułapki, szykuje zapasy. Żywiej biją młode serduszka. Brzdące niepokoją się i na swój sposób przygotowują także wyprawę: uczą się rzucać kamieniami. Za cel służą im zimorodki na brzegu jeziora, a w braku tychże — psy.

Gdziekolwiek pojawi się jakie Indianiątko, tam nieodzownie niby cień postępuje za nim zwierzęcy orszak z kilku składający się piesków. Są to kundle, mniej lub więcej podłego pochodzenia, mieszańce; mało wśród nich prawdziwych huskies. Chuderlaki przeżywają teraz letni okres bezrobocia, wielkiej biedy i głodu. Zimą tylko, gdy pełnią ciężką służbę w sankach, dostają od ludzi żarcie; latem zaś schodzą na psy, dokarmiając się — o nędzo sobacza! — słodkimi jagodami w lesie.

Sercowe to mimo wszystko i wierne stworzenia. Nie opuszczają Indian. Dzieciom ich przede wszystkim okazują przyjaźń bez zastrzeżeń, niewolniczą, na zabój; biorą udział we wszystkich ich zabawach, wałęsają się wszędzie tam, gdzie one, znoszą cierpliwie wszystkie udręki i doznają, zdaje się, tych samych

tęsknot: marzą również o wyprawie do lasu, gdzie będzie w bród wszelakich przygód i mięsa. Takie sympatyczne, czworonożne hultaje.

Pięcioletni, pękatobrzuchy Cree rzuca kamieniem w psa. Całą swą dziecięcą pasję wkłada w tę czynność, jak gdyby dopełniał ważnego obrządku. Pies rozumie wagę chwili. Lecące kamienie przyjmuje spokojnie, jak zrządzenie losu. Oczywiście, doświadczony szelmą nie czeka na ich uderzenie, lecz jak tancmistrz, zgrabnie i lekko, wymija wszystkie najcelniejsze pociski. Cwaniak wita przy tym każdy kamień skowytem radosnym niby głosem uznania. A po chwili obie strony mają dosyć zabawy. Pies liże twarz przyjaciela, dzieciak gorąco obejmuje mu szyję. Potem patrzą razem w stronę lasu.

Nasze zjawienie się w Obijuan stanowi wielkie wydarzenie, zwłaszcza dla dzieci. Wstępnym bojem zdobywam sobie ich przychylność, a zawdzięczam to dwom przyczynom: aparatowi fotograficznemu i psu husky. Dzieci indiańskie znają aparaty fotograficzne, owszem, widziały je już i pani nauczycielka o nich też opowiadała. Ale ja mam aparat Rolleiflex o dwóch obiektywach. Na jego matowej szybce można widzieć cały piękny, barwny świat. Zaglądają tam czarne ślepięta i aż iskrzą się z nagłej radości. Cuda: wszystko, co się dzieje w rzeczywistości, widać na maleńkim obrazku. Oto pies biegnie przez ścieżkę, tam stoi namiot, tu ojciec wbija gwóźdź w kanu. Śliczne czarodziejstwo! Niepohamowany zapał ogarnia młodzież, cały dziecięcy naród wę-

druje do tej magii, a ty, przybyszu, siedź cierpliwie i podtykaj aparat. Zbijają się główki, włażą ci bachory na kolana, zaglądają przez ramię.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pies husky, mój przyjaciel, jest szlachetnym olbrzymem. Szeroka to natura, otwarte serce, gorąca głowa. Cechuje go zupełny zanik psiej obowiązkowości, a za to przerost uczucia i tęsknoty za dalą. Skończony włóczęga. Dlatego niezbyt go lubi Stanisław i właśnie dlatego także husky i ja przywarliśmy gorąco do siebie. Łączy nas więcej niż zwykła przyjaźń między człowiekiem a psem. Wspólnota usposobienia i podobnych zamiłowań. Zaledwie cztery dni temu poznaliśmy się; pies przybiegł z lasu do naszego obozu i już pozostał. Wędruje z nami i ma te same co i my prawa do naszego ogniska, do pokarmu, do namiotu.

I oto pies husky wywołuje w Obijuan furorę. Indianiątka podziwiają go i szaleją za nim. Część tego blasku spada i na mnie, pies toruje mi wyraźnie drogę. Zdobywamy ogólną przyjaźń i szacunek. Matki powierzają nam nawet niemowlęta.

Natomiast pomiędzy wygłodniałymi indiańskimi kundlami mój husky jest jak potężny, dumny król; stara się nie widzieć ich wyszczerzonych kłów, a gdy wchodzą mu w drogę, przewraca po prostu napastników uderzeniem swej szerokiej piersi, nie gryząc ich wcale.

Wśród indiańskiej dziatwy przypomina mi się pewien epizod z życia mojej Baśki. Kilka lat temu —

córeczka wtedy jeszcze żyła i miała 6 lat — po powrocie z mej pierwszej wyprawy brazylijskiej opowiadałem jej o życiu Indian. Szczególnie interesowały ją dzieci. W trakcie rozmowy Basia nagle oświadczyła, że dzieci indiańskie jeżdżą na psach jak na koniach. Starałem się wybić z dziecięcej główki ten niedorzeczny pogląd, lecz Basia, która zazwyczaj nie była ani uparta, ani przemądrzała, tym razem obstawała przy swoim i uporczywie twierdziła, że wie na pewno, iż dzieci indiańskie jeżdżą na pieskach.

To wspomnienie nasuwa mi nagle pomysł. Chwytam pierwszego z brzegu chłopczyka i sadzam go okrakiem na moim husky. Przerażone psisko podskakuje, lecz po chwili domyśla się, że to zabawa, i zgadza się na rolę wierzchowca. Zuchowaty Indianinek, wśród okrzyków triumfu, jeździ dokoła, pyszny jak paw. Rówieśnicy zazdroszczą mu powodzenia i sami próbują. Mój husky uczy się cierpliwości, po cichu znosi ból, obwozi posłusznie jeźdźców. W przeciągu kilku godzin nowa zabawa, niby zaraza, szerzy się po całej wsi i staje się istną manią. Wszystkie bachory dosiadają swoich piesków. Nowe stąd wzruszenia, wiele krzyku, wiele radości.

Lecz najbardziej cieszę się ja: na przekór rzeczywistości moja Basia jednak miała rację. Oto mali Indianie jeżdżą na psach.

Zapał ujeżdżania psów trwa w Obijuan równe dwa dni. Potem stygnie szybko i psia jazda idzie w zapomnienie.

Od tego czasu mego husky lubię jeszcze bardziej.

Należałoby nabyć go na własność. Lecz właściciel jego, rybak znad rzeki Oskelanoe, jest nieuchwytny. Wyjechał gdzieś w lasy i nie wiadomo, kiedy wróci, a bez porozumienia się z nim nie wolno mi zabierać ze sobą psa. Mogłyby wyniknąć z tego przykre konsekwencje, tak oświadcza mi życzliwie Frankland, agent Hudson's Bay Company w Obijuan. Więc, niestety, to on zatrzymuje psa u siebie i w chwili naszego wyjazdu na polowanie ciągnie go za obrożę i dusi stojąc u brzegu jeziora.

Jest to odjazd uroczysty. Na przystani zebrała się kupa Indian, moc dzieci i psów. Nagle, w chwili odbijania łodzi od brzegu, pies husky, bestia silna, wyrywa się z rąk Franklanda, wskakuje do kanu i przywiera do moich nóg. Zamieszanie. Niesposób go wygnać. Głuchy na wszelkie prośby i wołania, płaszczy się na dnie łodzi.

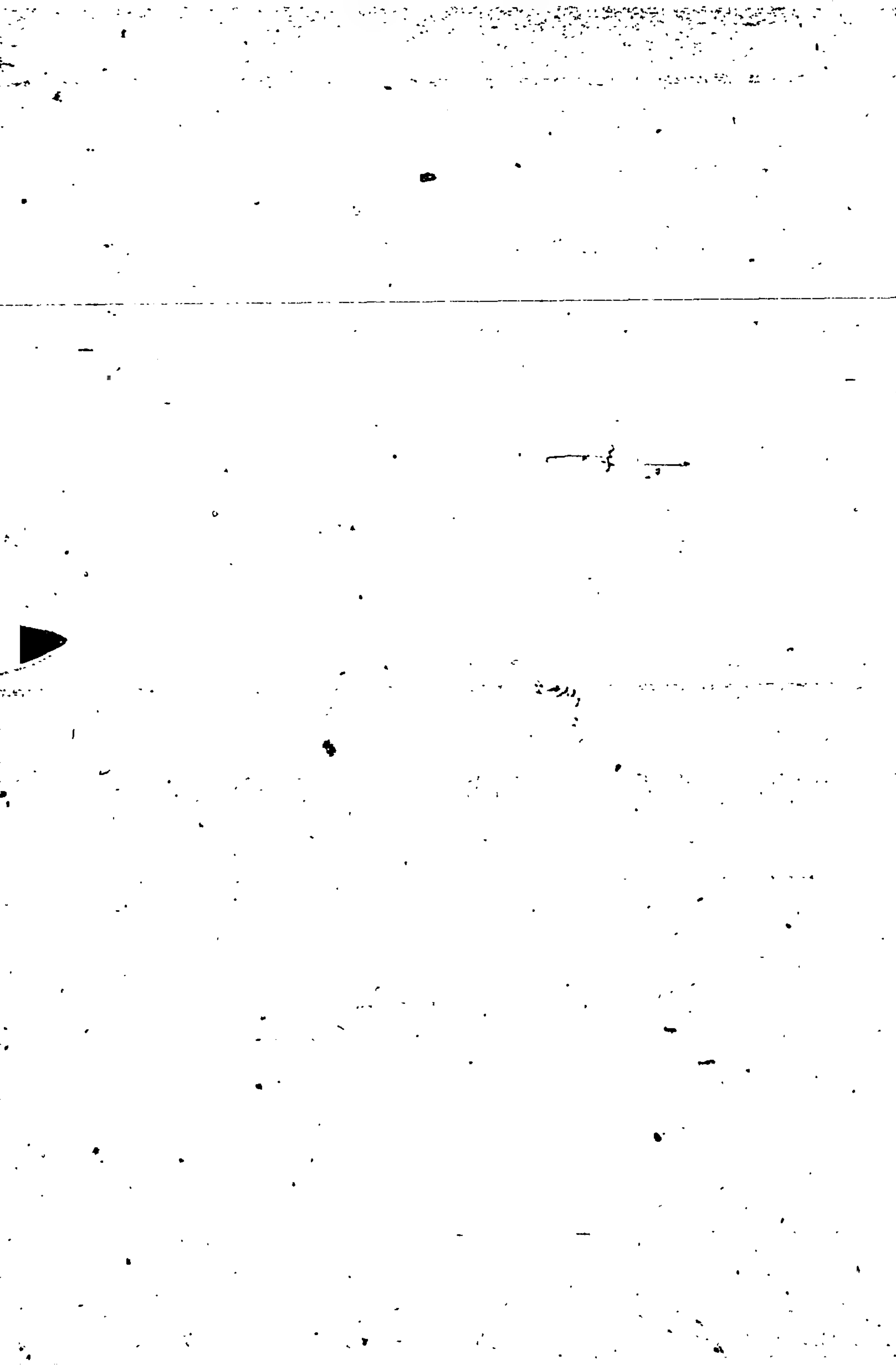
— Ja go nie ruszę! — wołam rozdrażniony przykrym zajściem. Krzyczę głośno. Głośniej niż potrzeba. Jestem wściekły z podniecenia i żalu.

Ale pies musi zostać w Obijuan. Stanisław chwyta go więc ostro za obrożę, za sierść na zadzie i wyrzuca z łodzi do wody. Biedaczysko błaga mnie ostatnim, rozpaczliwym spojrzeniem. Nie może zrozumieć, dlaczego rozdzierają naszą przyjaźń.

Warknął motor, łodzie podrywają się. John Iserhoff, mój indiański przewodnik, dzierży ster. Oddalamy się szybko. Husky dopływa do brzegu i zaczyna wyć. Głośno, urywanie, straszliwie.

Teraz wiem już dokładnie, jak płaczą psy.

CZĘŚĆ TRZECIA



28

TROPY... SAME TROPY

Pełno tropów łosi. Pełno odcisków starych i zatartych, choć nie brak i świeżych, i tak ostrych, jak gdyby przed chwilą wyrytych. W trawie, w błocie, w piasku, wszędzie na brzegach wód. W miarę oddalania się od Obijuan spostrzegamy coraz więcej śladów: to znak, że docieramy do bogatych łowisk. Moja wyprawa dobija do celu; wskazują na to liczne tropy, lecz — do diaska! — gdzież sama zwierzyna? Już mi obmierzł widok samych tropów tylko.

Gdy spotykaliśmy ślady nad rzeką Oskelanoe, tydzień temu, radowały nas one i rozpalały żywo wyobraźnię, jako zapowiedź przyszłych głębokich wzruszeń. Teraz przestały mnie radować, sprzykrzyły się. Tropy są jak piękne obietnice zbyt długo i złośliwie nie spełniane. Drażnią i męczą; są czcze i jałowe.

Kilka razy zatrzymujemy motor i wysiadamy na ląd. Badamy brzegi, wodząc dokoła wytężonym wzrokiem niby agenci śledczy. Na tropach najmniej znam się ja. Lepiej czyta je Stanisław, jeszcze lepiej, oczy-

wiście, stary Indianin Cree, John Iserhoff; ale prawdziwym mistrzem, jak się zdaje, jest Lisim, nasz czwarty towarzysz.

Lisim, młodszy o dwadzieścia lat od Johna, wysuwa się na czoło wyprawy naszej jako niepospolity przewodnik. Jest to w ogóle nieprzeciętny Indianin: nosi okulary, rysy ma mongolskie i umie naprawiać motory. Kiedy w czasie jazdy zepsuł się nam motor, Lisim rozebrał go na drobne części, pomajstrował i złożył; motor znowu chodzi.

Przy oględzinach brzegów Lisim czyni jakieś ważne spostrzeżenia i odkrycia; cichym głosem, w języku Cree, udziela tych wiadomości Johnowi, a John powiada do mnie po angielsku, że tam wczoraj pławiły się dwie sztuki, tu dziś przechodził słaby byk, a tu znowu stała kiedyś klępa; tu są na pewno łosie.

— Gdzie są te łosie? — pytam urągliwie i toczę wzrok dokoła. — Widzę tylko same tropy! Nothing but tracks!

Nad jeziorem rozpościera się rozległy krajobraz, piękny jak marzenie, lecz pusty, jakby wymieciony zarazą.

John, mający łagodne usposobienie, uśmiecha się z zakłopotaniem i uprzejmie mruczy coś pod nosem. Biały człowiek jest niecierpliwy.

Po przepłynięciu przeszło trzydziestu kilometrów wjeżdżamy w okolicę o zmienionym nieco krajobrazie: w zwarte dotychczas ostępy iglicowych lasów wplatają się coraz częściej jasne plamy drzew liścia-

stych. Osiki i bielejące brzozy wyrastają licznie wśród jodeł i świerków. Równocześnie zaś częste wyrwy i przełomy przerywają skalisty brzeg; to w puszczę wrzynają się głębokie łąki i bagna, ulubione bobrowiska łosi.

Płyniemy na południowy wschód przez ogromnie wydłużone jezioro o zawiłych zatokach i licznych wyspach: Lake Marmette. Ciągnie się na przeszło 20 kilometrów. Na jego południowym końcu wyrasta półwysep, cienki i długi jak sztylet wbity w jezioro. Na tym cyplu lądujemy. John oświadcza, że stanęliśmy u celu. Jesteśmy w samym środku najlepszych terenów łosiowych. Stąd możemy wypływać na polowanie na wszystkie strony, na zachód, południe, wschód i nawet na północ, skąd właśnie przybyliśmy. Wszędzie w pobliżu napotkamy łosie. Tak twierdzi John.

Półwysep ma na brzegu piaszczystą smugę, za którą wznosi się lasek, długi i wąski jak sam cypel. W lasku, w nieznacznej wklęsłości terenu, zakładamy nasz obóz pod cieniem brzóz i młodych jodeł. Kotlinka zapewni nam zupełne bezpieczeństwo; niczyje niepowołane oczy nie dostrzegą blasku naszego ogniska. Do wody jest niedaleko, niespełna 40 kroków. Podoba mi się miejsce na obóz.

Podczas rozbijania namiotów (dwóch, gdyż Indianie wznoszą swój własny) zjawia się nagle w obozie dziwny gość. Leśna kuropatwa. Siada na powalonym pniu, tuż tuż, nie dalej od nas niż o dwadzieścia kroków, nie okazując żadnego lęku. Przeciwnie.

W śmieszny a wyzywający sposób wyciąga i kurczy szyję, głowę to podnosi, to schyla. Widocznie oburzona, podniecona ciekawością, chce dociec, jacy to wdziercy mącą spokój puszczy. „Fool hen", narwaną kurą, nazywa ją Kanadyjczyk i zdaje się, że słusznie. Z upierzenia przypomina naszego jarząbka, tylko jest nieco większa.

Lisim zabrał z sobą sześciomilimetrowy Winchester. Dobywa teraz broni z tłumoku — i podczas gdy John wobec mnie usprawiedliwia strzał, który nie będzie zbyt głośny i grubszej zwierzyny nie spłoszy — Lisim spokojnie nabija karabinek, mierzy chwilkę i pali. Piękny strzał! Ptak, trafiony kulką w głowę, pada na miejscu. Lekkomyślność swą przypłacił śmiercią, nam zaś odkrył znakomitego strzelca i przysporzył smacznej pieczonki.

O kilka kroków za obozem, na piasku, Indianie pokazują mi tropy łosia. Tęgi byk, chwali go John; przechodził tędy wczoraj. Rzeczywiście, ostro rysują się wielkie, owalne wgłębienia. Lecz śladów mam po same uszy.

— Znów tropy! — wołam z udanym zgorszeniem i śmieję się Johnowi w oczy.

Stary Indianin martwi się. Gryzą go moje drwiny. Naradza się z Lisimem, po czym proponuje mi, ażebyśmy dziś jeszcze, pomimo spóźnionej pory, urządzili krótką przejażdżkę na zwiady. Za godzinę nastanie dopiero zmrok. — Zgoda, jedziemy! — wołam.

Moje kanu, jako lżejsze, spychamy na wodę i pły-

niemy w kierunku południowym: John, Lisim i ja. Stanisław zostaje w obozie, by przygotować kolację. Płynąc wzdłuż półwyspu, docieramy do jego podstawy, tu wpływamy w jakąś cieśninę i niebawem wydostajemy się na nowe jezioro, znacznie mniejsze niż poprzednie, długie może na kilometr. Nazwaliśmy je później Jeziorem Śmiałego Szczupaka.

Nad jeziorem wisi przed nami wspaniała tęcza o wyjątkowo jaskrawych barwach. Jednym ramieniem spływa na brzeg wody niedaleko nas i przeistacza łączkę w jakieś oderwane od ziemi i życia, promieniejące ustronie. Tęcza roztacza blask tak olśniewający, że bije na nas jak łuna. Przypomina jakby czarodziejską bramę powitalną; może to w istocie brama do raju myśliwskiego? Zjawisko wzrusza także Indian; coś szeptem do siebie gadają.

Po chwili zachodzi słońce za lasem i gasi tęczę. Cienie gęstnieją pod drzewami. Zbliża się mrok.

Po przebyciu jeziora zapuszczamy się w wąskie, kręte koryto, ni to w rzekę, ni w martwą odnogę. Z powierzchni wody wystają tu różne kamienie i kępy mułu. Trudno między nimi wiosłować, lecz Indianie pokonują bez wysiłku wszystkie przeszkody, omijając zwinnie wysepki. Rodzili się snadź na wodzie. Podziwiam ich zręczność. Wiosłując zanurzają wiosła tak czujnie, że nie słychać żadnego szelestu prócz spadających kropel wody.

Niezmącona cisza zaległa las. Liście i źdźbła trawy, znieruchomiałe, zapadły w wieczorny sen. W tę ciszę i w wielkie milczenie lasu wsuwamy się, sami

czujni i cisi niby senne widziadła, przyczajeni niby drapieżne zwierzęta.

Nagle John, siedzący za moimi plecami, ostro trąca mnie i bez słowa pokazuje palcem przed siebie. Szukam wzrokiem po chaotycznych wybojach brzegu; pełno tam głazów; wreszcie widzę: łoś! Dalibóg, jest łoś! Dreszcz gwałtownego gorąca przeszywa mi ciało. Stoi nad samym brzegiem, nie dalej od nas niż trzydzieści kroków, zwierz kolos, prawdziwe wcielenie potęgi, pyszny olbrzym puszczy, stwór prawie przedpotopowy, niemal legenda. Na tle popielatego brzegu rysuje się wyraźnie jego szarobrązowy pośladek i białawe, tylne badyle, podczas gdy głowę i bark zakrywa nabrzeżny kamień. Jeszcze nie wiadomo — byk to czy łosza. Jeżeli byk, to chyba kapitalny. Nie zauważył nas dotychczas.

Ostrożnie odbezpieczam remingtona, ostrożnie Indianie podsuwają łódź. Serce bije mi młotem, oczy ze wzruszenia zachodzą wilgocią. Podnoszę broń do strzału.

Powoli zbliżamy się do kamienia. Jeszcze piętnaście kroków, jeszcze dziesięć. Wreszcie docieramy do ściany głazu, cichuteńko wychylamy się spoza węgła — naraz porywcze szarpnięcie zwierza i z podrywającego się łba patrzą na nas wystraszone świece. Na głowie zwierza sterczą wielkie łyżki-uszy, lecz poza tym nic, żadnych rosochów: to łosza. Zawiedziony opuszczam broń.

Wylękniona łosza zadziera chrapy, okręca się na tylnych biegach i daje susa, aby uciec. Lecz w po-

spiechu źle oblicza stromość brzegu i zjeżdża znów z powrotem do wody. Przy tym komicznie rozkracza badyle, wypinając na nas swój szeroki kwiat.

Naprężenie nerwów mija. Zabawny widok pobudza naszą wesołość. Zaczynamy się śmiać wszyscy trzej jak dzieci, zanosimy się tłumionym chichotem, śmiejemy się radośnie, rzetelnie, niepohamowanie, bez opamiętania, bez końca, coraz to spazmatyczniej wybuchając od nowa. Warto się śmiać: niebo jest pogodne, klępa nareszcie uciekła, ustąpiły żale, nastaje zgoda z lasem, a sojusz między ludźmi.

Gdy zabieramy się do powrotu, stary John wskazuje na ślady, jakie na brzegu pozostawiła po sobie łosza i, przedrzeźniając mnie żartobliwie, powiada z przesadną melancholią:

— I znów same tropy! Nothing but tracks!

29

RAJ MYŚLIWSKI

Gęsta mgła zasłania rano las i wodę. Ponuro i beznadziejnie wstaje dzień, który później cudownie się wypogodzi i ukaże olśnionym oczom tyle wspaniałych niespodzianek. Dzień chwały kanadyjskiej puszczy.

Wyruszamy z obozu świtaniem, wśród mgieł, w nastroju posępnym. Tak samo jak wczoraj w łodzi jedzie nas trzech, obaj Indianie i ja; Stanisław pozostaje znów w obozie. I tę samą rozpoczynamy drogę, poprzez Jezioro Śmiałego Szczupaka. W miejscu, w którym wczoraj wieczorem ujrzeliśmy klępę, płoszymy stado dzikich kaczek. Jest ich siedem. Nieproszone oczajdusze zrywają się z ogromnym szumem i świszcząc zataczają koła nad nami. Przeraźliwy świst odczuwamy jak cięcie bicza: wdziera się brutalnie w ciszę poranku i niepokoi całą okolicę. Wreszcie ginie w oddali.

Wkrótce powstaje lekki wietrzyk, przepędzający w kilku minutach mgłę. Otwiera się widok. Na wschodnim skłonie nieba wypływa słońce i w jego

czystych, czerwonych promieniach doznajemy pierwszego w tym dniu wzruszenia. Kaczki, na szczęście, nie zaraziły popłochem innej zwierzyny: oto przed nami, na mieliźnie w środku rzeczki, prawie po kolana w wodzie, stoi łoś i pije spokojnie. Można by na pierwsze wejrzenie pomyśleć, że to tęgie konisko. Niestety, już z daleka poznajemy, że to słaby byk. Szóstak. Chłystek niewart strzału. Odkładam broń.

Indianie znów budzą mój podziw. Wiosłują tak ostrożnie, że dopiero w odległości trzydziestu kroków łoś spostrzega naszą łódź i oniemiały zapomina o ucieczce. Patrzy na nas jak urzeczony.

— Wy strzelajcie! — szepcę do Indian i czynię nieznacznie zapraszający ruch ręką w kierunku zwierzyny.

Nie, nie strzelą, odpowiada John; nie chcą mi płoszyć wystrzałem innej, lepszej zwierzyny. Z uznaniem przyjmuję ich rezygnację. Wiem, że jest to poświęcenie, gdyż wśród Indian w Obijuan odczuwa się obecnie dotkliwy brak mięsa i w ogóle pożywienia.

Łoś w końcu rusza i oddala się. Czyni to powoli, ociąga się, jak gdyby nie przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa. Jak gdyby nie znał ludzi. John wyjaśnia, że człowiek po raz ostatni płynął tędy rok temu.

Niebawem rzeczka kończy się w błotnistych źródłach i trzeba łódkę przenieść przez lądowy przesmyk do następnego jeziora. Przesmyk taki nazywamy „portage". Stanowi nieraz udrękę wioślarzy, gdy rozdział wód jest zbyt szeroki, a bagaż zbyt

ciężki. Tym razem mamy tylko sto kroków do przebycia. Rosną tu krzaki sumak o dziwacznych, czerwonych jak krew kiściach owoców. Ulubiony to żer leśnych kuropatw. I rzeczywiście, dwie kuropatwy wyrywają się nam spod nóg i ulatują kilkadziesiąt kroków. Nie patrzymy na nie wcale.

Nowe jezioro, o przeszło dwóch kilometrach kwadratowych powierzchni, nie ma nazwy. Nie ma go też na mapie. Za to odznacza się koszmarną osobliwością. Z wody sterczą wysokie na kilka metrów, suche pnie obumarłych drzew, niby grożące komuś piszczele olbrzymich palców. To zatopiony las, las trupów. Płyniemy nim ze zdwojoną ostrożnością. Łatwo tu o wypadek. Poruszony słup może stracić kruchą równowagę i padając zatopić łódkę.

Wtem John zwraca moją uwagę na brzeg. W zagłębieniu ziemi, między powalonymi kłodami, widać grzbiet łosia.

— Cow — klępa! — oświadcza Indianin, chociaż nie wiem, po czym to poznał. Zwierz ma głowę ukrytą.

Z ciekawości podpływamy bliżej. Cichy zgrzyt naszej łodzi o gałąź przestrzega łosia. Zwierz szybko podnosi łeb; rzeczywiście — klępa. Wytrzeszcza na nas zdumione świece i niepokoi się. Dręczy ją niepewność: czy to wróg, czy stworzenie przyjazne? W końcu, wśród objawów lęku, zaczyna się wycofywać, wołając trwożnie: ue, ue.

Na ten krzyk odzywa się w pobliżu podobny głos i teraz rozumiemy bojaźń łoszy: niewielki cielak-

sysak ukazuje się wśród rumowiska drzew i, becząc żałośnie, pędzi za matką. Znikają razem w lesie.

Lecz nie na długo. Zjawia się wnet sama łosza i, pobekując wyzywająco, przybliża się do brzegu. Wydłuża przy tym sztywny kark i hardo stawia badyle; całe jej zachowanie zdradza wojownicze zamiary. Gotowa rzucić się na nas.

Nie trzeba, urażona matko! Już uciekamy. Indianie silnymi uderzeniami wioseł wyprowadzają łódź na środek jeziora. Niemiłą przygodą grozi bliskie spotkanie z łoszą rozjuszoną, gdy ma przy sobie swoją latorośl.

Znów portaż. Tym razem trzeba nam przenosić łódź prawie kilometr, przez grzęzawiska, pokryte bujną trawą i chojkami świerków. Kilka razy przecinamy głębokie tropy w trawie, odmienne, szersze niż dotychczasowe łosie tropy. Przy największym z nich Indianie zatrzymują się. Przechodził tu rano tęgi niedźwiedź. Jest tych zwierząt więcej w okolicy. Wszystkie ich ślady prowadzą w jednym kierunku, do wysokich wzgórz, wznoszących się przed nami, na lewo.

— Góry Niedźwiedzia! — powiada John i patrzy na nie zadumany.

Po wyjściu z gąszczu stajemy nad rozległą zatoką, za którą błękitnieje wielkie jezioro. To Jezioro Chapmana, okolone Górami Niedźwiedzia.

John prosi, żebym zbadał przez lornetkę ciemną plamę poruszającą się na przeciwległym brzegu zatoki. Patrzę przez szkła: łosza.

Siadamy i płyniemy. Góry Niedźwiedzia wyrastają przed nami coraz wyraźniejsze i wyższe. Najbliższa z nich wzbija się na jakieś 300 metrów ponad poziom jeziora. Pokrywa ją gęsty, wspaniały bór, przerywany gdzieniegdzie jaskrawymi bliznami gołych skał. Na samym szczycie jaśnieje otwarta halizna, oblana południowym słońcem. Musi tam być ładnie; wierzchołek nęci kusząco.

— Chciałbym tam być u góry! — odzywam się do Johna.

— Dobrze. Wejdziemy.

Po okrążeniu szerokiego półwyspu podpływamy do podnóża góry i lądujemy. Wchodzimy. Niekiedy trzeba piąć się na czworakach, lecz na ogół wejście łatwe; wśród drzew jest wiele golizn, z dołu niewidocznych. Po godzinie docieramy do szczytu spoceni i zmęczeni.

Widok, jakiego się spodziewałem. U stóp naszej góry ciemne Jezioro Chapmana, wygięte w półksiężyc, z zatoką, nad którą wciąż jeszcze włóczy się łosza. Nieco na uboczu jezioro, gdzie była zaczepna klępa z cielakiem. Dalej na północy jezioro Marmette. Lecz półwyspu z naszym obozem nie widać; jest za daleko.

Pod nami wszędzie lasy: nieograniczona, zwarta zieleń lasów; morze zieleni, a w tym morzu białe wyspy: jeziora. Dopiero patrząc z góry poznaje się prawdziwą treść puszczy: widzi się namacalnie jej najwłaściwszą cechę: ogrom; doświadcza się jej zmysłami, prawie dotyka jej majestatu, jej nieskończo-

ności. Puszcza, na którą patrzę, nie ma końca. I pachnie.

Z dołu zrywa się podmuch wiatru i bucha na nas silnym zapachem żywicy, dobrze mi znanym, upajającym zapachem spruce'ów. Jest to jak radosne powitanie, jak odruch życzliwości. Lasy, rozgrzane wrześniowym słońcem, pachną żywicą.

Indianie mają sokole oczy. Wykrywają zwierzynę i każą mi patrzeć przez lornetkę: tam, na północny brzeg Jeziora Chapmana. Spoglądam i widzę łoszę. Trochę bliżej, obok tej ławy piaszczystej: to łosza z cielakiem. A z tamtej strony, na tej łące? Znów łosza. Niech je gęś kopnie. Same klępy i cielaki. Toż to istny babiniec. Na osiem spotkanych dziś sztuk był jeden byk, i to mizerny.

Podczas gdy Lisim roznieca ognisko i przyrządza z przyniesionych zapasów obiad, John cichym, melodyjnym głosem wyjawia mi tajemnicę łosi. Powiada:

Słońce wciąż grzeje, noce są łagodne, nie nadszedł jeszcze czas. Byki są, ale ukrywają się w gąszczach: śpią leniwie i mają wciąż chłodną krew. Wyjdą, gdy krew ich się przebudzi, gdy zapragną samic. Wtedy rycząc będą niespokojnie szukały i chodziły po kniei. Nastąpi to, gdy nastanie pierwsza mroźna noc. W tę noc ukaże się na niebie wielka zorza polarna. Zanim nie ukaże się zorza, nie będzie byków i nie warto polować. Dlatego John i Lisim opuszczą nas jutro i pojadą do swoich w Obijuan, a wrócą po pierwszym przymrozku. Nastąpi to wkrótce. Za kilka dni.

Podczas opowiadania Johna ciepłe powiewy z dolin przynoszą wciąż mocną woń żywicy. Naraz uświadamiam sobie niezmierną, nadziemską prawie pogodność, rozlaną we wszystkim dokoła: w pachnącym powietrzu, na słonecznych stokach wzgórz, w cichej, przytulonej do ziemi puszczy, a przede wszystkim w żerujących na dole łoszach, pełnych spokoju i zaufania. Rozsiadł się pod nami pokój raju. Raju? Tak. Jakże usilnie i przekonywująco nasuwa się myśl, że właśnie tu można by żyć w wymarzonym szczęściu, w niezmąconej zgodności z niebem, z sobą i z przyrodą, właśnie tu być cichym, dobrym i mocnym, bez wstrząsów, bez złych namiętności...

Nie dokończyłem myśli, gdy John, szarpnąwszy mnie gwałtownie, wskazuje na zbocze sąsiedniej góry: czarne cielsko zamajaczyło tam wśród zarośli i zginęło. Mała to chwila, lecz wystarczy, żeby porywczo zabiło mi serce i poniosła mnie znowu żądza zabijania.

Na zboczu pojawił się niedźwiedź.

Jakaż to złudna i niebezpieczna rzecz ufać zbytnio ludzkim marzeniom o wiecznym pokoju...

30

NIEDŹWIEDZICA

Jak oparzeni zrywamy się z murawy i wytężone oczy wpijamy w leśny gąszcz na zboczach sąsiedniej góry. Pojawił się tam przed chwilą niedźwiedź i znikł. Czy nas spostrzegł? To wątpliwe, wiatr wieje dla nas korzystny, od strony zwierza. Ale daremnie wytężamy wzrok. Niedźwiedź zaszył się, znikł. Zakryły go jodły i gęste krzewy.

Z palcem na cynglu, stąpając jak najciszej, schodzimy na dół, około trzysta kroków. W miejscu, gdzie go ujrzeliśmy, znajdujemy liczne i rozmaite tropy. Wzrokiem i słuchem staramy się przeniknąć knieję. Nic. Stoimy na połowie wysokości między szczytem a brzegiem jeziora. Biała powierzchnia wody migoce pod nami wśród gałęzi drzew. Wszędzie głuche milczenie, na całym stoku nic się nie rusza.

Wtem Indianie odkrywają coś ważnego. Szepcą między sobą z ożywieniem i od nowa oglądają ślady. John tłumaczy mi, że nie jeden, lecz trzy niedźwiedzie przechodziły tędy. Niedźwiedzica z dość wyrośniętymi piastunami. Trzeba się mieć na baczności.

Niedźwiedzica staje się niebezpieczną i często rzuca się na człowieka.

Ostrożnie, cichaczem, wdzieramy się w leśne podszycie śladem zwierząt. Pod jakimś drzewem znajdujemy niedźwiedzie bobki, dość pokaźne. John dotyka ich ręką i zadowolony stwierdza:

— Ciepłe!

Chociaż zwierzyna ciągnie tuż przed nami i nie jest spłoszona, trudno jakoś ją dogonić. Po chwili tropy wychodzą na łączkę, szeroką na przeszło sto kroków i, przecinając ją przez sam środek, giną po przeciwległej stronie, w lesie. Zatrzymujemy się na skraju polany, w ukryciu bezpiecznym.

Dalej ścigać nie warto, oświadcza John i przedstawia taki plan polowania: Niedźwiedzie pomykają wzdłuż brzegu, między jeziorem a pasmem gór. Lisim zbiegnie co tchu do łodzi, wypłynie na jezioro i, szybko wysunąwszy się na dobrą milę, wyląduje i misiom zastąpi drogę. Czując przed sobą człowieka, niedźwiedzie na pewno zawrócą i przyjdą do nas własnymi śladami. Tu będziemy ich oczekiwali. Na boki nie umkną na pewno, mając z jednej strony jezioro, z drugiej strony góry o odkrytych szczytach i daleko widzialnych haliznach. Więc jeżeli wrócą, to prosto na nas.

Plan jest bardzo dobry. Lisim pędzi na dół, a my, John i ja, zostajemy na brzegu lasu patrząc na polanę.

Ciszę, która nastaje, przerywa nagle tajemniczy odgłos z oddali. Jakiś trzask drzewa, jakiś chrzęst

powtarzającego się łomotu. John chwyta mnie kurczowo za ramię i powiada zdławionym głosem:

— Niedźwiedzie rozrywają kłody i szukają w drzewie robaków!...

Z zaciekawieniem słucham, ale z jeszcze większym zdumieniem patrzę na drżącą rękę Indianina i na jego twarz. John jest silnie podniecony. Wydaje mi się to niezrozumiałą wprost niespodzianką: czyżby Indianina niepokoiła do tego stopnia bliskość niedźwiedzi?

Pytam go znienacka:

— Czy Indianie Cree wciąż jeszcze wierzą, że niedźwiedzie mają ludzką duszę?

John, nagle zażenowany, cofa rękę i stara się ukryć swe zmieszanie. Odpowiada zbywająco i żartobliwie, że dawniej wierzyli w różne gusła, ale dzisiaj, ho ho, wiele się zmieniło. John pierwszy zarzucił stare zabobony i na przykład nie poświęca już pierwszego w roku złapanego bobra potęgom przyrody, lecz ściąga z niego skórkę i korzystnie sprzedaje białym. Warto przy tej sposobności stwierdzić, że Indian nie obowiązuje zakaz polowania na bobry.

To prawda, że John jest wyjątkowym Indianinem. To samo mówił mi Frankland, agent Hudson's Bay Company w Obijuan, określając Johna jako postępowego i jednego z najświatlejszych Indian Cree.

Już od długiej chwili panuje w puszczy głębokie milczenie. Łoskot łamanego drzewa ustał. Tylko nieraz osy zabrzęczą nam nad uchem. Z leśnej ciszy wypływa dokuczliwa niepewność i z każdą chwilą

rośnie podejrzenie, że może daremnie czekamy, że może niedźwiedzie już umknęły.

Wysoko na niebie lecą trzy wrony. Wałęsają się, widać, bez celu i od czasu do czasu pokrzykują szczekając jak psy. Śmieszna to rzecz: kanadyjskie wrony szczekają jak psy. Tak, dosłownie: hau hau. Przelatują ponad nami, potem nad polaną, potem nad tamtym lasem. Naraz coś się zmienia: ptaki szczekają kilka razy szybko po sobie, zachłyśnięte, jakby strwożone, i nagle urywają. Milkną na dobre. John trącą mnie — tym razem trąca lekko i nieznacznie — i pokazuje z uśmiechem uciekające ptaki:

— Wrony zobaczyły niedźwiedzia!...

Nastaje znów spokój. Trwa tak dobry kwadrans. Wtem na szlaku wronim, nad naszymi głowami, pojawiają się dwie sójki, blue-jays. To obwiesie lasu i krzykały, wrzeszczące zawsze na całe gardło, gdy coś niezwykłego dostrzegą na ziemi. Śledzimy ich lot i nasłuchujemy uważnie. Lecz ptaki zawodzą. Snadź żadnych zwierząt nie widzą na dole. Przelatują nad lasem spokojne i milczące. Niedźwiedzi albo nie ma, albo się schowały.

Popołudniowe słońce stacza się coraz niżej na zachód. O tej porze dnia igrają wesoło wśród gałęzi kanadyjskie wiewiórki. Co chwila rozlega się ich gromki terkot: trrrrr, trrrrr. Jedną wiewiórkę słychać hen, nisko, nad samym jeziorem; inną bliżej, po drugiej stronie polany, w miejscu, gdzie w gąszcz wchodzą tropy niedźwiedzi.

Wtem bliższa wiewiórka odmienia głos. Zaczyna cmokać szybko, urywanie, potem gromko fuka i na przemian śwista: puch-ciik, puch-ciik. Ujrzała coś; jest wzburzona i głośno zdradza wielką tajemnicę. Zdradza obecność wielkiego zwierza. Wymyśla mu, złorzeczy, ostrzega innych. Pieni się. Pełno w lesie jej hałasu. Serce bije mi głośno.

Na krawędzi lasu rosną bujne paprocie, nie pozwalające wejrzeć w głąb. Jedna z kęp, wystrzelająca ponad inne wspaniałym pióropuszem, nagle silnie trzęsie się i kołysze. Teraz wiemy; to niedźwiedzie wróciły. Zatrzymały się przed polaną. Mijają długie chwile nieznośnego napięcia. Paproć tymczasem wyprostowała się i znieruchomiała. Oczy wychodzą nam z orbit. Ale zwierząt ciągle jeszcze nie widać.

Jak gdyby wynagradzając nam godziny oczekiwania, następne wypadki rozgrywają się w tempie błyskawicznym.

Lekki trzask gałązki. Tuż z boku, znacznie bliżej; nie tam, gdzieśmy się spodziewali. Trzy czarne kłęby migają wśród drzew, mkną chyłkiem a raźno, bokiem do nas. Strzelam do pierwszego z nich, największego. Ściągając cyngiel, równocześnie zdaję sobie sprawę, że chybiam. Drugi strzał lepszy. Trafia: niedźwiedź, jak kosą ścięty, zwija się i stacza bezwładnie po pochyłości. Dyszy ciężko.

Dwa pozostałe niedźwiedzie, a raczej niedźwiadki, nieprzytomne z przerażenia, rzucają się w kółko jak opętane. Uciekają.

Raniony niedźwiedź wgryza się w korzenie i przeraźliwie rzęzi. Pazurami szarpie ziemię. Przyskakuję do niego na kilkanaście kroków i pakuję mu kulę w kark. Straszliwe łapy po chwili słabną, charkot ustaje. Ostatnim skurczem niedźwiedź wpija się szczękami w pień drzewa i tak pozostaje: z wyszczerzonymi kłami, z wywalonym jęzorem, czarny, kudłaty, groźny, wspaniały. Mam niedźwiedzia, przeszywa mnie nagła radość.

Jest to niedźwiedzica. Druga kula strzaskała jej kręgosłup.

Tymczasem piastuny nie uciekły daleko. Ukryły się w pobliskich krzakach. Stamtąd rozlega się nagle ich krzyk. Zawodzą głośno i żalą się. Jest to płacz rozdzierający, przenikliwy. Targa nerwy. Tak samo rzewnie płaczą dzieci ludzkie, gdy je spotka krzywda.

Zrazu słucham zdumiony, potem gaśnie moja radość; odzywa się sumienie, wzbiera w sercu gorycz. Źle zrobiłem, psiakrew! Nie trzeba było zabijać matki.

Niedźwiadki nie milkną: wciąż zanoszą się od skarg. Ogarnia mnie w końcu wściekłość. Z nabitą strzelbą pędzę w las. Na szczęście zwierzęta są czujne. Umykają niepostrzeżenie w głąb puszczy i dopiero z wyższych stoków, z daleka, odzywają się w nowym przypływie rozpaczy. Daję im pokój.

Gdy rozbity i przygnębiony wracam na polanę, staję jak wryty: John! Chełpił się poprzednio swą postępowością, a oto porwało go. Obchodzi teraz dookoła niedźwiedzicę jakimś uroczystym, rytualnym

krokiem, wymachuje rękoma w jej stronę i coś do niej żywo prawi: pewnie tajemnicze zaklęcia. Surowa powaga odbija się na jego twarzy.

Gdy powoli podchodzę, John milknie i wraca do rzeczywistości. Staje się znów Johnem Iserhoffem, normalnym obywatelem dominium Kanady i przewodnikiem, uśmiechniętym łagodnie i wstydliwie. Dotyka szybko niedźwiedzicy, skrzętnie tłumaczy, pokazuje, objaśnia rzeczowo:

— Kula zdruzgotała krzyż. Tędy weszła, tamtędy wyszła... Był to zabójczy strzał...

Mówi głośno, gorliwie, niepotrzebnie, jak gdyby starał się zagadać i ukryć swe zawstydzenie.

Nie ukrywaj, John! To ja się wstydzę!

UPIORNA DRAPIEŻNOŚĆ

Nie ma granic, nie ma w przyrodzie przykładu okropna, przerażająca drapieżność szczupaków. Wywodzi się chyba wprost z samego koszmaru, od bestii apokaliptycznych. Drapieżność nieposkromiona, obłąkana, ślepa: szczupak nie tylko pożre drugiego szczupaka, lecz z równą zajadłością rzuci się na błyszczącą blaszkę, na płynący kawał drewna lub rękę człowieka. Drapieżność zuchwała, bezwstydna, niczym się nie krępująca, bez maski: szczupak nie zna obłudy, nie kłamie, nie uśmiecha się: chciwe ślepia wyrażają zawsze okrucieństwo, potwornie szeroką paszczę jawnie szczerzy wieczny głód. Szczupak rzuca się na ofiarę jak błyskawica i natychmiast, żywą, połyka. Rzuca się raz, zwyczajem szlachetnych drapieżników. Gdy chybi, nie goni. Chybia rzadko.

John powiada, że w jeziorze Marmette, nad którym obecnie obozujemy, żyją olbrzymie szczupaki; bywają tam potwory stuletnie, dochodzące do półtora metra długości. Wierzę. Bez wielkich zabiegów łowimy okazy dziesięcio-, piętnastofuntowe.

Rzecz dziwna, że ani w jeziorze Marmette, długim na blisko 20 kilometrów i niezmiernie głębokim, ani w połączonych z nim jeziorach, jak np. Chapmana, nie ma nawet na lekarstwo żadnych innych ryb jak tylko szczupaki. Same szczupaki. A co jeszcze dziwniejsza, to ich nieprzebrana obfitość, niewiarogodna, niepokojąca, prawie upiorna: wystarczy gdzie bądź zarzucić wędkę, wszystko jedno o jakiej porze dnia i przy jakiej pogodzie, a już uderza w przynętę rozbójnik głębiny. Wody tutejsze to fantastyczne mateczniki szczupaków, istne rezerwuary drapieżności.

Łowimy szczupaki z łodzi na błyszczkę, którą tu nazywają „troll". Niklowana blaszka jest wygięta w kształt śmigła i dzięki temu obraca się wśród lśnień dokoła własnej osi, gdy ją ciągniemy na długim sznurze za łódką. Do blaszki przymocowany jest mocny haczyk. Ruch i migocące błyski wywierają magiczny wpływ; szczupaki z pasją uderzają na świecidełko i pochłaniają je razem ze zdradzieckim hakiem.

Jest to chwila potężnego wzruszenia. Mając ręce zajęte wiosłem, trzyma się sznurek w zębach. Naraz gwałtowne, głuche szarpnięcie wykręca człowiekowi głowę w bok, wbrew jego woli, tyle w tym szarpnięciu niepohamowanej przemocy. Na obydwóch końcach sznura stają przeciw sobie dwa wrogie światy: tam zęby drapieżnika — tu zęby człowieka, w tej chwili nie mniej drapieżnego niż tamten pod powierzchnią wody. Od zębów do krzyża, do nóg prze-

szywa łowcę rozkosz. Atawistyczna rozkosz jaskiniowca, szarpiącego zębami swą zdobycz.

Wówczas wiosło kładzie się do łodzi i rękoma wyciąga sznur. Powstaje zacięta, krótka walka. Szczupak rozpaczliwie się broni, pogrąża w głębię, szamoce, trzęsie łódką. Dobywa ostatnich, straszliwych sił. Czasem skoczy wysoko w powietrze. Wszystko daremnie. Przegrywa życie, raz wciągnięty do czółna.

Z początku zastanawiałem się, z czego żyje tyle szczupaków, nie mając innych ryb na pokarm. Badanie żołądków wyjaśniło sprawę. Małe szczupaczki, na palec długie, połykają przeważnie pchły wodne, od których roją się jeziora. Jedno-, dwufuntowe wyrostki żywią się tymiż szczupaczkami i rakami; większe, kilku- i kilkunastofuntowe, pożerają wyłącznie inne szczupaki, nieco mniejsze od siebie. Tak więc świat podwodny zasadza się tutaj na hierarchicznym pożeraniu własnego potomstwa i widocznie tylko wielkiej rozrodczości zawdzięcza, że potomstwa jest wciąż pod dostatkiem.

Nazajutrz po upolowaniu niedźwiedzicy wyruszam rano łódką na szczupaka. W moim kanu dosłownie się kocham. Gdy z tyłu siedzę sam jeden, czub jego cudownie wystaje z wody i wtedy starczy jedno uderzenie wiosła, by jak strzała wyprysnęło naprzód. Jednakże wystarczy też lekko przechylić się, ażeby łódkę wywrócić. Kanu jest bardzo wywrotne.

Tego rana nie oddalam się zbytnio od obozu. W pobliżu, niedaleko brzegu, jest głębokie miejsce,

kotlina na spodzie jeziora. Pełno w niej szczupaków. Woda przybiera tu ponury kolor ciemnogranatowej przepaści. Przepływając tędy powoli, doznaję nagle w zębach tęgiego wstrząsu i linka ucieka w dół jak świszcząca struna: chwycił dobry szczupak. Podczas wyciągania go — jest na kilkunastometrowej głębinie — plącze mi się sznurek i jakoś nieszczęśliwie obwija dokoła nogi. Chcę go odwikłać, gdy gwałtowne szarpnięcie ryby udaremnia zamysł. Gorzej; bestia ciągnie za nogę tak mocno, że wszystkimi siłami muszę się zapierać o brzeg łodzi i trzymać rękoma, by nie wpaść do wody. Jestem unieruchomiony. Inicjatywę objął szczupak. Jest to widocznie olbrzym. Kanu chwieje się przeraźliwie, wciąż przechyla i grozi wywróceniem.

Jedynym wyjściem z przykrego położenia jest dobicie z łodzią do brzegu. Lecz gdy podnoszę wzrok, stwierdzam z niemiłym osłupieniem, że podczas zmagania się ze szczupakiem odpłynąłem kawał od brzegu. Dostałem się oto w wietrzyk dmący od lądu i wypychający kanu na środek jeziora. Butnie sterczący z wody dziób łodzi — dotychczas moja duma — działa teraz jak złowieszczy żagiel.

Chwytam za wiosło i uderzam w wodę, by kanu skierować do lądu. Lecz daremny to trud; wiatr jest silniejszy i nie dopuszcza do zwrotu. Na domiar szczupak tejże chwili zaczyna targać ze zdwojoną gwałtownością. Szybko odrzucam wiosło i wpieram się w spód łodzi, by nie stracić równowagi. Kilkakrotne podobne wysiłki spełzają na niczym.

Chwila spokoju uprzytamnia mi bliskie niebezpieczeństwo. Rozważam, że w razie wpadnięcia do wody nie będę mógł pływać; szczupak natychmiast wciągnie mnie w otchłań. Trzeba będzie trzymać się kurczowo łodzi, dosłownie ostatniej deski ratunku. Przypomina mi się scyzoryk. Niestety, leży na przodzie kanu, poza zasięgiem ręki.

Liczę na znużenie szczupaka. Nie ciągnie już tak uporczywie, czasami odczuwam złuźniony nacisk sznurka. Lecz najdrobniejszy mój ruch powoduje natychmiast rozpętanie burzy i ostre zrywy. Szczupak, wciąż silny, czuwa.

Gdy tak z niepokojem rozmyślam, że wypadnie jeszcze wlec się dobre dwa kilometry do przeciwległego brzegu z możliwością wszelkich niespodzianek po drodze, przychodzi nagle ratunek ze strony, o której nie powinienem był zapomnieć. Ze strony obozu, John i Lisim spuścili łódź na wodę i oto słyszę warkot motoru. Przygoda, w której zdobywam wątpliwej wartości laury, kończy się happy endem: wspólnie wyciągamy z wody szczupaka. Ma blisko 20 funtów.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pewnego wieczoru, po zachodzie słońca, płynę ze Stanisławem przez jezioro leżące na południu, niedaleko obozu, między naszym półwyspem a ostojami łosi. Z przodu kanu wiosłuję ja, z tyłu towarzysz. Zachowujemy zupełne milczenie, bo w pobliżu stoi zwierzyna. Nagle podrywam się przerażony, wstrząśnięty do szpiku: tuż za mną rozlega się

straszliwy plusk, jak gdyby ktoś całe drzewo z hukiem cisnął do wody. Odwracając się widzę ostatnim mgnieniem blisko Stanisława zanurzający się ogon potwornie wielkiego szczupaka. Miał może 40 funtów, a może i więcej. Wyskoczył z wody, rozhukany zuchwalec, jakby w zamiarze rzucenia się na Stanisława, a przynajmniej chwycenia jego wiosła. Nie chwycił, za to opryskał go rzetelnie i znikł. Od tego czasu jezioro nazywamy Jeziorem Śmiałego Szczupaka.

— — — — — — — — — — — — — —

Powierzchnia wody jest jak kurtyna zasłaniająca tajemniczy świat. W tym świecie jest woda i są szczupaki. Poznaliśmy chemię i fizykę wody, lecz nie wyszliśmy poza płytkie doświadczenie naszych pięciu zmysłów. Nie wniknęliśmy głębiej. A życia szczupaków nie objęliśmy nawet i tym doświadczeniem. Szczupaki mają zwyczaje osobliwe; mało co o nich wiemy. Chodów ich i odruchów nie znamy; ich instynkt jest dla nas mroczną dziedziną. Noc panuje dla nas w tym świecie. Czasem tylko, przypadkiem, zabłyśnie iskierka, mrok na chwilę rozjaśni, i człowiek, olśniony, zaskoczony, ujrzy nagle jedno zadziwiające ogniwo. Ale tylko jedno. Inne pozostaną nadal cieniem, wielką zagadką.

Którejś nocy wiosłuję w towarzystwie Lisima. Na niebie jest pełnia, na jeziorach cisza; powierzchnia wody srebrzy się pasem księżycowych iskier, nie ma prawie żadnego ruchu. Jest chłodno. Na samym środku jeziora wypada nam płynąć przez mieliznę. Na przestrzeni przeszło stu kroków woda nie sięga

wyżej kolan. Wznosi się tu jakaś osobliwa, piaszczysta wyspa podwodna, otoczona zewsząd znaczną głębiną. Znamy dobrze to ustronie z poprzednich wycieczek.

Gdy wpływamy na mieliznę, dzieje się nagle uroczna rzecz. Sprzed łodzi wytryskają spłoszone torpedy — nie-torpedy, wcielone diabły — nie-diabły. Suną tuż pod powierzchnią wody, wzbijając fale; coraz to nowe strzały wyskakują przed nami, dziwaczne, groźne pasma, nagłe rakiety, przerażone i przerażające; uciekając niecą nowy popłoch, wyrywają z uśpienia nowe stwory, tworzą rosnącą lawinę grozy. To szczupaki. Jest ich na mieliźnie całe mrowie. I naraz wszędzie dokoła powstaje kotłowisko pieniącej się wody, uciekających ciał, zbiorowego szaleństwa, panicznego obłędu. Widowisko jest oszałamiające.

Po chwili makabryczna gonitwa się kończy. Szczupaki znikają z mielizny i chowają się w głębinach. Na powierzchni jeziora pozostaje długo po nich niepokój.

Była to zrozumiała zgroza wypłoszonych przez nas szczupaków. Lecz jaka utajona siła przyrody wywabiła je z głębi jeziora, w której zwykle przebywają? Jaki instynkt ściągnął je na mieliznę w takiej zastraszającej ilości? Gdzież się podziała ich drapieżność? Czy w ogóle były przytomne, czy też spały? A może czymś oszołomione trwały w upojeniu, może zapatrzone w swoją złą duszę, urzeczone promieniami księżyca, odrętwiałe, chore, rozmarzone?

Indianie wierzą, że bogu słońca, radości i dobra przeciwstawia się równie potężny bóg księżyca, zła i grozy. Może to on wywiódł swe drapieżne hufce na mieliznę, i szczupaki, niewolnicy nocy i zła, odbywały właśnie ponurą księżycową odprawę?...

Piękny jest tu kraj. Pachnące powietrze, wysokie niebo, słoneczne brzegi jezior, jasne skały, rozmaita zieleń lasów, spokój wielkiej zwierzyny — wszystko to znamiona szczęśliwego kraju. Więc skądże bierze się nagle w wodzie tyle drapieżności?

A może sądzimy niesłusznie? Może szczupaki to tylko biedne, udręczone dusze, skazane okrutnym wyrokiem na pożarcie własnego potomstwa, dusze więzione w zaczarowanym kole nie z własnej winy, istoty godne litości, a nie potępienia?

Głód i drapieżność — to, obok miłości, najważniejsze funkcje życiowe. Służą najwyższemu celowi przyrody: utrzymaniu gatunku. Więc jeżeli szczupaki w niepojętej drapieżności pożerają swój własny płód i niszczą swój własny rodzaj, to dzieje się tutaj jakaś wielka tragedia. Jakieś straszliwe nieporozumienie. Przyroda oszalała i gwałci swoje najświętsze prawa, prawa życia. A może nawet przyroda jest tu bezsilna i ją także gwałci ktoś inny, ktoś silniejszy niż ona sama, ktoś okrutny, zajadły, zły? Indianie wciąż wierzą w istnienie złego boga Czakenapenok, boga nocy i niszczenia.

Lisim, wiosłujący za moimi plecami, mógłby pewnie wyjaśnić zagadkę jeziora Marmette. Niestety, Lisim nie lubi mówić.

32

GOŚCIE W OBOZIE

Od naszego namiotu do ogniska nie jest daleko: dokładnie sześć kroków. W połowie drogi rośnie młody świerk, wysmukły, piękny młokos. Na jego gałęziach wiesza Stanisław płaty mięsa, wycięte z pośladka ubitej niedźwiedzicy. Wiesza je tam, ażeby żaden niepowołany zwierz ich nie ściągnął.

Po dwóch godzinach przylatuje ptaszek, obcy, którego nie widziałem dotychczas na naszym cyplu, siada na mięsie, wydziobuje z niego kawałki i smacznie a łakomie połyka. Ptaszek należy do rodziny kosów: ma biało-czarną, prążkowaną główkę i białawy brzuszek. Wstaję od ogniska, przybliżam się — a ptaszek nic — nie ucieka. Podchodzę jeszcze krok, mogę go już prawie dosięgnąć, on ani drgnie. Ze zdumieniem patrzę na odważnego zucha. Śmiałek patrzy na mnie z ufnością. Ma filuterne, czarne ślepska. Przywołuję Stanisława.

— Meat-bird! — raduje się towarzysz, jak gdyby ujrzał dobrego znajomego.

W istocie często spotykał u siebie, w Val des Bois,

owego „mięsnego ptaka". Słynie z tego, że namiętnie lubi mięso i mało boi się ludzi. To natarczywy a wierny uczestnik myśliwskich obozów.

Tegoż popołudnia ptak przyprowadza sobie kolegę i razem żwawo rzucają się na mięso. Lecz Stanisław czuwa nad zapasami i odpędza żarłoków. Mimo to następnego dnia zjawia się trzeci ptak, nazajutrz jest ich nawet pięć. Już teraz mięsa niedźwiedziego nie bronimy. Okazało się niesmaczne. Ptaki mają wielkie używanie, a my — pociesznych kompanów. Rano miłe trzpioty budzą nas gwarnym szczebiotem, a przez cały dzień radują igraszkami, wdziękiem i wesołością. Ożywiają wierzchołki sąsiednich drzew i gdy przyjdzie im apetyt, zlatują na młody świerk.

Nowi przyjaciele napawają mnie dumą i ogromnym zadowoleniem. Powstaje oto serdeczny pomost między nami, ludźmi, a lasem; pomost, którego brak dawał się odczuwać. Są to dla mnie i drodzy, i ważni goście. I dziw, że obecność ich zawdzięczamy przygodzie tak smutnej i dręczącej: zabiciu niedźwiedzicy.

Przyjaźń nie kończy się na ptakach; przyciągają do obozu także inne zwierzęta. Zaraz pierwszej nocy, przed zaśnięciem, słyszę nad głową tajemniczy szurgot. Jakieś zwierzątko wlazło na namiot i zadzierzyście biegnie górną krawędzią, aż dudni płótno. Na chwilę przystaje nasłuchując: widocznie szpieg, wywiadowca. Potem sunie dalej, zsuwa się rączo po boku i umyka po ziemi.

Następnej nocy dzieje się to samo, tylko że zwie-

rzątek jest już kilka. Pędzą po namiocie jak zwariowane, jak gdyby nie miały innej drogi, a spacer na płótnie sprawiał im wyjątkową rozkosz. Zrobiliśmy na nich silne wrażenie. Wyczuwa się, że są bardzo podniecone. Rano, przed świtem, wdzierają się do środka namiotu i wyprawiają harce poprzez nasze ciała. Budzą nas. Gdy zapalamy światło, niczego nie widać.

Wieczorem pojawiają się już nawet przy ognisku. Tuż za nami, w cieniu gałęzi, szeleszczą, chrobocząą, łażą i czają się. W kilku miejscach na raz. A gdy później wchodzimy do namiotu i podnosimy z ziemi posłania, wyskakują spod koca przerażoną chmarą. Naganka. Tłuczemy dwa stwory i tajemnica się wyjaśnia: są to leśne myszy.

Nazajutrz dowiadujemy się więcej: jest to klęska leśnych myszy. Oto uwzięły się na nasze zapasy w kartonach i upodobały sobie płatki owsiane, kaszę, makaron i boczek wędzony. Wyżerają w dzień podczas naszej nieobecności, wyżerają i nocą — podczas naszego snu. Urządzamy obławy. Dziennie mordujemy ich cztery, pięć. Mało to pomaga. Zapasy wieszamy na postronku na wysokiej gałęzi. Niektóre myszy włażą na gałąź i spuszczają się po sznurze. Nie ma na nie rady. Zastanawiamy się nad przeniesieniem obozu w inną okolicę.

Pewnej nocy jakiś tajemniczy zwierz gospodarzy i rządzi się przy wygasłym ognisku. Leżąc pod namiotem, słyszymy, że gość przewraca z brzękiem blaszaną puszkę, wystawioną na dworze. Niedźwiedź!

Ogarnia nas niepokój i naradzamy się, co czynić. Lecz żaden odgłos już nie dochodzi. Wyjrzawszy spod płótna widzimy tylko czarną noc, nic więcej. Namiotu nie opuszczamy.

Myszy — czy piorun w nie uderzył? — siedzą tej nocy cicho jak pod miotłą. Przeraziły się.

Rano przekonujemy się, kto je przeraził. To lis, wielki amator myszy. Nie ma wątpliwości. Na naszej blaszance od cukru pozostawił po sobie wyraźny ślad w postaci łajna, wiadomo, lisim zwyczajem.

Od tego czasu dobry duch odwiedza nas co noc. Poznać to po myszach. Przyszła na nie bieda, opadł je blady strach; ubywa ich coraz więcej. Znać te wizyty także po blaszance od cukru. Co rano, z zadziwiającą regularnością, znajdujemy na niej świeży i wyraźny dokument, że lis ma się dobrze i że świetnie trawi myszy.

Klęska mija. Zwycięża mądra sprawiedliwość przyrody. Silny jest jej miecz, poskramiający wybujały nadmiar. Nienasycony jest apetyt lisa, pożerającego myszy. Chociaż nie widzieliśmy lubego gościa na oczy, chwalimy go, kochamy i tylko czasem się dziwimy, dlaczego, uparty szelma, uwziął się akurat na blaszankę od cukru. Wystawiamy mu na noc do wyboru inne puszki, większe, mniejsze, szerokie, wąskie, ale on bruka zawsze tylko jedną: tę od cukru. Ha, trudno, taka jest pańska wola i taki kaprys lisa, dobroczyńcy naszego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Na cyplu pojawiają się wielkie, czarne kruki, kołują nad lasem od brzegu do brzegu, śledzą nasz obóz. Kruki u Edgara Allana Poe wieściły śmierć, wołając: Never more; nad jeziorem Marmette wołają tylko: kluk uk, kluk uk, niby żaby kumki, lecz zdaje się, że również obwieszczają śmierć. Wpadły im zapewne w oko nasze ptaki meat-birds, uwijające się w obozie. Krucze wołanie słyszymy o każdej porze dnia, czasem daleko, przeważnie blisko. Płochliwe i ostrożne, nie nabrały jeszcze odwagi do otwartego natarcia na ptaszki, lecz są, pilnują, krążą, straszą, nie odstępują. Wiszą nad obozem jako stałe niebezpieczeństwo. Czy w ogóle spadną i uderzą?

Pewnego ciemnego wieczoru przesuwa się niedaleko obozu powolny, ciężki zwierz, głośno szurając i łamiąc gałązki. Z lampką elektryczną i ze strzelbą wyskakujemy w las. Pod krzakiem odkrywamy przyczynę niepokoju: igłozwierza. Syczy na postrach, lecz broni się niezdarnie. Wiążemy go za nogę, ciągniemy do obozu i przymocowujemy na długim postronku do młodego świerka pomiędzy namiotem a ogniskiem.

Igłozwierz jest stworem pospolitym, gryzoniem wielkości naszego borsuka. Przyroda uzbroiła go w pancerz z rogowatych kolców, lecz poskąpiła mu zupełnie energii i rozumu. To osobnik tępy, głupi, ociężały i potulny. Jedyną wiarę i nadzieję pokłada w swych kolcach, i rzeczywiście bronią go znakomicie. Długie na kilka do kilkunastu centymetrów, łatwo odpadają wbijając się przy tym jak groty

w ciało napastnika: lekko trujące a uzbrojone w kontrhak, wdzierają się coraz głębiej w ciało, powodując ciężkie rany. Biada drapieżnikowi pragnącemu ugryźć igłozwierza; odskoczy z naszpikowanym pyskiem i zazwyczaj zginie od uduszenia, gdy wędrujące kolce dotrą do gardła.

Igłozwierz żywi się korą drzew i niszczy dotkliwie drzewostan. Dlatego ludzie nie znoszą jego sąsiedztwa i zajadle go tępią. Kilka lat temu było inaczej; chroniły go prawa i pod karą nie wolno było go prześladować. Zawdzięczał to swej niemrawości i głupocie: stanowił bowiem jedyną zwierzynę łatwą do zdobycia dla bezbronnego człowieka, zabłąkanego w lasach. Odgrywał rolę żywej spiżarni.

Nasz więzień przez chwilę zżyma się, sapie, nastawia kolce i czyni niedołężne wysiłki wyswobodzenia się. Po kwadransie przestaje walczyć o wolność i zapada w głuche milczenie. Spode łba, spoza kolców, patrzy na nas spokojnym, kaprawym wzrokiem. Podstawiamy mu trochę jedzenia z kolacji. Jakże opisać nasze zdumienie, gdy igłozwierz, po krótkich ceregielach, zabiera się z apetytem do jadła! Łatwo pogodził się z losem. Oto stoik! Uczuwamy radość z domieszką lekkiej pogardy.

W nocy zwierzę nie śpi i pokutuje z umiarem; nad ranem dopiero nastaje cisza. Po wyjściu z namiotu widzimy, dlaczego igłozwierz się uspokoił: uciekł. Więc jednak nie pogodził się z losem. Ostrymi zębami gryzonia przepiłował pień młodego świerka i ulotnił się.

Świerk leży na ziemi. Ten smutny fakt pociąga za sobą, oprócz ucieczki igłozwierza, cały łańcuch fatalnych następstw. Zapasy niedźwiedziego mięsa spadły wraz z drzewkiem na ziemię. Ktoś w nocy zeżarł je doszczętnie. Nie zostawił nic. W ciągu przedpołudnia wszystkie ptaszki meat-birds opuszczają obóz. Do następnego dnia wynoszą się z półwyspu kruki.

Nie wynosi się tylko on, winowajca, igłozwierz. Przygody z człowiekiem nie zrozumiał, nie wziął sobie jej do serca. Co wieczór przechodzi obok obozu. Słyszymy go w ciemności. Łamie gałązki wlokąc swoją niedołężność; stąpa ciężko i powoli, czasem sapie. Tak to cierpliwie taszczy się co noc do końca cypla, niefrasobliwy ciemięga, ufny w skuteczność swych kolców, niewzruszony niczym, nie wrażliwy na nic. Nie wiesz: cynik czy idiota.

My nie przeszkadzamy mu. Nie mamy teraz czasu ani głowy. Poza obozem dzieją się doniosłe rzeczy, pochłaniające całą naszę uwagę.

33

TRIUMFALNIE, HUCZNIE, Z FANFARĄ CZERWIENI

Zamaszyście, buńczucznie, z fanfarą czerwieni wkracza jesień na puszczę kanadyjską. Bez posępnych mgieł, bez trwałych deszczów, bez zamroczenia. Nic nie zwiastuje bliskiego już, zimowego zamarcia. Przyroda wpada w jakąś radosną przesadę; jest teatralna, miota nią roześmiany niepokój, jest bujna, zapalczywa, rozkołysana, jakby gotowa do bezeceństw i wielkich niespodzianek.

Podziwiam niebywałą zmienność pogody: w przeciągu doby mamy deszcz, słońce, wiatr, ciszę, ciepło, chłód. Brak tylko jeszcze mrozu. Burze gwałtowne uderzają o spienione jezioro, a oto wieczorem cisza wygładza wodę i stwarza wymarzone lustro. Deszcz siecze strugami, a oto nagle słońce strzela na jezioro, wybiela skaliste brzegi i rozjaśnia zieleń. W słoneczne południe panuje gorąco i trzeba się rozbierać; wieczorem panuje dotkliwy chłód i grzać się trzeba przy ognisku. Na niebie kłębią się i pędzą podarte, białe i kolorowe dziwadła chmur, a niebo samo jest jak urzeczone, szafirowe, tak głębokie, że aż

ciemne jak toń głębokiego morza. Zachody słońca czerwone i fantastyczne.

W obłokach, w słońcu, w deszczu tkwi ukryty, sprężony niepokój. Jesień, inna tutaj niż gdzie indziej, tajemnicza swymi nagłymi wybuchami spazmów, niepokoi, podnieca i wstrząsa. W naładowanym elektrycznością i buntem powietrzu wisi jakaś olbrzymia, namiętna zapowiedź. Wiemy, czego to zapowiedź: zimy. Ale zanim zima nastanie, przyroda oto wysoko gorączkuje, kąpie się w barwach, rozjudza żywioły; roztacza przepych, czaruje niby epopeja nieposkromiona, rozpromieniona i piękna. Podniecenie przyrody udziela się wszystkim stworzeniom, zwierzynie, roślinom, nam.

Osom ktoś podszepnął, że jest u nas wielka wyżera. Przyleciały chmarą i już pozostały i wciąż nowe przylatują. W południe, gdy słońce rozgrzewa obóz, brzęczą i szumią w powietrzu; żółtymi plamami obsiadają miski, puszki i nasze obtłuszczone spodnie; głodne, ruchliwe, podniecone, zjadają wszystkie obozowe resztki, zwłaszcza słodycze. Poważny i gwarny to najazd.

Zaofiarowaliśmy im zawieszenie broni. Przyjęły je. Walka z nimi była beznadziejna. Wypędzane, rzucały się na nas i cięły żądłem. Natomiast raz pozostawione w spokoju, okazały się wyrozumiałe, rycerskie i zgodne. Łażą nam czasem po rękach. Obchodzimy się z nimi jak z lalkami, uważamy trwożnie, by ich nie obrazić ani trącić, i tak wspólnie żyjemy. Trochę się ich boimy. Owad ten — to tyran jak

każdy tyran: łaskawy i dobry, gdy mu się nadskakuje.

Na noc wiele os chowa się do naszego namiotu. Z początku chciały spać pod plecakami, na których układamy nasze głowy. Stąd wynikło wiele sporów i przykrości. W końcu osy ustąpiły. Śpią teraz u góry, pod sklepieniem namiotu, nad naszymi głowami. Tworzą tam żółte kłęby i jest im ciepło, a nam wygodnie. Nastaje sielanka.

Noce są coraz chłodniejsze. Lada chwila nadejdzie upragniony mróz. W przenikliwym chłodzie owady zupełnie drętwieją, prawie obumierają. Lecz skoro tylko słońce zagrzewa, wracają znów do życia, i to od razu do życia bujnego, zaciekłego, pełnego głodu i porywczości. Budzą mój niekłamany zachwyt i głęboką sympatię. Są to osy osobliwe. Nie chcą ginąć z zimna. Rozpiera je żywiołowa namiętność, ta sama, która owładnęła całą przyrodą i przerzuca jesień z jednej ostateczności w drugą.

— — — — — — — — — — — — — — —

Silny wicher świszcze często w konarach drzew, huczy na jeziorze i wzbijając wielkie fale zatrzymuje nas przez cały dzień w obozie. Wówczas jest nam niedobrze, zimno, smutno. Z okolicznych brzóz zrywamy korę, najlepszy, niezawodny środek na podpałkę, przyciągamy do obozu stosy suchych pni i rozniecamy ogień. Podtrzymujemy wielkie ognisko. Pijemy Red Rose Orange Pecoe Tea, herbatę dobrą, aromatyczną. Słuchamy szumu jeziora i niewiele do

siebie mówimy. Stanisław jest bardziej przygnębiony niż ja i tęskni do swej chaty w Val des Bois.

Takiego to wieczoru przeżywamy raz niezwykłe wzruszenie. Z wierzchołka najbliższego świerka, tuż nad nami, odrywa się nagle coś żywego, jasne zwierzątko; długim, miarowym lotem szybuje przez otwartą przestrzeń ponad naszym ogniskiem i w końcu opada na gałęziach przeciwległego drzewa. Nie jest to ptak i nie jest to właściwy lot, lecz bardzo powolny, olbrzymi, dwudziestometrowy skok jakiegoś ssaka. Zwierz, oświetlony z dołu ogniskiem, rysuje się na tle czarnego nieba jak nadprzyrodzone zjawisko.

— Assapan, latająca wiewiórka! — mówi Stanisław pełen zdumienia.

Assapan, latająca wiewiórka, czyli polatucha, stwór osobliwy, ma nogi połączone szerokim płatem skóry, służącym jej za świetny spadochron. Dlatego może wykonywać skoki tak bajecznie potężne i tak dalekie. A że nasza wiewiórka nagle jak duch pojawia się wprost nad nami i jak duch znika, wywołuje nie lada wrażenie.

Po chwili uspokajamy się. Wtedy ni stąd, ni zowąd przemawia Stanisław:

— Jedenaście lat przed wielką wojną stał się pod Poznaniem wielki cud. Czy słyszał pan o tym?

Pytanie zjawia się jak poprzednio assapan: niespodziewanie. Trwa chwilę, zanim znajduję drogę z obozu nad jeziorem Marmette do Poznania i do cudu.

— Nie, nic nie słyszałem! — odpowiadam.

W roku 1903 pewien kolonista, mieszkający pod Poznaniem, popełnił ciężkie bluźnierstwo. Ponieważ zbyt długo panowała posucha, wyszedł na drogę, przy której stała Boża męka, i chciał do niej strzelić z fuzji. W tej chwili zamienił się w kamień i, co najciekawsze, nie można było usunąć tego kamienia żadną siłą, nawet końmi. Ludzie chcieli go zamurować, ale kamieniste ciało rosło w górę i sterczało wysoko, niby straszliwy posąg. W końcu sprowadzono księdza i dopiero na skutek jego modłów zwłoki bluźniercy spadły na ziemię i można je było pochować.

— Czy słyszał pan co o tym? — pyta się Stanisław pod koniec swej opowieści.

Poprzez szum wiatru odkrywam w pytaniu towarzysza niesamowity odcień, jak gdyby wiary w niedorzeczną historię. Stanisław jest głęboko religijny, całe jego życie to jedno pasmo tlejącej żarliwości. Lada podmuch ją roznieca. Kto wie, czy assapan nie pojawił się nad nami jak duch. Jak zły duch. Zbudził chorobliwe kojarzenia.

Pomimo że siedzimy schronieni w kotlinie, otoczonej gąszczem, wicher wpada raz po raz do nas i kładzie ognisko na bok. Gwałci i rwie ogień z trzaskiem i sykiem, a po każdym gwałcie płomienie powstają silniejsze, jaśniejsze. Wtedy widzę dokładnie wymizerowaną twarz Stanisława z ustami zapadniętymi jakby z braku zębów; i widzę także jarzące się oczy.

W plecy dokucza nam przejmujący chłód. Stanisław otrząsa się i powiada:

— W Brazylii, gdzie pan jeździł, to chyba było gorąco...

— Bardzo gorąco! Słońce świeciło nad głową. Człowiek się pocił...

Przyjemnie pozostać przy tym temacie, rozpamiętywać go długo, długo, jak najdłużej. Stanisław namyśla się:

— Jest tam w Brazylii miasto, gdzie podobno najwięcej na świecie kościołów. Zapomniałem, jak się nazywa...

— To chyba Bahia. Ma sześćset kościołów.

— O Boże! — woła Stanisław, nagle wzruszony i zachwycony. — Sześćset kościołów!! Sześćset kościołów!!

Powtarza to uporczywie. Myśl o sześciuset kościołach napawa go rozkoszą, uszczęśliwia i rozgrzewa. Jest jak opoka, której można się uczepić.

— Rosną tam też słoneczne palmy, wspaniałe lasy palm! — dodaję, bo i palmy mają krzepiące przymioty. Także i dla mnie.

Nocy tej sroży się burza najcięższa. Huk wody słyszymy z obydwóch stron półwyspu. Fale jeziora biją o skalisty brzeg z taką wściekłością, jak gdyby zamierzały zgładzić cały cypel.

A rano cisza. Wstaje piękny dzień. Ciepły, słoneczny, rozbzykany osami, błękitny, błyszczący. Dzień marzeń, ochoty i promieni.

Po południu tego dnia dzieją się na naszym pół-

wyspie wielkie czary. Na końcu cypla, o kilkadziesiąt kroków od obozu, rosną pod brzozami dzikie czereśnie, black cherries. Są to drzewka i krzewy biedne, skromne, niepokaźne, zwyczajnie: zielone. Gdy wypływaliśmy rano na połów ryb, drzewka nie zwracały niczym naszej uwagi; jak zwykle, nie widzieliśmy ich wcale. Lecz gdy po południu wracamy, wstrząs: oczom nie wierzymy, nie poznajemy półwyspu. Tonie cały w czerwieni, jaskrawej i przeraźliwej. Black cherries dostały furii. Zaczerwieniły się ich listki. Płoną purpurą, buchają pąsem, palą się szkarłatem. Wielkim, urzekającym ogniem.

A przecież ani to ogień, ani też żadne czary: po prostu jesień kanadyjska wkroczyła na półwysep. Triumfalnie, hucznie, radośnie, z fanfarą czerwieni.

ŚCIEŻKI

Kilka lat przed wielką wojną, gdy nosiłem jeszcze krótkie spodnie, miałem z ojcem ważną rozmowę w Rogalinie nad Wartą. Wracaliśmy właśnie z połowu ryb ścieżką przez łąki, głęboko wydeptaną ścieżką wśród bujnej trawy.

Naraz odezwał się ojciec:

— Pamiętaj, że każda ścieżka, nawet najniepozorniejsza, wyprowadza na szeroki świat.

— Jak to, na szeroki świat? — zapytałem zdumiony. — Każda ścieżka? Nawet ta, tutaj nad Wartą?

— Tak, nawet ta.

Było to dla mnie prawdziwą rewelacją. Marzyłem wtedy o Beniowskim i o szerokim świecie, ale nie wiedziałem, że i z tej ścieżki rogalińskiej, tak dobrze mi znanej, można się było wydostać na świat. Nagle szeroki świat wydał mi się inny: bliski i uchwytny.

Od czasu tej pamiętnej rozmowy inaczej patrzę na ścieżki. Stają się odbiciem czegoś ważniejszego

aniżeli samych nóg; odbija się w nich instynkt ludzki. Ścieżki ożyły i nabrały treści. Są mi bliskie. Obce mi są i nieme wielkie trakty, rojne gościńce, ale ścieżki lubię. Przemawiają do mnie. Wiele zawdzięczam im w życiu, wiele życia spędziłem na nich.

Gdy pierwszego dnia lądujemy na naszym półwyspie kanadyjskim, wykładamy tłumoki i rzeczy najpierw na brzegu, a potem zanosimy je na miejsce obozu. Jeden za drugim kroczymy gęsiego, John, Lisim, ja i Stanisław. Wracamy w tej samej kolejności. Za trzecim nawrotem spostrzegam, że stąpamy po smudze, wyraźnie odcinającej się w piasku i żwirze: wydeptaliśmy ścieżkę. Zanim na półwyspie stanął obóz i wyrosły namioty, powstała ścieżka. „Ścieżka Indian“, gdyż rozpoczęli ją John i Lisim.

Ścieżka nie zmierza prosto do celu; jest kręta. Okrąża kępę stłoczonego gąszczu na brzegu lasku. Poza tym, wiodąc przez piaszczysty pas nadbrzeżny, wije się w dziwacznych zakrętasach i wymija różne przeszkody: to suche drzewko, to leżącą kłodę, to znów gruby kamień. Zdumienie ogarnia, ile to przeszkód staje na tak małej przestrzeni. Jak trudno chodzić prostą drogą!

Przez kilka dni podejrzewałem Johna o fantazję i swawolę. Wytknął ścieżkę dokoła rozległej płyty kamiennej, zamiast po prostu przejść po kamieniu i skrócić sobie i nam drogę. Tu John niepotrzebnie nadłożył drogi, śmieję się do siebie za każdym razem, przechodząc; tu John strzelił głupstwo, urągam w duchu. Lecz gdy spada deszcz, płyta ka-

mienna staje się śliska jak lód. Zbijam sobie kolano i natychmiast uznaję ścieżkę Johna, a swój błąd. Okrążam sumiennie kamień.

Z biegiem czasu ścieżka nasiąka uczuciem, kojarzy się z radosnym nastrojem. Rano wprawia nas w zachwyt pierwszym widokiem na jezioro, gdy pełni otuchy idziemy do łodzi. Wieczorem, gdy zmęczeni wracamy z polowania, ścieżka zawsze zapowiada nam wielką rozkosz: bliskie ognisko, kolację, gawędę, namiot, sen. Mam słabość do ścieżki.

Inaczej Stanisław. Nie lubi jej, kręci nosem, a gdy Indianie odjeżdżają na trzeci dzień, otwarcie podnosi bunt. Szuka innej ścieżki, krótszej. Znajduje krótszą, lecz niemożliwą; niewygodną, przecinającą gęsty las, najeżoną zdradliwie wybojami i korzeniami. Stanisław wychwala jej doskonałość. Tej samej nocy przewraca się przez korzeń. Mimo to obstaje przy swoim. Później potyka się i rozlewa wiadro z wodą, ale zdania nie zmienia, nie mędrszy po szkodzie. Nadal sławi swą ścieżkę, nagle ambitny, nagle rozgorzały, nagle zawzięty. I tak trwa uparty do samego końca. Mała rzecz, upór wielki.

Ja pozostaję przy starej ścieżce Indian.

W całej okolicy jeziora Marmette są to jedyne ścieżki ludzkie. Mało ich: czterdzieści kroków na czterdzieści kilometrów.

Natomiast często napotykamy w puszczy inne ścieżki, zwierzęce. Zwierzęta mają jak ludzie swe stałe chody, utrwalone odwiecznym obyczajem. Niektóre drożyny w pobliżu naszego obozu to wklęsłe,

głębokie bruzdy; tysiące racic, tysiące łap wyżłobiły je przez długie lata. Wiemy: tam na dnie doliny, w najgęstszej kniei, prowadzi szlak niedźwiedzi; na pagórkach, wzdłuż wysokich grani, to droga łosi. Ale poza tym nie wiemy nic. Ścieżki giną w bezmiernym lesie. Wiodą do nieznanego przeznaczenia. Symbole zgęszczonego życia w puszczy, a równocześnie symbole zwierzęcej tajemnicy i ukrytej w zaroślach doli i niedoli.

Za Jeziorem Śmiałego Szczupaka spotykamy często łoszę z sysakiem. Znajomą to, poważna łosza i figlarny, sympatyczny sysak. Wychodzą nad wódę co dzień o tym samym czasie i stanowią nieodłączną ozdobę krajobrazu. Zbliżają się wierzchołkami pagórków i tą samą drogą oddalają się — starą, udeptaną ścieżką.

Z zachowania się łoszy poznajemy, że nie nadszedł jeszcze czas rui. Pani jest spokojna i zrównoważona; niczym nie zmąconą miłością otacza swe młode. Nie płoszymy ich. Z daleka okrążamy na łodzi zaciszne ustronie ciesząc się widokiem pięknych zwierząt. Są miłe. Wdzięk rozbawionego młodzika i przywiązanie matki wzruszają nas. Podpatrujemy ich ciche szczęście i przybieramy rolę życzliwych opiekunów.

Pewnego razu nie ma zwierząt. Gdy brak ich także w następnych dniach, domyślamy się z żalem, że opuściły okolicę, widocznie spłoszone. Zwiedzamy ich ścieżkę. Typowy łosi szlak, ciągnący się wśród jodeł od wzgórza do wzgórza, bez końca, w głąb

puszczy. Mocno wydeptany, pozwala nam wygodnie kroczyć nawet przez gęste krzewy.

Naraz Stanisław gwiżdże z cicha na znak zdziwienia. Patrzy na ziemię. Pokazuje mi tropy olbrzymiego niedźwiedzia. Zwierz chciał przeciąć ścieżkę łosi; tu jednak przystanął, namyślił się i zmienił kierunek: poszedł ścieżką za łosiami. Kilka dni temu.

— To źle! — oświadcza Stanisław. — On łosie przepędził.

Panuje ponoć w puszczy uznany i zakorzeniony od dawna zwyczaj, że zwierzęta szanują obce ścieżki. Niedźwiedź ścieżki łosi nie uszanował. Była w tym zła wola. Niedźwiedź knuł podstępne zamiary.

Już kilkaset kroków dalej wychodzi na jaw, jakie to zamiary. W poprzek ścieżki leży martwe ciało łoszy, poszarpane straszliwie na szyi i brzuchu. Rozszarpał ją niedźwiedź.

Stanisław wyczytuje ze śladów przebieg tragedii. Gdy niedźwiedź zbliżył się do ścieżki, zapewne mijały go właśnie łosza z młodym i niedźwiedź nagle złakomił się na mięso. Poszedł za nimi i przydybał cielaka. Klępa stanęła w obronie. Lecz niedźwiedź był wyjątkowo silny. Udało mu się zadać jej cios w szyję i powalić. Wyrwał jej potem jelita i oddalił się zabierając cielaka. Wlókł go po ziemi.

Teraz oko nieszczęsnej łoszy jest wciąż szeroko otwarte, ale przeraźliwie puste. Martwota jego przejmuje grozą. To wielka klęska, to koniec niemiłosierny. Urwała się nagle ścieżka łoszy, nieodwołalnie, raz na zawsze.

Jednocześnie z życiem łoszy kończy się byt ścieżki. Niebawem zarośnie zielskiem, przestanie istnieć.

Znam w puszczy kilka takich zatartych ścieżek.

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy tego dnia, późnym wieczorem, lądujemy na półwyspie i wkraczamy na ścieżkę Indian, kroki nasze dudnią ostro o ziemię i głośno stukają. Ścieżka skostniała.

— Mróz!! — woła podniecony Stanisław.

Tego wieczoru zamarznięta ścieżka oprócz bliskiego ogniska, gawędy i snu zapowiada bliskie łowy.

35

ŁOSIE RUSZYŁY

Przez cały dzień rozlegały się tylko dwa odgłosy: plusk fal i szum drzew. Od trzeciej godziny począwszy nastała cisza grobowa, zastygł zupełnie wiatr. Znieruchomiało jezioro.

Nagle o szóstej godzinie z tamtej strony zatoki odezwał się ryk. Przygaszony odległością, ledwo dosłyszalny, był jak głębokie westchnienie, jak głuchy jęk.

Nad jeziorem Marmette przemówił pierwszy łoś, że pragnie miłości. Ocknął się i rozpoczął okres bukowania.

Po burzliwym preludium jesieni — nieobliczalnych wiatrach, krwawych zachodach, rozpętanym niepokoju — wybucha najważniejszy niepokój, wichrzy się najgwałtowniejszy żywioł: żądza łosia. Przez wielki las Kanady, od Labradoru po Alaskę, przebiega tajemniczy dreszcz: łoś chce kochać. Majestatyczny zwierz wychodzi z ukrycia, potężny, zgłodniały, pałający, trawiony ogniem, głuchy na niebezpieczeństwo, sam niebezpieczny, ślepy na prze-

szkody, łamiący krzewy, wściekły: chce kochać. Wielkie misterium przyrody, kłąb pomieszanych zmysłów, obłęd namiętności: łoś chce kochać.

Od szumu rozhukanej krwi łoś mało co widzi, mało co słyszy: chwile jego słabości wyzyskuje wszelkiego rodzaju drapieżność, niedźwiedzia, wilcza, rysia, ludzka.

O zmierzchu przepływamy przez zatokę. Cicho skradając się ostrożnym uderzeniem wioseł, czając się po wodzie. Dobijamy.

Na brzegu wznosi się piaszczysty pagórek z kilkoma jodłami na szczycie. Za wzgórzem ciągnie się szeroka łąka, za łąką las. Widać las, chociaż jest ciemno. Tu gdzieś ryczał łoś. Ukrywamy się wśród nadbrzeżnych jodeł. Nie ma żadnego wiatru.

Stanisław wyrwał po południu ze starej brzozy wielki kawał kory i zwinął go w trąbę. Teraz przykłada instrument do ust, lecz nie trąbi. Ociąga się; fałszywy ton może spartaczyć polowanie i przepłoszyć zwierzynę. Daję towarzyszowi przyjaznego szturchańca na odwagę. Stanisław wzdycha: spogląda na niebo, wreszcie trąbi.

Udaje się. Przytłumiony stęk jakby spod ziemi: ueee. Naśladuje wołanie klępy tęskniącej do łosia. W ten sposób wabi się byka.

Na łące niezmącona cisza, żadnej odpowiedzi. Czyżby łoś wywędrował? Po kilku minutach Stanisław trąbi powtórnie, donośniej.

Tym razem skutecznie. Z głębi bagniska rozlega się chrapliwy głos niby zduszony pomruk. Jest byk!

Łąka, dotychczas martwa otchłań, nagle wypełnia się żywą treścią i określeniem. To świadomość, że gdzieś tam, na jej krańcu, stoi upragniony zwierz. Stanisław dotyka znacząco mej strzelby. Jestem gotów! — odpowiadam skinieniem głowy.

Towarzysz znów trąbi. Łoś w ciemności odzywa się, lecz dziwnie powściągliwie, jakby niechętnie. Stanisław co pewien czas próbuje nie szczędząc wysiłku. Ale zawzięte kuszenie na próżno. Łoś pozostaje zimny i tylko z cicha pomrukuje. Stanisław woła na pustyni.

Osobliwy to dialog: tu umizgi, przyzywanie, proszenie, tam umiar, obojętność, niechęć. Tu żarliwe: ueee, tam leniwe: oooo. Trochę śmieszna to rozmowa, lecz w każdej chwili gotowa przeobrazić się w dramat: remington jest odbezpieczony.

Naraz do rozmowy dwóch miesza się głos trzeci. Oprócz łosiowego jęku słychać na łące jakiś stłumiony, lecz wyzywający szloch: ueee — i nagle cała sprawa się wyjaśnia. Łoś ma przy sobie łoszę. Ona go powstrzymuje. Dlatego małżonek nie pali się nazbyt do trąby Stanisława.

— Dość zalecanek na dziś! — szepce towarzysz. — Przyjdziemy tu jutro.

Schodzimy chyłkiem na brzeg wody i wracamy do obozu.

— — — — — — — — — — — — — —

Nie ulega wątpliwości: łosie ruszyły. Tejże nocy budzi nas ze snu hałaśliwy plusk wody. Byk sadzi

przez mieliznę niedaleko obozu. Za późno wybiegamy. Łoś ginie w gąszczu, wzburzywszy fale.

Przez następny cały dzień pusto na łące. Lecz gdy wieczorem znów tamtędy przepływamy, słyszymy już z daleka niezwykłe odgłosy. Silne uderzenia, powtarzane od czasu do czasu. Jakieś szamotanie się, jakieś niebywałe ożywienie.

Przestajemy wiosłować i pilnie nasłuchujemy. Potem porywa się Stanisław:

— To dwa byki! Dalibóg, dwa byki!...

I wiosłujemy dalej jak najostrożniej. Lądujemy na skraju lasu, gdzie zaczyna się łąka.

Ciemno; słabo świecą gwiazdy na niebie. Na ziemi nic nie widać. Na ziemi tylko słychać. Rozwarły się chyba czeluście piekielne, taki zgiełk. To przecież najbardziej wstrząsające słuchowisko: łomot łamanego drzewa, wściekłe chrapanie, nagły tupot, to sapliwe rechoty, to rzężący poryw, a od czasu do czasu suche, twarde uderzenia, straszliwy trzask rosochów. Wiemy, że to dwa byki walczą ze sobą. Lecz w ciemności, w tym otoczeniu, w ogólnej ciszy walka ich nabiera widmowej potęgi. To ukryte w puszczy moce zerwały się i oto biją o siebie; w szaleństwie ścierają się, szarpią, targają.

Dygocę na całym ciele. Zwalczam drżenie jak mogę, lecz daremnie. Postępując za Stanisławem stawiam nogi ostrożnie, by nie deptać gałązek. Suniemy brzegiem lasu, kierując się słuchem. Wtem Stanisław odwraca się i udziela ostatnich wskazówek. Kończy:

— Pan strzeli do prawego zwierza, ja ewentualnie do lewego.

— Dobrze! — odpowiadam i nagle odzyskuję spokój, jak gdyby wyszeptane słowo sprawiło czarodziejską ulgę.

Od kilku chwil cisza zapanowała na łące, a równocześnie widoczna zmiana zaszła w powietrzu. Rozjaśniło się. Patrzę na niebo: na północy występuje sinoniebieska łuna: zorza polarna. To dobrze, będzie widniej i lepiej celować.

Znów słychać łosie. Tętent i świszczący oddech. I już nawet widać. Dwa niewyraźne cienie majaczą na łące. Bardzo mgliste i na pozór odległe. Biegną. Nagle z rozmachem wpadają na siebie. Przeraźliwy łoskot uderzenia. Zwarte łosie tworzą teraz jedną masę, zataczającą się jak w upojeniu. Zgrzytliwie trą się rosochy, głośno dyszą płuca.

Wspaniały obraz pierwotności, ogromu sił naładowanych w zwierzęcych mięśniach i gwałtowności niepohamowanego rozjuszenia. Wybuch rozpętanych żywiołów urzeka. W tym zestawieniu człowiek jest jak słaby, marny robak o kruchym ciele i wątłych członkach. Uciekłby w obawie o swe życie, gdyby nie podstępny sojusznik, strzelba. Bez niej i bez kul człowiek nie miałby tu żadnego prawa. A tak ma. Niezawodny to i potężny sojusznik, lecz barbarzyński i straszliwie obcy. Obcy istocie walki, jaka wre; obcy wobec otaczającej puszczy; obcy wobec zorzy polarnej, wyrastającej coraz wyżej na niebo.

— Podejdźmy! — słyszę szept Stanisława.

Podchodzimy od krzewu do krzewu, od drzewa do drzewa. Zadanie łatwe, gdyż rozjątrzone byki nie widzą nic prócz siebie. Lecz nagle tuż przed nami zrywa się w gąszczu zwierz, ucieka panicznie z łoskotem i wyrzuca przenikliwy ryk ostrzeżenia:

— Ueee!!!

Łosza! Podczas gdy łosie walczyły o jej względy, ona stała na uboczu i czuwała.

Byki, jak rażone, w oka mgnieniu przytomnieją. Rozczepiwszy się mkną w wielkich susach do lasu i znikają jak mary. Głucha cisza zalega łąkę i las, tak uroczysta i głucha, jak gdyby nigdy nic jej nie zmąciło.

Przeżywamy to w osłupieniu.

Potem Stanisław wychodzi odważnie z gąszczu i orzeka głośno, z oburzeniem:

— Szkaradna klępa!

Ludzki głos dziwnie niedorzecznie i głucho rozchodzi się po opustoszałej łące.

STRZELAJ TY!

Ostry warkot motoru na jeziorze. Wybiegamy z obozu: hura! Lisim przyjeżdża. Nareszcie. Kamień spada nam z serca.

Indianin uśmiecha się serdecznie przy powitaniu i jest jak zwykle małomówny. Jest skupiony, uczynny, zamknięty w sobie, tajemniczy. Trzeba wciąż zgadywać jego myśli. Gdy Stanisław pokazuje mu swoją trąbę, zrobioną z kory brzozowej, Lisim spogląda uważnie na nią, potem uważniej na Stanisława; nic nie mówi, idzie do lasu, przynosi korę brzozową i skręca nową trąbę: dwa razy większą niż Stanisławowa.

Następnie je obiad za dwóch i kładzie się pod namiotem. Śpi do wieczora, zjada kolację za trzech i powiada, że jedziemy na polowanie. Ja i on; Stanisław pozostanie w obozie. Staram się dowiedzieć bliższych szczegółów:

— Czy na długo wyjeżdżamy?

— Ubierz się grubo! — odpowiada na to łagodnie Lisim francusko-angielską mieszaniną.

Ubieram się grubo i wypływamy na ciemne jezioro. Wiosło ma urzekający rytm: cichym pluskiem wnika do wody; następuje słaby, przeciągły bulgot, potem nagłe wyrwanie z wody, przeskok z tyłu do przodu — powiewna kaskada kropel — i znów to samo: pióro wiosła zanurza się w toń, a łódź pomyka o dziesięć kroków. Nieustający rytm podsuwa duszy śpiewne, gorące słowa. Wyrasta jakaś chaotyczna pieśń. O czym? O miłości i bohaterstwie śpiewali dwieście lat temu słynni francuscy coureurs des bois, nieustraszeni wioślarze, wdzierając się w głąb puszczy kanadyjskiej.

Dziś Lisim i ja nie mamy w duszy słów o miłości i bohaterstwie; chcemy ubić łosia. Co kwadrans przestajemy wiosłować i Lisim rzuca w ciemną puszczę wyzwanie. Nabrzmiały, niski ryk z długiej trąby naśladuje wołanie łoszy głębszym tonem niż wczorajszy głos Stanisława. Łosza Lisima wabi natarczywiej.

Dawno już opuściliśmy jezioro Marmette. Płyniemy od dwóch godzin labiryntem cieków i rozlewisk wśród nieznanej puszczy. Świecą nam gwiazdy, lecz niewiele widać. Boję się o celność strzału. Pełni skupienia wsłuchujemy się w noc, czy na hasło rzucone przez Lisima przyjdzie odzew.

Przychodzi. Gdzieś nad boczną zatoką odpowiada łoś. Podpływamy do brzegu, on także zbliża się do nas. Lecz szczęście nam nie dopisuje. Zwierz wyśledza nas węchem i ucieka. Woń człowieka to koszmar puszczy. Mrozi nawet miłosne zapędy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Milę dalej słychać innego byka. Lisim ożywia się i oświadcza, że to wielki łoś:

— Big moose!

Cicho lądujemy na łące. Przed nami o kilkadziesiąt kroków czarna ściana lasu. Z głębi gąszczu wychodzi basowy jęk. Stajemy na samym brzegu wody za małym krzakiem. Czekamy.

Lisim wabi. Teraz dopiero poznaję prawdziwego mistrza. Wołanie klępy słyszałem już kilka razy i znam jej głos. Lisim nie tylko naśladuje wiernie dźwięki natury, lecz, doprawdy, woła lepiej niż żywa łosza. Goręcej wyraża pragnienie, namiętniej wybucha, obwieszcza bardziej wzburzoną krew. Brzmi to złożone jak: uooauų-ch.

Brzmienie niezwalczone, nabrzmiałe niepohamowaną pokusą: łosza głośno pożąda byka. Pięknie gra Lisim.

A tam w lesie byk odchodzi od zmysłów. Porwało go, słychać to wyraźnie. Oczarowało go. Trzaskają gałęzie. Za każdym naszym trąbieniem łoś odpowiada. Miota nim. W ryku jego jest tyle jawnej, niepowściągliwej żądzy, że głos nabiera jakiejś szczególnej wagi. Rzekłbyś, oddźwięk całej puszczy, wcielenie wszechmiłości odzywa się i zbliża. To płomienny poryw przyrody, jej najwalniejszy popęd, jej najgłębszy nurt toczy się na nas. Idzie łoś ogłuszony miłością.

Lisim, dobierając z trudem słowa, tłumaczy mi szeptem, kiedy mam strzelać. Nie za rychło. Wtedy gdy byk będzie na środku łąki, o dwadzieścia kro-

ków od nas; nie rychlej, ale też, broń Boże, nie później strzelać.

— A jeżeli nie strzelę? — pytam.

— Musisz strzelić!! — mruczy groźnie Indianin. — Byk przyjdzie i potratuje nas na śmierć.

A jeśli jednak nie strzelę? Spoglądam na remingtona. Lufa przyćmionym połyskiem odbija światło gwiazd. Prosta, stalowa, znana mi lufa, zwrócona w stronę lasu. Dobra broń. Próbuję, czy drżą mi ręce ze wzruszenia. Nie drżą.

A jeżeli nie strzelę?

Coś dzieje się ze mną. Wszystko dokoła jest w porządku: remington — precyzyjna broń; Lisim wypełniający obowiązek — w porządku; łoś trawiony żądzą — w porządku. Tylko we mnie coś się załamuje. Gdzieś na najskrytszym dnie duszy powstaje bunt, jeszcze mglisty, jeszcze nieświadomy, ale już gorzki; budzi się niesmak.

Jakże doskonale Lisim naśladuje łoszę! W jego oszustwie tkwi szatańska przewrotność: na zimno, z wyrachowaniem, cwanymi sztuczkami produkuje złudę najpiękniejszego impulsu przyrody. Jest w tym ogień płci, jest namiętność i jest łajdackie kłamstwo. Lisim łże wybornie, z niezawodnym skutkiem, z nieodpartą siłą przyciągania. We mnie coś się buntuje.

A łoś idzie na oślep jak omotany w sieci. Zaślepiony głupiec, opętana ofiara. Porykując przedziera się gwałtem przez bliski gąszcz. Byk snadź kapitalny: z głuchym łoskotem huczą rosochy o drzewa. Spieszno mu do nas. Już dociera do skraju lasu.

Nie, nie strzelę. Płomień trawiący go, to najświętszy szał puszczy. Przyroda rozpaliła tu najszlachetniejszy swój znicz. Nie wolno go gasić podstępem. Temu samemu prawu podlega w najwyższej ekstazie zarówno człowiek jak zwierz. Obydwaj czerpią z tego samego źródła, obydwóch przeszywa ten sam grom. Łoś jest mi bliski. Jest mi bliższy niż człowiek chytrze go okłamujący. Nie strzelę.

Strzelaj! woła we mnie myśliwy. Jedyna to może w życiu okazja.

Zwierz wyszedł już na łąkę. Możny, okazały, dorodny. W ciemnościach łeb rozrasta mu się do niesamowitych, nieprawdopodobnych rozmiarów: to potężne rosochy. Mocna sztuka. Zbliża się szybko, w oczach olbrzymieje.

— Shoot! — strzelaj! — szepce mi Lisim do ucha.

W tej sekundzie przypominam sobie przykre uczucie, jakiego doznałem zabijając niedźwiedzicę. Nie strzelę.

Łoś wyrasta ponad łąkę jak majestatyczny posąg. Rozpoznać już można wysokie badyle, wyniosły bark, pochyloną głowę. Oddziela nas tylko kilkanaście kroków.

— Shoot!! — domaga się Lisim rozpaczliwie i głośno.

Łoś zniża już groźnie głowę. Lecz nie chcę, nie mogę strzelać.

Wciskam strzelbę do rąk Lisima, wołając:

— Strzelaj ty!!

Indianin rzuca na mnie przerażone spojrzenie,

jak gdybym postradał rozum. Chwyta broń, w ostatniej chwili strzela. Dwa razy, błyskawicznie po sobie, przykładając lufę prawie do głowy zwierza.

Głuchy upadek, ostry jęk, dygot badyli, cisza.

Wysoko sterczą nad martwym ciałem rozłożyste, ogromne rosochy. Władcze godło za życia, teraz już tylko — piękne trofeum.

Lisim jest wciąż jeszcze przerażony. Spogląda na mnie ukradkiem, z zaciekawieniem, jakiś niespokojny, zachwiany, inny. Zapewne w indiańskiej duszy coś świta. Może Indianin zaczyna rozumieć białego człowieka?

— — — — — — — — — — — — — — —

Wracamy. Znów rytm wioseł. Nie poznaję mrukliwego Lisima: nuci. Śpiewa radosną, porywczą pieśń. O zdobyczy i zwycięstwie. Pieśń prostą i twardą jak uderzenie wioseł, mocną i buńczuczną jak triumf zwycięzcy.

Północne niebo rozgorzało światłem zorzy polarnej. Ktoś — wielki czarownik — rozpościera za widnokręgiem rozpętany wachlarz blasków. Wachlarz wzbija się w górę i sięga prawie ponad nasze głowy. Roztacza nieziemski urok. Rzuca smugi jasnoniebieskie, zielonkawe, różowe, czerwone. Magiczny wachlarz, ciągle w ruchu, ciągle rozedrgany, to się zamyka, to szeroko się rozwiera; promienne snopy przesuwają się przez niebo, strzelają błyskami do zenitu, to nagle opadają, to od nowa rozpinają świetność, splendor i szaleństwo — i tak od skłonu

do skłonu przewala się tajemnicze, niezmierzone, potężne widowisko. Wielki hymn roztańczonego światła.

Od nieba nie mogę oderwać wzroku. Od pieśni Indianina nie mogę oderwać słuchu.

I w rozpętanym niebie, i w zuchwałej pieśni jest przejmująca, przykuwająca moc. Naraz wydaje mi się, jak gdyby w tym zaczarowanym kole obracały się wszystkie zdarzenia północnej puszczy; jak gdyby w tym samym magicznym blasku kąpali się wszyscy: niezłomny La Salle i nieszczęsny Logan; bystry Jean Martin i biedna Pokahontas; milioner Szyszka i stary Indianin John Iserhoff; i wierny pies husky, mądre bobry, kochająca niedźwiedzica, płaczące niedźwiadki i pachnące żywicą świerki, skaliste wyspy i pełne drapieżnych szczupaków cudowne jeziora; i wreszcie szalony, wspaniały, tragiczny łoś, który, upojony poszukiwaniem miłości, znalazł nielitościwą śmierć.

Ich wszystkich — zda się — spowija magiczny blask, łączy jedno koło. Zaczarowane koło północnej puszczy. Łączy jeden duch, dobry duch Nanabosho.

I już wiem: Kanada to kraina, w której zamieszkał dobry duch.

30.-

